BIBLJOTEKA PAMIĘTNIKÓW

WALECZNYCH TYSIĄC

Pamiętniki sierżanta
[illegible]WA GOLICZEWSKIEGO
z wojny polsko-bolszewickiej

Do druku przygotował
ROMAN UMIASTOWSKI

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
WARSZAWA 1934

WSTĘP.

W ostatecznej rozgrywce o naszą niepodległość, jaka nastąpiła w wojnie polsko-rosyjskiej w latach 1919 — 1920, posiadała Polska Wielkiego Wodza i dzielne wojsko. Bez nich nie osiągnęłaby zwycięstwa.

Pamiętniki sierżanta Goliczewskiego są obrazem tego wojsko. I słuszny jest tytuł „Walecznycih tysiąc", jaki tej książce nadano, ponieważ rzeczywiście opowiada ona o żołnierzach, których praca bojowa i czyny warte są legendy.

Dzieje sierżanta Goliczewskiego są takiemi samemi, jakie miało tysiące innych podoficerów. Historja pierwszej kompanji opowiedziana przez niego nie różni się od historji innych kompanij i właśnie dlatego pamiętniki „Walecznych tysiąc" mają znaczenie ogólne. Są one doskonałem odzwierciadleniem życia naszego żołnierza w latach wojny.

Młody 18-letni chłopiec z chwilą wyrzucenia Niemców z Grajewa idzie do wojska. W rok później

jest już plutonowym i rwie się na wojnę. Bata[illegible] piechoty, z którym wyrusza, składa się z niestars[illegible] od niego chłopców. Młodzi wiekiem posiadają jednak pewne doświadczenie życiowe i wyr[illegible] ideowe zabarwienie, dzięki przynależności do P[illegible]skiej Organizacji Wojskowej (P. O. W.).

Zetknąwszy się z wojną poczyna Goliczewski w kalendarzyku notować króciutko ciekawsze fakty. Niestety trafia do niewoli i kalendarzyk ginie. Po ucieczce od bolszewików znów wraca do nowego już notatnika, a po wojnie zaraz zabiera się do napisania swych pamiętników. Dobra pamięć i młodość sprawiają, że zapamiętał wiele ciekawych szczegółów, a co główne przedstawia w sposób prosty i żywy pracę dowódcy plutonu w boju. Stąd posiadając pamiętniki Naczelnego Wodza, szeregu oficerów wyższych i niższych, jak również żołnierzy-inteligentów, poraz pierwszy dopiero w pamiętnikach Goliczewskiego znajdujemy opis „małego wodza", drobnego dowódcy w jego codziennej pracy wojny i to opis skreślony niezbyt wprawną ręką przeciętnego podoficera. Najbardziej charakterystyczną cechą pamiętników, nadającą im zarazem wysoki stopień wartości jest to, że są one właśnie *pisane ręką jednego z „masy", żołnierza z szeregu.*

Jest w tych pamiętnikach naszkicowana typowa postać polskiego „nieznanego żołnierza". Jakiekolwiek nazwisko napiszemy na miejsce tych, które są tam wymienione, dla wszystkich opowieść będzie do-

bra i ta sama. Oto w czem tkwi dokumentalna i wyjątkowa wartość tomu „Walecznych tysiąc".

Przynoszą one zaszczyt imieniowi żołnierza polskiego i są uczczeniem pracy podoficera, który na wojnie *wypełnił ją nieprzeciętnie, o czem się dzisiaj mało już wie i niestety zamało pamięta.* Następnie jest w tych pamiętnikach nakreślony z natury wizerunek idealnego dowódcy kompanji, współczesnego rycerza bez skazy i bez strachu.

Po długie też czasy sądzimy pamiętniki Goliczewskiego będą książką, którą czytać powinien i którą czytać będzie obowiązany każdy młodzieniec w naszym wojsku.

Ci co widzieli wojnę czytając „Walecznych tysiąc"... odnowią swe wspomnienia, wzruszą się widząc jak ich własna dola i niedola została przez jednego z pośród nich opowiedziana w słowach prostych lecz jakże wymownych. Legenda innych nie potrzebuje. Czyny wielkie same przez się są wielkiemi.

— — — — — — — —

Przygotowując do druku „Walecznych tysiąc"... ograniczyliśmy poprawki, starając się pozostawić tekst w stanie możliwie pierwotnym. Z tego też względu pozostawiliśmy, ile się to dało, swoiste a częściowo nawet błędnie użyte znaki pisarskie autora, o ile jasność tekstu przy tem nie cierpiała.

R. U.

I. PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU NA FRONT.

W miesiącu lipcu, roku Pańskiego 1919, zlikwidowano trzeci kurs szkoły podoficerskiej 33 pułku piechoty w Łomży. Rozkazem dziennym pułku przydzielono nas, starych instruktorów i świeżo promowanych podoficerów, do poszczególnych kompanij. Znalazłem się wówczas, jako plutonowy, w pierwszej kompanji strzeleckiej i na jej łonie spędziłem najpiękniejszy okres mojego życia, okres po grób niezapomnianych dni naszej wojaczki.

Nim jednak dostałem się do kompanji strzeleckiej kosztowało mnie to dużo zabiegów i trochę protekcji, gdyż „wódz" pułku, major Stefan Wyspiański, na skutek prośby dowódcy szkoły, podporucznika Latoura, przesunął mnie do bataljonu zapasowego, kwaterującego podówczas, z braku odpowiednich pomieszczeń na terenie Łomży, w Warszawie. Przy tym bataljonie organizował się zkolei czwarty kurs szkoły podoficerskiej, do której chciano wziąć mnie na instruktora. Przyznam się, że praca instruktora w szkole pociągała mię niezmiernie, i gdybym był nie wiedział, że pułk lada dzień wyjedzie na front, to w myśl zasad regulaminu służby wewnętrznej wpajanych w nas powiedziałbym tylko — rozkaz! i za parę godzin kroczył z dworca Wileńskiego po bruku stołecznym na ulicę Nowowiejską, aby niezwłocznie zameldować się u dowódcy bataljonu zapasowego,

kapitana Hryniewieckiego. Lecz na wieść, że pułk wyjeżdża na front, postanowiłem z całą stanowczością protestować. W tym celu udałem się osobiście do dowódcy pułku z prośbą, o przydzielenie mnie do którejś kompanji strzeleckiej, odchodzącej na front. Prośba, uprzednio poparta protekcją, odniosła pomyślny skutek. Dla ścisłości, żeby ktoś nie czynił brzydkich przypuszczeń, niech mi tu wolno będzie nadmienić, że była to jedyna protekcja za cały czas mojej służby wojskowej.

Z kancelarji pułkowej już nie szedłem, ale galopowałem poprostu do czekających przyjaciół, chcąc jak najprędzej podzielić się radosną wiadomością, że jedziemy razem. Z tego też tytułu i tegoż dnia wieczorem, wybraliśmy się całą „paką" do miasta, aby zjeść pierwszą — bo nim wyjechaliśmy z Łomży było ich więcej — pożegnalną kolację. No i żeby być zupełnie szczerym, to wyznać muszę — jeżeli ma być to wstydem — z rumieńcem na gębie, że na tej to pożegnalnej libacji, chociaż skończyłem już dziewiętnaście wiosen, po raz pierwszy spróbowałem smaku wódki. A ponieważ było się w miłem towarzystwie i odpowiednim nastroju, spijało się zatem moc różnego świństwa. O zrozumiałych skutkach tego pijaństwa lepiej zamilczeć.

Z wielkim szumem i bólem w łepetynie, a z większem jeszcze pragnieniem spalonego spirytusem żołądka, prawie że na chwiejących się nogach, poszedłem następnego dnia zameldować się u dowódcy pierwszej kompanji podporucznika Mieczysława Rozwadowskiego.

Podporucznik Rozwadowski, pochodził z armji rosyjskiej, był miły, przystępny i lubiany, i nosił swe anielskie serce na dłoni, lecz na stanowisku dowódcy kompanji, przyznać to muszę — z czem się sam

nie krył — posiadał niewiele doświadczenia. To też w sprawach natury czysto wyszkoleniowej i wychowawczej kompanji, wyręczał go jako zastępca, stary leguński wyga, podchorąży Stefan Majewicz, wielki gaduła, komik, fortelarz, no i kirus, typ pana Zagłoby, żywcem wyjęty z trylogji Sienkiewicza. Przepadali za nim wszyscy ludzie.

Z racji przybycia kilku nowych podoficerów, nastąpił nowy podział i obsada kompanji. Majewicz, jako najstarszy stopniem, objął pluton pierwszy z równoczesnem pełnieniem obowiązków zastępcy dowódcy kompanji. Ja otrzymałem pluton drugi, pluton zaś trzeci dostał pod swoje opiekuńcze skrzydła, plutonowy Staszek Kieroń, z armji niemieckiej, cichy, spokojny, nadwyraz uczynny, zawsze ujmująco uśmiechnięty Wielkopolanin i stary „verdeńczyk". Podzieliliśmy naszych chłopców na sekcje, zależnie od ich ilości, po cztery i pięć sekcyj w plutonie — sekcja liczyła dziewięciu ludzi włącznie z jej dowódcą — wyznaczyliśmy dowódców półplutonów i byliśmy gotowi do wymarszu.

Brać żołnierska naszej kompanji, jak również całego I-go bataljonu, składała się przeważnie z młodych, niesfornych, wiecznie i z wszystkiego kpiących peowiaków. Jako domieszkę tego rozbrykanego „materjału", mieliśmy trochę rekrutów. Dzieciarnia peowiacka, chociaż liczyła sobie od siedemnastu do dwudziestu wiosen, nie była znowu tak zbyt młoda życiem i przeżyciem. Bractwo zaglądało z odwagą niebezpieczeństwu w oczy dziesiątki razy w czasie okupacji niemieckiej, czy to ucząc się po nocach sztuki wojennej pod bokiem ogłupiałego żandarma, czy rozlepiając proklamacje za plecami drzemiącego policjanta, czy to znowu, przewożąc broń lub „bibułę" z osiedla do osiedla. W tych i w wielu

innych podobnych zajęciach konieczna była rozwaga, zimna krew i nieraz całkowite poświęcenie życia. Krótko mówiąc, byli to ludzie z twardej szkoły P. O. W.[1]).

Szefem tej nieutemperowanej kompanijnej bandy był, stale nie mający czasu, plutonowy Walek Grabowski. Jemu tylko zawdzięczać możemy, że na wojnie z głodu nie umarliśmy i mieli jakie takie buty i mundury. Robiliśmy mu — niewdzięczni — tysiące przykrości, lecz Walek bagatelizował chłopięce psikusy i z całem poświęceniem dbał o nasze puste żołądki, kłócąc się zajadle o większe porcje z prowiantowym bataljonu.

Mimo, że ogromnie śpieszyło się nam na wojnę, do wyjazdu było jeszcze daleko. Sztab czekał na różne fasunki, więc dla skrócenia sobie czasu, zabraliśmy się z całą energją i stanowczością do usunięcia braków w wyszkoleniu naszych plutonów. Praca szła w zawrotnem tempie. Od wczesnego rana do późnego wieczora siedziało się na buchających żarem rozpalonego piasku wydmach łomżyńskiej Kraski i improwizowało się różne fragmenty wojny. Nagrodą tej żmudnej, uciążliwej i wyciskającej dziesiąte poty pracy, była dla nas chęć z jaką wykonywali ją nasi młodzi żołnierze. Trudniej szło rekrutom, ale jedni drugich po bratersku wspierali i praca nie kulała.

Gorzej przedstawiała się sprawa z umundurowaniem i uzbrojeniem. Wyglądaliśmy ogromnie pstrokato, a stara wycofana z obiegu broń, psa była war-

---

[1]) P. O. W. — Polska Organizacja Wojskowa, utworzona przez Komendanta Piłsudskiego, która w czasie Wielkiej Wojny prowadziła pracę niepodległościową o charakterze wojskowym na całym obszarze ziem polskich.

ta. Jednak dzięki zwycięscom wojny światowej, którzy swoje wielkie zapasy po zakonczeniu bijatyk musieli gdzieś zepchnąć, pożywiliśmy się przy tej okazji i my. Na kilka dni przed wyjazdem na front otrzymaliśmy świeży fasunek mundurów amerykańskich i karabiny francuskie systemu Berthiera. Na głowach leżały z zawadjackim młodzieńczym fasonem maciejówki legunskie z przypiętym, z rozmyślnie odłamaną koroną, białym orłem.[1])

Ponieważ w tym pamiętniku opisując swoje przeżycia wojenne w pierwszej kompanji będę często zawadzał o inne kompanje naszego bataljonu, nie zawadzi chyba, gdy powiem w kilku słowach o jego składzie. A więc dowódcą bataljonu był ogólnie lubiany sympatyczny staruszek, kapitan Pyszko, były dowódca 1-go kursu szkoły podoficerskiej. Adjutantował mu stary rewolucjonista i legun, podchorąży Mieczysław Stecewicz, który w pierwszych dniach pobytu na froncie mianowany został podporucznikiem.

Bataljon składał się z czterech kompanij strzeleckich i jednej ciężkich karabinów maszynowych. Dowódcami poszczególnych kompanji byli następujący oficerowie: 2-giej podporucznik Zdzisław Świątkowski, mający do pomocy długiego i przeraźliwie chudego leguna, podchorążego Lucjana Orłowskiego, 3-ciej porucznik Jan Kaczyński, 4-tej porucznik Klemens Orso - Siegieda ze świeżo upieczonym w Wermachcie[2]) podporucznikiem Dardzińskim. Do-

---

[1]) Sprawa godła państwowego nie była w tym czasie jeszcze zdecydowana. Dzielono się na zwolenników tradycji — pozostawienia orłowi korony i zwolenników swoiście pojmowanej demokracji — utrącenia jej.

[2]) Wehrmacht — Polska Siła Zbrojna, oddziały utworzone przez Niemców w 1917 roku po rozwiązaniu Legjonów.

wódcą kompanji karabinów maszynowych był podporucznik Kowalski, mający do dyspozycji dziesięć maszynek systemu Maxyma. Plutonami dowodzili podoficerowie, przeważnie w stopniu plutonowego.

33 pułk posiadał trzy takie bataljony, ponadto specjalną kompanją karabinów maszynowych Hotchkissów, oraz świeżo zorganizowaną kompanję techniczną. II-gim bataljonem dowodził kapitan Anatol Mińkowski, III-cim kapitan Jerzy Sawa-Sawicki. Nad całością, jakiem to już wyżej nadmienił, przewodził major Wyspiański, mający do pomocy niestrudzonego adjutanta, w osobie porucznika Stanisława Raganowicza.

Materjał ludzki zebrany był przeważnie, począwszy od dowódcy pułku wdół do ostatniego strzelca, z legjonistów i peowiaków. Jako uzupełnienie stanów, mieliśmy mały procent rekrutów i ze wszech stron napływających młodocianych ochotników.

W takim to więc składzie i w takiem to towarzystwie wyjechaliśmy na krwawe walki, aby w ciężkim trudzie i wspólnemi siłami, wykreślić bagnetami nową granicę Odrodzonej Polski.

II. WYJAZD NA FRONT I NASZ CHRZEST BOJOWY.

Nadszedł wreszcie z wielką niecierpliwością oczekiwany dzień wyjazdu na nieznany nam front.

1-go sierpnia 1919 roku już od godziny piątej z rana pakowaliśmy się skwapliwie do wyjazdu, układając na wozach taborowych przeróżne graty, a zdając za pokwitowaniem do magazynów pułkowych zbędne w polu drobiazgi skarbowe. Po południu

ustawiliśmy się w kolumnie kompanijnej na placu koszarowym. Dołączyła się orkiestra pułkowa.

Czekamy.

Czekać musimy obowiązkowo, leży to już w tradycji wojska. Potem zjeżdżały się różne sztabowczyki z brygadjerem, pułkownikiem Kaplińskim na czele. Oglądano nas szczegółowo ze wszystkich stron, obmacywano fachowo niektóre części ekwipunku i przypominano o szanowaniu własności skarbowej. Wreszcie utworzyliśmy czworobok i z palącą się ziemią pod stopami, słuchaliśmy bitych minut czterdzieści szumnej i nudnej mowy, wygłoszonej źle po polsku, o celu przyszłych bitew z Moskalami. Odetchnęliśmy z ulgą, jak po strasznym śnie, gdy padła komenda: „kolumna sekcyjna na kompanję pierwszą" i t. d. Załamały się szeregi, zaskoczyli sekcyjni na swoje miejsca, z hukiem wyrżnęliśmy kopytami o ziemię na komendę — „marsz" i przy dźwiękach orkiestry udaliśmy się na dworzec kolejowy. Tu czekała na nas tłumnie młodzież obojga płci, a także sędziwe obywatelki i obywatele miasta Łomży z wielkiemi bukietami kwiatów, któremi zasypano i obdarzono nas, gdy pociąg miał ruszyć ze startu.

Po zjedzeniu kolacji, już na trawce obok rampy, wwindowano się do wagonów ze śpiewem, dowcipami i beztroskim żołnierskim śmiechem od ucha do ucha. Opodal stały tłumy cywilów i w nabożnem milczeniu przyglądały się naszej beztrosce. A były wśród nich matki i siostry, były narzeczone i kochanki, przyszły, aby jeszcze raz — kto wie czy nie ostatni — uściskać i ucałować kochanych swych chłopców.

O godzinie 20-tej gwizdnęła lokomotywa, westchnęła ciężko kilka razy i szarpnęła sznurem naładowanych po brzegi wagonów. Pociąg ruszył. Cisną się

dłonie do ostatniego uścisku, śle się całusy pożegnania na odległość, a ponad tłumem kapeluszy, czyjaś drżąca ręka kreśli w powietrzu znak krzyża. Niebawem skryła się Łomża za horyzontem. Zapadła ze zmrokiem cisza sierpniowego wieczoru i tylko wesoły nasz śpiew, zlewający się z hukiem kół pędzącego po szynach pociągu, niosło echo po wieczornej rosie w bezkres pól.

Byliśmy wreszcie sami z nieznaną daleką przyszłością. Mijając miasta, sioła, wioski, dwory, futory, jechaliśmy przez Białystok, Wołkowysk, Słonim do Baranowicz. Tu zatrzymano nas na dłuższy postój i tu spotkaliśmy transporty II-go i III-go bataljonu. W świeżo odbudowywanych po wojnie niemiecko-rosyjskiej Baranowiczach, zebrał się cały pułk. Lecz nie dano nam długo cieszyć się licznym gronem przyjaciół, wnet transporty tamtych bataljonów ruszyły dalej na Lidę i Mołodeczno, skąd za kilka dni rozpoczęły działanie na Dokszyce, Pyszno, Lepel i inne sąsiednie miasteczka okolic Połocka.

Nasz bataljon wywagonowano na stacji baranowickiej i zakwaterowano w pobliskich chałupach. Wcieleni zostaliśmy do I-szej dywizji litewsko-białoruskiej i otrzymaliśmy tydzień, niczem nie zasłużonego wypoczynku. Sztab przygotowywał jakieś natarcie, trzeba więc było czekać i zdychać z bezczynności i nudów. Szczęściem trwało to krócej, jak zapowiadał rozkaz. Już trzeciego dnia naszego postoju, kapitan Pyszko otrzymał polecenie ze sztabu dywizji podciągnąć bataljon gdzieś bliżej do gdzieś za Lachowiczami rozciągniętego frontu.

O zmroku opuszczamy kwatery i przy świetle migotliwych oczek ręcznych latarek elektrycznych, ładujemy się ponownie do pociągu. O świcie dojeżdżamy do stacji Lachowicze, gdzie bez zwłoki wysypu-

jemy się z wagonów i szybkim krokiem po szerokim, piaszczystym trakcie, suniemy do miasteczka Lachowicze. Na niechlujnym rynku złożyliśmy broń w kozły i rozleźliśmy się czynić zakupy po objedzonych sklepikach, ściślej, pogawędzić z ładnemi żydówkami. „Wodzów" kompanijnych wezwano na odprawę.

Wkrótce nasz pyzaty trębacz dmuchnął w trąbę sygnał zbiórki. Skacząc przez bajora popędziliśmy do broni, gdzie szef Grabowski oznajmił nam, z tajemniczym wyrazem gęby, że jesteśmy przydzieleni do grupy operacyjnej pułkownika Boruszczaka, że niedaleko jest pozycja bolszewicka i że zaraz idziemy do boju. Skupiliśmy się w sobie.

Przeprowadzani smętnemi spojrzeniami lachowickich dziewic poszliśmy na wschód. Kolumna posuwała się cicho, tylko za nami, na ogonie bataljonu, pojękiwała przyfastrygowana do nas baterja artylerji polowej. Początkowo nieznośny upał obciążał tornistry i giął coraz to mocniej karki do ziemi. Potem nadeszły z zachodu czarne kłęby chmur, zerwał się wściekły wiatr i lunęła straszna ulewa. W minutę wszystko przemokło do ostatniej nitki.

— Masz bracie przedsmak wojenki — jęknął ktoś z uznaniem do sąsiada, sunąc po błocku nogi okutane w ciężkie amerykańskie buty.

Wiara nawskroś przemoczona i zmęczona pierwszym dłuższym marszem, dźwigając na plecach nadmiernie wypakowane tornistry, zapomniała całkiem o przestrodze „szanowania rzeczy skarbowych". I oto, aby ulżyć sobie, wyrzuca dyskretnie jeden po drugim „niepotrzebne" przedmioty do przydrożnego rowu, ku wielkiej uciesze i korzyści jadących za nami taborytów.

Miesząc nogami lepkie błoto dopadliśmy do wsi Perechreście, gdzie zarządzono przerwę obiadową.

Było już po burzy. Z za chmur uśmiechnęło się wesoło słonko. Obeschliśmy trochę, okruszyli zaschłe błoto z nóg i ruszyliśmy niezwłocznie dalej, aby wyładować złość na czychającym gdzieś nieprzyjacielu.

Kompanja nasza ubezpiecza marsz bataljonu. Pluton drugi, jako oddział przedni rzucony tyraljerą w dojrzałych łanach zbóż, depcąc pełne kłosy, prze na Juchimowicze. W brózdach spotykamy napęczniałe i cuchnące trupy bolszewików, ślady niedawnych potyczek. Z naszych, ani jednego. Sprawia nam to poniekąd zwierzęce zadowolenie. Za Juchimowiczami na niewielkich wzniesieniach włazimy na nasze placówki wystawione przez 10 pułk ułanów. Przed nimi teren niczyj „przedpole", a dalej nieprzyjaciel. No wreszcie można się będzie uraczyć! Ułani mówią, że przed pobliskim już Liskowem są okopy bolszewickie, bronione bataljonem piechoty i jedną baterją artylerji, i to „ciężkiej", upewnia nas wąsaty wachmistrz, przyglądając się dziecięcym naszym pyskom. Ztyłu dociąga reszta kompanji. Otrzymujemy rozkaz do natarcia. Zsuwamy się z pochyłości plutonami na mokrą dolinkę, mijamy cmentarz i dwór, i wsiąkamy w zabudowaniach niewielkiego Ostrowa, aby z jego wschodniej strony rozsypać się w tyraljery.

Idzie to niezbyt wprawnie, ale ochoczo. W karłowatych laskach łomżyńskiej Kraski szło o całe niebo lepiej. Może przeszkadzały nam tu trochę wysokie żyta, a może nieznany jeszcze huk bolszewickiej artylerji, która z za wzgórz i lasów, zoczywszy nas, rąbała granat po granacie. Było nam trochę nieswojo, kiedy pocisk leciał nad naszemi głowami i z przeraźliwym hukiem rwał się w pobliżu ustawiającej się do boju naszej baterji. Wąsal wach-

mistrz miał rację. Były to pociski z działa większego kalibru, macającego naszą podstawę wyjściową.

Tuląc się do matki ziemi przed hałaśliwemi potworami, wdrapujemy się chyłkiem na pagórek. Kiedy wysunęliśmy głowy na jego szczycie, gruchnął wówczas ze strony przeciwnika ogień karabinów maszynowych i broni ręcznej, tak, że ani kroku wprzód ruszyć nie można.

Masz teraz bracie wszystko czegoś tylko chciał od wojny. Masz nieznany teren, masz prawdziwe ostre granaty, masz dobrze zamaskowanego w kartoflach bolszewika, a nad głową straszny świst stalowego deszczu. Brak doświadczenia i przyzwyczajenia wywołuje w duszy niemiłe uczucia. Przywarowaliśmy więc nosami w bruzdy zagonów, czekając na wsparcie broni towarzyszącej i kropimy z Berthierów na chybił trafił. No, bo jakżesz tu do jasnego pioruna celować, kiedy bolszewików nigdzie nie widać? Lecz niebawem poweselały nam dusze. Nasza baterja otworzyła ogień, bijąc celnie po mniemanych okopach moskiewskich. Zamilkły tam karabiny maszynowe. Zkolei zarechotały wesoło nasze maszynki, waląc ogniem przenośnym z wyższych miejsc. A nawet plutonowy Kurowski urządził się dowcipnie, bo wyrwał poszycie z dachu chłopskiej chałupy, wciągnął na strych swoją maszynkę i kropił, że proszę siadać. Nastąpiła wtedy werwa i życie w tyraljerze piechoty. Podniósł jeden i drugi łeb ponad kłosy zboża i chyc! — skoczył w pewniejsze miejsce. I tak pod osłoną własnego ognia, skokami, jak szaraki, zsuwamy się na podmokłą łąkę.

Drogę po zwycięstwo przegradzała nam obrzydliwie rozlana po dzisiejszej burzy mała rzeczółka, raczej strumyk o zdrobniałej nazwie, Szuszenka. Płynął sobie leniwie, wśród gęstych szuwarów, tworząc

fantastyczne zakrętasy, przed nosem zdziwionych tyraljerów. Trzeba go było „forsować". Pierwszy idzie pluton Majewicza z prawego skrzydła. Nasze plutony w tym czasie „wiążą" nieprzyjaciela ogniem. Majewicz jest już na drugim brzegu i kropi co sił. Kolej teraz na pluton drugi. Pada podawany po linji rozkaz. Widzę pewne wahanie u chłopców i przez hałaśliwy trzask karabinów dochodzi mnie wściekły głos sekcyjnego Łukaszewskiego: „Myślicie psiakrew, że będę wam most budował?! Jazda do wody!" Dusiłem się od śmiechu, widząc u jednego i drugiego dzieciucha niepewną minę, kiedy to w młodocianej głowie porównywał stosunek swego wzrostu do głębokości błotnistej Szuszenki. Ale rad nierad brał wreszcie każdy kąpiel, buchając do wody z uniesionym nad tornistrem karabinem, aż bryzgało błoto na wszystkie strony.

W międzyczasie na lewem skrzydle, już po drugiej stronie strumyka, wznosi się głośne, wrzaskliwe „huraaa!" i widzimy czmychających z okopów czerwonych. Przerywamy zatem przeprawę i robimy gorączkowo „ogień pościgowy".

Dzięki trzeciej kompanji, którą porucznik Kaczyński przeprawił wcześniej przez strumyk i pchnął do szturmu, oskrzydlając od wsi Liskowa, czem zmusił bolszewików do rejterady, uniknęliśmy niepożądanej kąpieli i zwycięstwo zostało po naszej stronie. Zebrawszy się zatem w kolumnę, skręciliśmy nieco w lewo i o paręset metrów w górze, przeszliśmy suchą nogą po mostku. Czerwoni, śpiesząc się z odwrotem, nie zdążyli go zniszczyć.

Nie zawsze jednak udawało się nam w podobny sposób wykpić tutejszym rozlewistym strumykom i rzeczkom. Zdarzało się, że długo mokliśmy w wo-

dzie, zanim ogień przeciwnika, pozwolił ułożyć się nam na suchem miejscu, ale o tem — potem.

Bój, a raczej potyczka, był skończony. Pierwszy chrzest bojowy odbył się wspaniale i przy wszystkich możliwych instrumentach ogniowych. A nawet, jak to widzimy, była i woda do pokropienia. Byliśmy więc dumni z odniesionego zwycięstwa, a że zyski materjalne tego zwycięstwa były stosunkowo małe — to drobiazg. Za to duchowo wzrośliśmy — w naszem mniemaniu — do szczytu bohaterstwa. Zdobyliśmy kilka karabinów ręcznych, moc amunicji, jednego komisarza rannego w udo i dwóch żywych bolszewików. Przyglądaliśmy się im z wielkiem zaciekawieniem, lecz nic godnego uwagi nie dostrzegłem. Byli brudni, nędznie ubrani, pokorni i mocno wystraszeni.

Z naszej strony był lekko ranny w nogę podporucznik Świątkowski i jeden strzelec z kompanji pierwszej, którego prawdziwe nazwisko było wiadome tylko szefowi kompanji. Reszcie znany był pod przezwiskiem „Benek" i że pochodził z Łomży. Benek, wiecznie zadowolony, wiecznie kpiący przy lada okazji, sadząc przekleństwami po otrzymanej ranie, do szpitala jechać nawet nie chciał i klnąc leczył się przy kuchni.

Pierwszy chrzest bojowy, pierwsza zdobycz wojenna i pierwsze zwycięstwo nad przeciwnikiem, wprawiło nas w humor różowy. Gadaniom nie było końca. W młodociane i szybkim tętnem bijące serca wstąpiła nadzieja, że w przeciągu dwu, a najdalej trzech miesięcy pobijemy Moskali i jako zwycięzcy, wrócimy na łono rodziny.

Tak myśleliśmy, tak sobie obiecywaliśmy, a złośliwa rzeczywistość kpiła po cichu, z naszej naiwności.

III. ŚMIERĆ URBANOWICZA I ZDOBYCIE KLECKA

Było już zupełnie ciemno, kiedy drugi pluton otrzymał rozkaz od podporucznika Rozwadowskiego obsadzić folwark Mostwiłowicze, leżący o dobry kilometr drogi na południe od Liskowa i ubezpieczyć nocleg bataljonowi.

Pluton rozkaz wykonał. Ale kiedy przybyłem do Mostwiłowicz, zastałem tu pierwszy pluton Majewicza, mający to samo zadanie. Wobec takiej sytuacji przesunęliśmy się kilkaset metrów na północ od stanowisk pierwszego plutonu i na niewielkim wzgórku, przy nawpół rozbitym wiatraku, wykopawszy naprędce wnęki strzeleckie, wystawiliśmy placówki. O zmianie położenia powiadomiliśmy natychmiast dowódcę kompanji.

Noc była cicha, upstrzona gwiazdami, lecz jak na sierpień, trochę za chłodna. Mocno strudzeni całodziennym marszem, przeszłą burzą, oraz wieczorną potyczką, spaliśmy snem sprawiedliwych, na zniesionych pod wiatrak snopach żyta. Pachniało chlebem i ziołami.

Tę błogą ciszę sierpniowej nocy, przerywał od czasu do czasu silny, nieco wystraszony głos czujki.

— Stój! Kto idzie?! — zlewało się z jednoczesnem nabijaniem Berthiera. Zrywał się tedy z rozbabranej słomy „rozprowadzający" i gonił w kierunku zaniepokojonego głosu. Po stwierdzeniu okazywało się, że to tylko złudzenie zmęczonych oczu, uparcie wpatrzonych w cień nocy.

Ha! młodzi jeszcze byliśmy, moi przyjaciele i niewprawni. Najmniejsze poruszenie trawy, szelest liści na krzaku, głupia łodyga ziela stercząca samotnie na miedzy, nasuwała pewnik, że to nieprzy-

jacielski podsłuch lub szperacz skrada się zdradziecko ku nam.

W międzyczasie zaniepokoiła nas i postawiła na nogi krótka i energiczna palba broni ręcznej z prawej flanki na placówkach przy folwarku Mostwiłowicze. Wysłaliśmy natychmiast do Majewicza łączników, dla stwierdzenia powodu strzałów. Łącznicy wrocili meldując, że patrol zwiadowczy pierwszego plutonu, wysłany w stronę wsi Dunajczyc, natknął się na silną placówkę bolszewicką, tracąc ciężko rannego w nogę strzelca Ceśka Urbanowicza, ulubionego anegdociarza.

Z nadejściem dnia wysłał Majewicz w tym samym kierunku silniejszy patrol z karabinem maszynowym pod dowództwem kaprala Tomka Grzanki z zadaniem, o ile to będzie możliwe, odbić rannego Urbanowicza.

Patrol Grzanki w Dunajczycach Moskali nie zastał, a na pytanie stawione cywilom, czy nie widzieli przypadkiem, jak prowadzili bolszewicy rannego naszego żołnierza, chłopak z tej wsi, drżąc ze strachu zakomunikował, że Mochy zakopali go żywcem za stodołą i wskazał miejsce zbrodni czerwonych.

Odkopany Urbanowicz, leżał w pozycji skurczonej, a usta i oczy miał zasłonięte rękoma. Widać, że w ten sposób bronił się biedak rozpaczliwie przed sypiącym się w nie piaskiem.

Ciężką i zarazem straszną musiał mieć śmierć kochany przez wszystkich towarzysz broni. Lecz osiągnął to czego pragnął gorąco. W każdej niemal poważnej dyspucie ten, zawsze uśmiechnięty i nieznający nigdy smutku peowiak, twierdził z zapałem, że największe osiągnie szczęście, gdy z bronią w garści umrze w obronie Ojczyzny.

Stało się zadość twoim życzeniom, kolego, lecz kompanja mocno odczuła twoją bezpowrotną nieobecność. Bo, czy to w dalszych naszych bojach, uciążliwych marszach, gawędach przy wesoło trzaskającym ognisku, czy też chwilach okresowych głodówek, mało kto potrafił podtrzymać humor kompanji tak, jak on to robił swojemi niewyczerpanemi „kawałami".

Odszedł z szeregów naszych zbyt wcześnie. Wykreślono Go z listy żyjących, zapomniano, lecz my, którzy z Nim wspólnie wyszliśmy na pierwsze boje i pozostaliśmy przy życiu, pamięć o tym Drogim Towarzyszu broni, zachowamy na zawsze. Niech śpi spokojnie!

Następnego dnia o godzinie 6-tej, drugi pluton otrzymał rozkaz cofnięcia się do Liskowa. Zastaliśmy tam już odpoczywające i wcześniej ściągnięte z placówek, plutony kompanji. Mieliśmy stanowić odwód bataljonu. Zajechała z parującą kawą kuchnia. Rzuciliśmy się z wilczym apetytem na czarny wrzątek, aby rozgrzać zmarznięte chłodem nocy ciała i zaspokoić dokuczliwy głód.

Po śniadaniu, wylegując się na trawie, rozkoszowaliśmy się ciepłemi promieniami wolniuśko pełzającego po niebie słonka, omawiając na różne sposoby nocny wypadek z Urbanowiczem.

Zabawę zepsuła nam artylerja bolszewicka, sypiąc półgodzinny szybki ogień. Rezultatem dowcipu czerwonych artylerzystów były strzaskane odłamkiem granatu cztery karabiny, pocisk wybuchł w pobliżu naszych kozłów. Mieliśmy trochę niepewne miny, leżąc bezradnie z nosem wetkniętym w trawę. Kiedy kanonadę przerwano przeszliśmy w bezpieczniejsze miejsca, za stodoły, a w niedługim cza-

sie pomaszerowaliśmy do folwarku Boryczew na osłonę własnej artylerji.

Nazajutrz około godziny 16-ej nacieraliśmy na miasteczko Kleck. Nasza kompanja szła w drugiej linji. Ciągnęliśmy rowami piaszczystego traktu, bardzo powoli, przystając co chwila krócej lub dłużej, nieprzyjemnie macani przez artylerję przeciwnika. Tu bitwa była gorętsza jak pod Liskowem. Mieliśmy kilku rannych. Romkowi Kozłowskiemu odłamek granatu oberwał w brzydki sposób dolną szczękę. Zmarł w drodze do szpitala. Bitwa przeciągnęła się do nocy. I tu, jak w potyczce pod Liskowem, pierwsze skrzypce tego koncertu grał porucznik Kaczyński. Przeprawiwszy się o zmroku przez błotnistą rzeczkę Łań, uderzył niespodzianie na Kleck z północnej strony, zabrał do niewoli cały sztab sowieckiego pułku i brygady, i bój dla bataljonu zakończył pomyślnie. Za to, jako rewanż ze strony Moskali, w następnym dniu kleckiego zwycięstwa, napędzono porucznikowi Kaczyńskiemu „kota".Wysuniętego daleko poza Kleck, kiedy bractwo najspokojniej jadło obiad, mając słabe ubezpieczenie, napadł silny patrol bolszewicki i rozpoczął bezładną, gorącą strzelaninę. Zrobiło się z tej racji trochę chwilowego nieporządku w kompanji, a nawet Kaczyński został lekko ranny w głowę. Do szpitala jednak nie wyjechał, pozostał przy swoich chłopcach i dłuższy czas paradował na czele „trzeciaków" z obandażowaną głową.

Kiedy bataljon wymaszerował w stronę Cimkowicz dla dalszej akcji, drugi pluton pozostał w Klecku, w celu ochrony dowództwa grupy, zaprowadzenia porządku w mieście i wyłapania kryjących się po chałupach bolszewików. Byliśmy tu przyboczną

gwardją, a ja, jej dowódca, czasowo „komendantem placu".

Zajęliśmy się najpierw pogrzebem Urbanowicza, którego męczeńskie zwłoki złożyliśmy w starym kościołku. Spędzeni stolarze — cywile, sklecili prostą, żołnierską trumnę i ociosali krzyż. Żołnierze przy pomocy kleckich dziewcząt uwili wianki i wymalowali skromną blaszkę z nazwiskiem i datą śmierci naszego przyjaciela. Po południu z wielką, jak na wojenne czasy paradą, urządzono pogrzeb.

Dwie sekcje plutonu brały udział, jako oddział honorowy. Z kościołka pogrzebowym marszem kroczyliśmy na cmentarz, niosąc na ramionach bielejącą trumnę. Kondukt pogrzebowy zaszczycił swą obecnością dowódca grupy, pułkownik Boruszczak. Po drodze przyłączyło się do tego smutnego pochodu kilkudziesięciu cywilów. Nucąc jakąś żałosną pieśń sunęliśmy przez groblę na wzgórek, gdzie czernił się w zieleni drzew, osnuty ciszą wiecznego spokoju, cmentarzyk klecki.

Na cmentarzu pułkownik Boruszczak miał krótką i piękną przemowę, skrapiając ją kilkoma łzami. Cywile płakali prawie wszyscy.

My, żołnierze, chociaż nas tam coś mocno kłóło w oczy i ściskało za grdykę, pociągając cichutko nosami, zachowaliśmy miny marsowe, wiedząc o tem dobrze, że... „zobaczym się jutro może"... jak brzmi nasza piosenka. Sprezentowaliśmy z trzaskiem broń, trumnę wolniuśko spuszczono do dołu, zadudniało głucho wieko pod grudami piasku i za kilka minut, widniał na świeżem nasypisku ziemi, nowy, dębowy krzyż.

Podobnych mogił i krzyży, zostawiliśmy na drodze przygód wojennych dziesiątki.

Zkolei poruczonych nam tu czynności, urządzi-

liśmy w nocy obławę na ukrywających się bolszewików. Zaaresztowaliśmy piętnastu niemogących się wylegitymować typów. Prócz tego znaleźliśmy dwa aparaty telefoniczne wojskowe i cztery ręczne karabiny.

W czasie tej niewinnej rewizji nie brakło i emocji. Gdy wchodziliśmy do jednego, mocno podejrzanego mieszkania, skąd rzekomo miał wychodzić telefon podziemny, łączący bolszewików z miastem, z ciemni pokoju buchnął strzał rewolwerowy. Głupia kula przeszła mi pod pachą, rozdzierając, zresztą nieszkodliwie, mundur. Z chwilą, gdy padł strzał, strzelec Borowski skoczył w tym kierunku, zadając pchnięcie bagnetem. Zdążył w sam czas, gdyż jakiś człowiek, który strzelił do nas, usiłował wyskoczyć przez okno do ogrodu, lecz ostre żądło bagnetu strzelca Borowskiego pokrzyżowało mu plany, przebijając lewy bok.

Był to, jak się potem okazało, komisarz bolszewicki z pyskiem semity i rudym łbem. Żył jeszcze, podrygując w śmiertelnej agonji kilka minut. Jego przyjaciela, który ukrywał się w następnym pokoju, odtransportowaliśmy z resztą przytrzymanych do sztabu dywizji.

Po kilku dniach gorliwego urzędowania w Klecku, gdy ktoś inny objął funkcję komendanta placu, kiedy sprowadziła się tu żandarmerja polowa i przymaszerowała kompanja techniczna dywizji, otrzymaliśmy rozkaz niezwłocznie dołączyć się do bataljonu. Zajmował on pozycję gdzieś w okolicy Cimkowicz.

IV. MARSZ NA SŁUCK.

Po sprawdzeniu stanu mundurowego i fizycznego, karabinów i amunicji plutonu, spożyliśmy skrom-

ny obiad (nietęgi wikt miała dywizja litewsko-białoruska) i nucąc piosenkę opuszczaliśmy Kleck, idąc do owych Cimkowicz odległych o dwadzieścia i kilka kilometrów.

W pierwszej napotkanej wsi „wyfasowaliśmy" wozy pod tornistry dla ulżenia sobie nieco w marszu i wysłaliśmy wprzód małe patrole. Raz — dla własnego bezpieczeństwa, powtóre — dla samego przypomnienia ubezpieczeń w marszu. Zresztą czasy były niepewne. Po przerwaniu frontu bolszewickiego, na naszych tyłach włóczyły się bezkarnie różne bandy sowieckich maruderów i mogły nam sprawić przykrą niespodziankę. Trzeba było z tego tytułu mieć się zawsze na baczności.

Oddziały własne, ściślej, pierwszą kompanję zdybaliśmy w Ogrodnikach na postoju wypoczynkowym. Po zameldowaniu się u dowódcy kompanji osobiście i telefonicznie u dowódcy bataljonu, po zapewnieniu sobie kwater w stodołach chłopskich, rozleźliśmy się po wsi w celu odszukania przyjaciół i zasięgnięcia świeżych wiadomości.

Dowiedzieliśmy się tu, że bolszewicy, mając przerwany front w okolicach Mińska Litewskiego, a obawiając się polskiej jazdy, która wjechała im na tyły głębokim zagonem, i popędzani nieco z pod Lachowicz, cofali się bardzo szybko na Bobrujsk, stawiając gdzieniegdzie mały opór, dla uratowania swych taborów i artylerji.

Od mieszkańców wiosek przytraktowych, odnoszących się przychylnie do nas, (w większym procencie byli to zbiałoruszczeni Polacy), dowiedzieliśmy się, że czerwone „towarzystwo" cofało się na zarekwirowanych podwodach chłopskich, goniąc do upadłego zbiedzone koniska.

Dowództwo nasze, nie tracąc dużo cennego czasu na uciążliwe marsze i obowiązkowe postoje, urządziło się bardziej pomysłowo. Rozpoczęliśmy pościg za Mochami na ciężarowych samochodach, których do własnej dyspozycji mieliśmy aż trzy, przysłanych przez sztab dywizji. Były to stare gruchoty, mocno sterane wiekiem i psuły się co kilka kilometrów na wyboistej drodze. Jeden transport zabierał całą kompanję. Przewiezieni do Słucka zastaliśmy już tam pułki jazdy. O ile pamięć mnie nie myli, był to 10-ty i 3-ci pułk ułanów.

Ta nasza młoda i czupurna kawalerja, mimo nieprzyjaznych warunków terenowych, wdarła się Moskalom na tyły, siekła „burków" ile wlazło, zabierając masami do niewoli. Sukces zwycięskiego pochodu kawalerzytów mieliśmy możność oglądać w Słucku, w postaci setek wylękłych niewolników, wielkiej ilości taborów, artylerji, a nawet lekkich czołgów.

Uznanie kawalerzystów wyraziliśmy przez okrzyki: „oddaj bolszewików!"... i po niedługim wypoczynku w historycznym Słucku, ubezpieczywszy się, pomaszerowaliśmy szosą na Bobrujsk, szukając przeciwnika, który bądź co bądź musi się wreszcie zdobyć na odwagę i postawić jaki taki opór w tej ucieczce.

Zaraz za Słuckiem spotkaliśmy małą przeszkodę. Była nią wartka rzeka Słucz ze spalonym przez bolszewików mostem. Bataljon zatrzymał się, a oddział przedni z niedopalonych desek sklecił przejście. Zajęło to sporo czasu. Most już naszej konstrukcji, a raczej kładkę niezdarnie ułożoną na opalone zręby słupów przez oddział przedni, przechodziliśmy gęsiego, rozłożywszy poziomo ramiona dla utrzymania równowagi.

Przeprawa ta odbywała się ze śmiechem, złośliwemi żartami i przykremi wypadkami dla niektórych kolegów. Nadpalone deski pod większym ciężarem, w momencie nie przestrzegania nakazanej odległości, łamały się i niefortunny pasażer dawał nurka do wody.

Beznadziejną minę miał podporucznik Kowalski, przyglądając się z wysokości nasypu niefrasobliwej przeprawie piechurów. Wiedział z góry, że gdy pójdzie za bataljonem, to maszynki jego co do jednej znajdą się na dnie Słuczy. Więc machnął się któryś za przewodnikiem i karabiny maszynowe z taborami poszły szukać brodu. Późno w nocy dołączyły do nas. Nocleg wypadł w mocno zabłoconej i psami wypełnionej wiosce. Nazajutrz bardzo wcześnie i na czczo pomaszerowaliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się przed rzeczką Oressą. Bataljon rozlokował się w miejscowościach po obu str nach szosy Słuck — Bobrujsk, organizując obror a pierwsza kompanja jako odwód, skręciwszy szosy na północ, ulokowała się w folwarku Mel tanowo.

Tu mieliśmy dwa dni nudnego wyczekiwania. Tymczasem patrole konne i piesze szukały wiadomości o nieprzyjacielu.

Po zdobyciu informacyj o sile i ugrupowaniu oddziałów przeciwnika za Oressą, rozpoczęliśmy natarcie na wieś Gorki. Nasza kompanja w pierwszej linji, rozsypana w długą i zakrytą lasami tyraljerę, sunie po lewej stronie szosy Słuck — Bobrujsk. Pluton drugi na lewem skrzydle kompanji utrzymuje łączność z czwartakami, idącymi śpiesznie na Nowosiołki. Kompanja trzecia z prawej strony szosy, człapiąc po błocie, naciera na wieś Gorki, a druga w odwodzie.

Teren był błotnisty i porośnięty gęstwiną drzew i krzewów. Plątamy się więc w krzakach, co chwila tracąc łączność i kierunek. Powstaje z tej racji, wbrew nakazom zachowania się cicho, gadanie i nawoływanie się. Nadobitkę Mochy walą z karabinów maszynowych, mętlik robi się jeszcze większy. Sekcyjni piorunują po szewcku i za wszelką cenę starają się utrzymać porządek, co im się wreszcie udaje, ponieważ ogień maszynek bolszewickich góruje. Przeskakujemy leśną drogę. Wkrótce jaśnieje między drzewami, kończy się las, wchodzimy w teren otwarty. Obok tyraljerów zakotłowało się wtedy od ognia bolszewickiej piechoty. Przycupnęliśmy w wysokiej trawie, aby przeczekać gorączkowe napięcie palby i wyszukać stanowiska Moskali.

Ukryci na lizjerze lasów po drugiej stronie rzeki, kropią do nas, jak do kaczek. Stanowisk ich nie widać, więc z naszej strony nie padł jeszcze ani jeden strzał. Lecz niedługo zarechotały i nasze maszynki. Ogień przeciwnika osłabł nieco. Korzystając z chwili, grupkami dopadamy niewielkiego wzniesienia, narzucamy przed nos trochę piasku i grzejemy z karabinów po czerniejącym przed nami lesie z nadzieją, że się może coś ustrzeli.

Lecz niedługo znowu trzeba wysunąć się z trawy na całą wysokość swej ostrzeliwanej osoby i ile sił w nogach przeskoczyć kawał terenu, żeby kucnąć w załomie ziemi i walić z rozgrzanego karabinu, ile się tylko da.

Odległość między nami a bolszewikami zmniejszyła się wreszcie na szerokość rzeki Oressy. Nie można jej ocyganić przejściem w bród, jak to miało miejsce z Szuszenką pod Liskowem. Oressa wprawdzie niezbyt szeroka, płynie spokojnie w korycie o wysokich brzegach, ale w tem miejscu jest zbyt

głęboka, aby móc ją przejść, nie zanurzywszy się z głową. Zresztą tuż na drugim brzegu, przesłonięci krzakami, biją z karabinów Moskale. Wkopujemy się zatem w ziemię i strzelamy, mając nadzieję, że wodzowie nasi coś „wykąbinują" i spłoszą Mochów z ich skrytych stanowisk.

Imponuje nam swojem zachowaniem się w tej gorączkowej strzelaninie, dowódca bataljonu, kapitan Pyszko. Chcąc zorjentować się w pozycji bolszewickiej, spaceruje sobie spokojniuśko wzdłuż tyraljerów i przez lornetę uważnie wypatruje bolszewików za rzeką.

W międzyczasie, „czwartacy", nie mając, czy mając słabszego przeciwnika przed sobą, zabierają łódki w Nowosiołkach, przeprawiają większy oddział za Oressę i zagiąwszy front z północy, zmuszają bolszewików do odwrotu. Biegnie zaraz po linji tyraljerów rozkaz: „przerwij ogień!" — aby nie postrzelać „czwartaków".

Niebawem robimy zbiórkę i w wesołym nastroju maszerujemy do Gorek. W Gorkach otrzymuję rozkaz od dowódcy bataljonu, aby natychmiast przeprawić się z plutonem za Oressę i zająć wieś Sołon, wysuniętą na wschód o cztery kilometry, przez co zabezpieczyć przeprawę bataljonu.

Most jeden na szosie był spalony, drugi za wsią Gorki rozebrany.

Zdobywamy więc przy pomocy chłopa rozeschłą łódkę, zatykamy naprędce dziury szmatami i przeprawiamy się za Oressę. Ominąwszy placówki „czwartaków", i wysunąwszy macki szperaczy przed siebie, posunęliśmy się wolno rowami na wschód do Sołona. Po drodze co kilka kroków, znajdujemy zagubione, a bezwartościowe części ekwipunku rejterujących czerwonych.

Skoro weszliśmy do Sołona, zgotowali nam miłą niespodziankę mieszkańcy, wśród których spotkaliśmy dużo Polaków, witając nas z nieopisanem uniesieniem. Dumni byliśmy z siebie, że przynieśliśmy im swobodę.

Kiedyśmy rozgospodarowali się już na dobre, ubezpieczyli i ugasili płonący most na strumyku Sołon, nadbiega goniec z rozkazem cofnięcia się do Gorek. Wykonujemy ten rozkaz wśród płaczu cywilów. Pocieszamy ich, że wrócimy napewno i to może dziś jeszcze w nocy w większem towarzystwie.

W Gorkach zjadamy zimny i niesłony obiad — co na wojnie zdarza się dość często — i na deser otrzymujemy nowy rozkaz ubezpieczenia Gorek ze wschodniej strony. Zajmujemy więc jakąś zrujnowaną gajówkę, gdzie umieszczamy odwód plutonu, wystawiamy placówki, nawiązujemy łączność z sąsiadami za pomocą gońców, i — czuwamy. Zapada ciemna, jak otchłań, noc. Zaczyna rosić przejmujący do szpiku kości kapuśniaczek. Do jakiego stopnia taki kapuśniaczek jest nieznośny, wie ten, kto bez płaszcza zmuszony był całuśką noc kontrolować czujki zmęczone całodziennym trudem bojowym, a rozstawione w ociekających wodą haszczach.

Nazajutrz, ledwie łyknęliśmy trochę gorącej kawy, przyniesionej przez kuchcików, doręczono mi rozkaz dowódcy kompanji, aby zająć zpowrotem wieś Sołon, ubezpieczyć się i wyznaczyć kwatery dla kompanji, która za godzinę ma tam przymaszerować.

Skwapliwie wykonuję ten rozkaz.

W oznaczonym czasie przymaszerowała kompanja z taborami i kuchnią. Z placówek zluzował mnie pluton Majewicza. Nastąpił rzetelnie zasłużony wypoczynek. Zamiast skorzystać z niego uczciwie

i przespać się po nocy, spędzonej na nieustannem czuwaniu, brać żołnierska rozlazła się po wsi niby postarać się o coś do zjedzenia, a więcej — za dziewczynkami. „Sitwes" natomiast czyścił zapamiętale karabiny. Potem obiad, śpiewy, gawędy, baraszkowanie po trawie, rżnięcie w karty, wreszcie późnym wieczorem kropnęliśmy się spać na pachnące siano.

Ktoś mądry powiedział, że wojna składa się z niespodzianek. Doświadczyliśmy tego na własnej skórze. A i dziś, kiedyśmy spali w najlepsze, biega jak zwarjowany podoficer służbowy po stodołach, wrzeszcząc na całe gardło:

— Alaaarm! Alaaarm!!! Zbiórka na placu alarmowym!

Co to jest alarm w nocy na froncie? Zrywasz się, bracie, na równe nogi, jakby rzucony sprężyną, kłapiąc z zimna zębami, łapiesz poomacku swoje (czasami nieswoje) ubogie mienie pod obie pachy, nabijasz kilka guzów o wystający karabin sąsiada, menażkę lub niedomknięte wierzeje i galopem pędzisz na wyznaczony przedtem plac alarmowy. Po drodze w biegu zaczynasz, a na miejscu kończysz ubieranie. Trwa to wszystko dwie, trzy minuty. Marudzenie może przynieść brzydkie następstwa. To też śpieszysz się, jak się tylko da i dziwisz się, że drżące łapska lewą nogawicę wciągnęły na prawą nogę. Ale to zaraz poprawisz i za parę minut gotów jesteś maszerować wprzód czy wtył, to już zależy od sytuacji, która spowodowała alarm. Tak było mniej więcej i z nami w Sołonie.

Już maszerujemy w stronę Gorek. W jakim celu? — tajemnica. Nikt ci o tem zresztą nie potrzebuje mówić, ale od tego jesteś żołnierzem na froncie, żebyś wszystko sam wywąchał i wiedział.

Obok kolumny przejeżdżają w galopie, w od-

wrotnym kierunku żółci ułani. — Czy odwrót? — przechodzi — podaj dalej! — przez kolumnę pytanie.

— Nie! — goni z czoła odpowiedź. No, chwalić Boga. Ale poco było tak mocno się spieszyć, do stu djabłów? — dręczy nas pytanie.

W Gorkach tajemnica alarmu zostaje wyjaśniona. Po ustawieniu broni w kozły, po zdjęciu oporządzenia, czekając na przymarsz z różnych odcinków reszty bataljonu, poszedłem odszukać wszystko wiedzącego i pracującego w sztabie plutonowego Franka Krajewskiego. Lubiał on się trochę dekować (nie gniewaj się Franiu, ale tak było!) i pełnił funkcję szefa baonu. Znalazłem Frania przy wozach spakowanej i gotowej do odjazdu kancelarji. Po serdecznym uścisku rzuciłem od niechcenia lakoniczne pytanie:

— Wiejemy?

— Nie.

— A powód zbiórki?

— Jedziemy do „regimentu".

— Niepodobna?

— Jak Boga kocham! — i nastąpiło opowiadanie w szczegółach o tej jeździe. Mamy maszerować do stacji Sieniawka, zawagonować się do rzekomo czekającego pociągu i odjechać niezwłocznie do pułku. Naszego pułku, który bije się gdzieś w okolicach Połocka. Opuszczoną przez nas pozycję obsadzili ułani.

Radosna wiadomość obiegła kompanje lotem błyskawicy, podawana z ust do ucha. Zrobił się wielki rejwach, gadanie, krzyki i napoczekaniu zorganizowano kocią muzykę, chcąc radość, wypełniającą serce po brzegi, jak najgłośniej wyrazić.

V. KONTREDANS MARSZOWY

Do tej Sieniawki z miejsca ostatniego postoju mieliśmy sto kilometrów z dobrym okładem, mówiąc językiem tubylców — „z hakom". Prościuteńko szosą na zachód. Wtedy, kiedy mieliśmy ten marsz odbyć, o tych przeszło stu kilometrach nie wiedzieliśmy; wiem to dziś, patrząc na mapę. Wtenczas mówiono nam, że to niedaleko. „Kawałek drogi za Słuckiem!"

Zjedliśmy śniadanie, opatrzyliśmy na wszelki wypadek nogi, źle okręcone onucami w pośpiechu alarmowym, poprawiliśmy coś niecoś przy rynsztunku, naleliśmy do manierek na zapas drugą porcję czarnego wrzątku, a kiedy słonko, wzniósłszy się ponad lasy, dobrze przypiekało, wyciągnął się bataljon w długiego węża i śpiewając, pomaszerował do tej Sieniawki.

Zaraz, pierwszego dnia marszu stwierdziliśmy, że w intendenturze braci Litwinów, z chwilą porzucenia przez nas ich miłego towarzystwa, popsuło się coś, albo też prowiantowy bataljonu, nie utrzymywał z nią należytej łączności. Po pierwsze: obiad dostaliśmy niesłony i menu składało się z tak zwanej „galop zupki". Po drugie: wieczorem, gdyśmy odwalili odpowiednią ilość kilometrów i zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi na nocleg, dostaliśmy do połowy zmniejszoną porcję chleba. Drugiego dnia chleba nie dostaliśmy zupełnie, a strawa z kotła była pod psem. I tak już było aż do Sieniawki.

Żołnierz lubi mieć zawsze, a tembardziej na wojnie, pełny żołądek, jeśli mu nie napełni go prowiantura, uzupełnia braki własnym przemysłem. To też nic zgoła dziwnego, że, gdy tylko zabrakło chleba, każdy radził sobie, jak mógł i jak się tylko dało.

W przemarszu lub na postojach we wsi, znikały gosposiom wygrzewające się leniwie w słońcu sery, często i to dość często, nie wracały „zabłąkane" kury do rodzinnych zagród, „topiły" się na wodach pluskające się gęsi i kaczki, a nierzadko ginęło i prosię mniej przezornemu gospodarzowi. Zażalenia pokrzywdzonych, wnoszone przed smutne oblicze kochanego powszechnie staruszka, kapitana Pyszki i jego groźby sądem polowym — nic nie skutkowały. Głód zrobił swoje, a wiarus „wyfasowaną" gęś, kurę, kaczkę, czy prosiaka potrafił skryć, a po skończonej rewizji, podzielić się sprawiedliwie z kolegami. Nigdy, broń Boże, nie „fasowało" się dla siebie, zawsze „fasunek" był przeznaczony dla „sitwesa" sekcji lub plutonu i tu był rzetelny podział.

Lubiliśmy obserwować strapioną minę naszego kapitana, kiedy to po przenocowaniu we wsi, zebrany bataljon czekał na zbiórce, a nasz staruszek szedł przyjąć raport, eskortowany przez skrzywdzone i lamentujące baby i chłopów. Był zły, wściekle zły i kończyło się na tem, że kazał adjutantowi wypisywać kwity. Za to w marszu, raz wyśpiewane z bogatego repertuaru piosenki, powtarzaliśmy znowu od początku i humor, dyscyplina, mimo ciężkiego marszu była, dla pocieszenia staruszka, utrzymana wzorowo.

A marsz był naprawdę uciążliwy do tej — jak „branż" nazywała, „ziemi obiecanej". Słońce, mimo późnego lata, prażyło niemiłosiernie. Pot wygryzał oczy i żłobił ścieki na zakurzonych pyskach, lał się strumieniami za kołnierz, ściekał po plecach w nogawice. Tornister ciężki jak góra, chylił ku ziemi grzbiet, a rzemienie, boleśnie wżerały się w ramiona.

Później marszów podobnych mieliśmy moc i stokroć uciążliwszych. Były takie, gdzieśmy, aby dopiąć

celu, wydobywali z umęczonych mięśni ostatki sił, w oczach świeciły jakieś niesamowite blaski z nadludzkich wysiłków. Głód doprowadzał mniej wytrzymałe jednostki wprost do szaleństwa. Ale tamte marsze mniej zaprzątają naszą pamięć, gdyż były to już wtedy dla nas rzeczy powszednie, byliśmy zahartowani już na stal i mieliśmy zaprawę. Ten marsz, o którym tu dziś wspominam, był to pierwszy dłuższy nasz marsz o głodzie, w spiekocie słońca i w niezbyt dogodnych butach. Dlatego tak mocno utkwił w naszej pamięci, że go wydrzeć nic nie zdoła.

Mocno strudzeni, ale w doskonałych humorach i nadzieją w duszy, piątego czy nawet szóstego dnia przymaszerowaliśmy o zachodzie do Sieniawki. Dano nam wygodne kwatery, niepełną rację chleba, — piekł go w jakimś dworku z zarekwirowanej mąki, na ten cel specjalnie delegowany Majewicz z kilkoma ludźmi — i cienką zupę. Po spożyciu tak skromnej porcji, polecając ducha Bogu, kropnęliśmy się spać.

Nazajutrz pobudka odbyła się normalnie, potem obrządek toaletowy przy studniach, czarna kawa pita na tempa, i kiedy byliśmy gotowi odmaszerować na stację, kapitan Pyszko otrzymał rozkaz, — może nadszedł wcześniej, tego dobrze nie wiemy, — maszerować z powrotem za Słuck.

Miny zrzedły nam momentalnie, ale nie na długo. Dla pocieszenia nas zadecydowano jednodniowy wypoczynek. W tym celu udaliśmy się o dobry kilometr na południe do wsi Ponacza.

Mając dwadzieścia cztery godziny do własnej dyspozycji, postanowiliśmy je wykorzystać. To też zawrzało w Ponaczy, jak w ulu, a brzeg strumyka pokrył się bielą świeżo wypranej bielizny. Grzejąc w słońcu obnażone ciała, reperowaliśmy buty i ubra-

nia, bili wszy i doprowadzali do porządku, rozpaczliwie odparzone nogi. Czyściliśmy i smarowaliśmy broń i amunicję. Wieczorem każdy z nas dostał podwójną porcję prowiantu, a dnia następnego wypoczęci i syci, ze śpiewem pomaszerowaliśmy szosą na Bobrujsk.

O ile mnie pamięć nie myli, mieliśmy dłuższy postój w tym powrotnym marszu w Bronowiczach, sąsiadujących ze wschodniej strony ze Słuckiem. A że ten postój był, to pewna, do Słucka przecież chodziliśmy na ułańską wieczorynkę.

Szliśmy potem wśród tumanów kurzu na Gorki i Sołon, a minąwszy go, zapadliśmy na postoju w Starych Drogach. Gdzieś bardziej na wschodzie cofali się bolszewicy na Bobrujsk. Front żył i krwawił się, a myśmy na tyłach tańczyli kontredanse, niweczące młody entuzjazm i rodzące zniechęcenie. Topniały szeregi od tyfusu i biegunki. Z braku odpowiedniego wiktu żarło się zielone owoce, marchew, brukiew i popijało wodą. Ilość chorych powiększała się z dnia na dzień. Miał rzetelną pracę doktór porucznik Rymaszewski ze swymi „łapiduchami". Jadąc na ogonie kolumny, zbierał stękających w przydrożnych krzakach, ładował na wozy i karmił lekami.

Bataljon zakwaterował w Starych Drogach w miasteczku, a pierwsza kompanja z braku miejsca wysunęła się jeszcze o dwa kilometry na wschód i ulokowała we wsi Stare Drogi. Gnuśnieliśmy kilka dni, przerabiając ćwiczenia polowe w dzień, a w nocy wystawiając placówkę dla rzekomego bezpieczeństwa. Szewcy i krawcy kompanijni doprowadzali w międzyczasie do porządku nasz mocno sfatygowany przyodziewek. Wreszcie pięknego popołudnia wyruszyliśmy ze smrodliwych kwater. Za wioską skręciliśmy z szosy na południe i wsiąkliśmy w błot-

niste lasy. Do opuszczonej, cichej wsi niosło echo nasz śmiech, rozgwar i śpiew. W krainie oparzelisk i borów czuliśmy się wybornie. Instynkt protoplastów, gnieciony wiekami cywilizacji, obudził się w sercach i odmłodniał. Czując w sobie młodzieńczość, karabin na ramieniu i gdzieś skrytego w haszczach wroga, wyliśmy pieśni zwycięstwa. Darliśmy się, jakbyśmy z siebie duszę wyśpiewać chcieli. Sędziwe drzewa kiwały ku nam brodami rozłożystych konarów. I tak śpiewająco, hucznie i buńczucznie wdarliśmy się do małego, osnutego ciszą sadu, folwarczku Petrowicze. W sąsiednim dworze Pałasiewicza kwaterował bataljon. Dwór, jak i jego sąsiad folwarczek, były prawie nienaruszone, a ich właściciele cieszyli się najlepszem zdrowiem. Było to dla nas wprost niewytłomaczone, że łapa bolszewicka tego nie zniszczyła. Dotychczas w naszej wojnie spotykaliśmy miast dworów zgliszcza, popioły i mogiły ich właścicieli. Zewsząd wiała pustka.

Wstawaliśmy zwykle rano i pędziliśmy do lasu z Kieroniem i Majewiczem. Prawie cały dzień przesiadywaliśmy w borach, chcąc upolować dzika, wilka, lub ułowić rybek w błotnistym strumyku. Prawie zawsze wracało się jednak z próżnemi rękoma, z kurczem głodowym żołądka, gadając zażarcie i kłócąc się.

Z Petrowicz, po jednodniowym marszu znaleźliśmy się w skomunizowanym Głusku. Zaczęły krążyć wersje wśród wiary, że bataljon przydzielono do I-szej dywizji Wielkopolskiej. Znowu, psia mać, cudzy garnek! a tak mocno pragnęliśmy połączyć się z pułkiem. Może skończyłaby się piekielna nuda, dziczenie w lasach i ciągłe obijanie się poza frontem. Żądni przygód, warjowaliśmy poprostu w bezczynności.

Przez czas pobytu bataljonu w Głusku, zdarzyło się, że wykryliśmy szpiega wśród mieszkańców, że utonął w płynącej obok Ptyczy, pławiący konie taboryta, no i że w zastępstwie chorującego szefa kompanji objąłem tymczasowo kancelarję.

Z Głuska przez Horodok i Tarasowicze w dwa dni przeszliśmy do Osipowicz. Tworzyliśmy tu odwód dywizji Wielkopolskiej, ściślej, grupy pułkownika Ostrowskiego.

Tu działo nam się lepiej, niż u Litwinów. Braliśmy regularnie prowiant i gażę. Zamiast zeschłego i spleśniałego komiśniaka, dostawaliśmy biały pszenny chleb, zupy nieco potłuściały, kopciliśmy pyszne, opjumowane papierosy. W dodatku, widać dla uprzyjemnienia nam życia i utrwalenia przyjaźni, załadowano nas do pociągu i przewieziono do Mińska Litewskiego.

Mińsk zgotował nam, maszerującym ulicami na wyznaczone kwatery, wielką owację. Tłumy cywilów, tłoczących się po obu stronach kolumny, tworzyły szpaler. Witali nas niemilknącemi oklaskami, zarzucali kwiatami, wznosili pełne radości okrzyki na naszą cześć. Szliśmy dumni, krokiem sprężystym, śpiewając ochoczo. Przeszliśmy Swisłocz, minęliśmy park i wsiąkliśmy w podwórko budynków szpitalnych, aby po zapewnieniu sobie miejsca do spania, rozsypać się po mieście w celu jakiego takiego ucywilizowania rozczochranych łbów.

Żyło się tu poprostu rozkosznie. Prawdziwe restauracje z zaopatrzonemi obficie bufetami, asfalt, szyny tramwajowe (bez tramwai), kinematografy, „tańczące" sale Białego Krzyża, płeć piękna, kazały nam zapomnieć, że jest gdzieś wojna i że się ludzie wzajemnie mordują. Wzamian pędziliśmy życie dalekiego garnizonu z wartami i służbami. Co jest do-

bre i sprawia przyjemność, kończy się dość prędko, pozostawiając niezatarte wspomnienia. Tak było i z nami.

Pewnego dnia, gdy w najlepsze cieszyliśmy się życiem większego miasta, zawagarowani w kinach, knajpach i na randkach, spodobało się komuś urządzić alarm. Trąbka! trąbkę słychać było zaledwie w obrębie kwater, więc co było na miejscu spakowało manatki i odmaszerowało na stację. Reszta w pojedynkę i grupkami dołączała później przez trzy dni.

Stłoczeni w wagonach po sześćdziesięciu waliliśmy, ile było pary w lokomotywie pod Bobrujsk. Podobno sprawili bolszewicy Wielkopolanom gorącą łaźnię i nas pchają na odsiecz. Stało się jednak inaczej. Z jakiejś stacji, niedaleko Osipowicz, zawrócono transport i niebawem znaleźliśmy się w okopach nad Berezyną. Ściślej, kompanja trzecia i czwarta tkwiły w głębokich okopach, natomiast sztab bataljonu, kompanja pierwsza i druga, szukały pocieszenia u pięknych rumianych dziewuch ze wsi Stare Kamienicze. I na tem właśnie skończyły się nasze marne wyczyny bojowe frontu poleskiego. Niebawem rzucono bataljon na północ, w kraj nam jeszcze nieznany.

VI. POWRÓT NA ŁONO PUŁKU.

Los żołnierzem miota na wojnie z końca w koniec frontu. Nie jest się pewnym dnia ani godziny. „Dziś tu — jutro tam..!" — śpiewamy. To też i Stare Kamienicze niedługo musieliśmy pożegnać i gonić „tam", gdzie nakazywał nowy rozkaz.

Dnia 9 października — a datę powyższą pamiętam dobrze, ponieważ w tym dniu wyjechać miałem

na dziesięciodniowy wypoczynkowy urlop, nastąpił niespodziewany wyjazd ze Starych Kamienicz. Urlop mi odroczono. Trzecia i czwarta kompanja zmienione zostały w okopach przez oddziały Poznańczyków, a my poszliśmy do Chałuja, gdzie był przygotowany pociąg. Przenocowaliśmy jeszcze w Chałuju i dopiero o świcie, 10-go października, zawagonowaliśmy się do transportu.

Windując się do wagonów, dowcipkowaliśmy na temat, że znowu coś gdzieś się zepsuje, coś komuś strzeli do głowy, rozkaz zostanie zmieniony, a my w najlepszym razie zostaniemy w Chałuju, w najgorszym wrócimy do Starych Kamienicz.

Stało się jednak inaczej. Po spożyciu obiadowej porcji niewyczerpanego w intendenturze Wielkopolan ryżu, ruszyliśmy ze startu całą siłą pary w lokomotywie i pędząc z małymi przystankami przez Mińsk, Mołodeczno, wylądowaliśmy na stacji Parafjanowo.

Akurat w tym czasie, kiedyśmy wysypali się z wagonów, nadjechał pociąg ze strony Połocka. Wśród znajomych przyłapałem serdecznego kolegę Staszka Malinowskiego. Jechał do stolicy na urlop.

Po uściskach, objadając się komiśniakiem, obłożonym francuskiemi konserwami, gadaniom nie było końca. Opowiedział mi w streszczeniu o marszach, potyczkach i bitwach, stoczonych przez pułk w tych okolicach. Znalazło w nich śmierć dużo naszych znajomych. Między nimi zginął śmiercią samobójczą, zacny i nieustraszony kolega, sierżant Józek Wróblewski w okolicznościach następujących. Otoczony zgrają bolszewików i wezwany do poddania się, nie mając innego wyjścia, jak śmierć lub niewola, wybrał to pierwsze. Odbezpiecza zatem granat i rzuca przed siebie. Nastąpił wybuch. Odłamek granatu zabija

Wróblewskiego, rani również kilku Moskali. Piękna śmierć Wróblewskiego w podziw wprawiła nieprzyjaciół. I nawet tacy barbarzyńcy, jak bolszewicy, uznali bohaterstwo „białego", a, czcząc jego wysokie poczucie honoru żołnierskiego, sprawili mu pogrzeb z wszelkiemi honorami wojskowymi.

Piszę to nie tylko na podstawie opowiadań przyjaciół. Mówił mi o tem, a bodaj czy nie z większym zapałem i wróg — komisarz bolszewicki — naoczny świadek tej tragedji.

Zginął tu jeszcze, uczeń mój II-go kursu szkoły podoficerskiej, kapral Maniek Morawski. O czynach tego dzieciucha pisał swego czasu w „Żołnierzu Polskim" kapitan Mińkowski. Złożył młode życie „na ofiarnym stosie" kapral Staszek Ptak, opiekun matki staruszki i dwóch nieletnich sióstr. Dostał się do niewoli, z której już nie wrócił, mój dobry przyjaciel z czasów peowiackich i pierwszych potyczek przy rozbrajaniu Niemców, Zygmunt Cegliński. Zacny, szlachetny Zych. Jak dziś, pamiętam ciężkie, głodne czasy na przeszkoleniu przy formującym się pułku, kiedy to Zych, ściągnąwszy bochen chleba z wałówy kolegi Trypucia, obdzielał drużynę, twierdząc z radosną nadzieją, że lepsze czasy nadejdą już wkrótce.

Nie doczekał się ich, złoty chłop!

I zginęło tu jeszcze wielu, wielu innych, w tak krótkim czasie, których nazwisk nie pamiętam.

Smutne, choć pełne ciekawych przygód opowiadanie przerwała trąbka, wzywając nas do broni.

Stuknęły kolby. Ruszyliśmy w nieznany nam kraj pomścić przyjaciół. Szliśmy w chmurach kurzu przez Dokszyce, Berezynę Górną do Pyszna. W drodze, w lasach zaberezyńskich, mieliśmy miłe spotkanie. Trzech wiarusów z naszego pułku, ze starszym strzel-

cem Godlewskim, eskortowało do sztabu grupę przeszło trzydziestu Moskali, chłopów rosłych, jak dęby.

W Pysznie „biegiem" zjedliśmy obiad, „biegiem" uzupełniliśmy amunicję i granaty ręczne, ba! — dano nawet „żelazną porcję" do tornistra. Węszyliśmy grubą bijatykę. Tęskniliśmy poprostu za nią, żądni wrażeń. Wiara błyskała tylko ślepiami za jakąś bardziej „europejską" potyczką.

Tegoż dnia pod wieczór, opuściliśmy Pyszno, kierując się na powiatowe miasteczko Lepel. Tu rzekomo mieliśmy połączyć się z pułkiem. Z uciechy ryknął ktoś piosenkę. Wślad nadszedł z czoła kolumny rozkaz.

— Wycie zabronione! Zachować ciszę!

Seplenił tylko piasek pod okutemi butami i czasami szczęknęło głucho o kamień koło wózków amunicyjnych. Kuchnie, wozy prowiantowe zostały w Pysznie. Zapadła noc. Bataljon zatrzymano we wsi Staje.

Pociemku, wyciągając na całą długość ręce przed siebie, żeby o wystające „coś" nie nabić guza (palenie ogni wzbronione!), szukaliśmy w stodołach miejsc do spania. Jednak spać nam nie dano. Nie dlatego, żeby był na to specjalny rozkaz, tylko z racji ciągłego trajkotania karabinów maszynowych gdzieś w pobliżu i ciężkiej kanonady artyleryjskiej.

Woleliśmy zatem siedzieć przed stodołami, wsłuchiwać się w monotonne gdakanie maszynek, huk dział i przyglądać się błyskom rwących się armatnich pocisków. Tam, wśród tego trajkotania i huku, siedzieli gdzieś nasi przyjaciele z innych bataljonów. Cień nocy rozwidniały palące się w okolicy chałupy. Tu wojna przedstawiła się nam w całej swej grozie.

O świcie, maszynki zarechotały jakoś weselej.

Milczkiem wsunęliśmy się do Lepla. Tu rozłożyliśmy się w budynkach byłego starostwa.

No, nareszcie byliśmy na podwórku naszej 8-ej dywizji piechoty. W skład dywizji wchodziły pułki warszawskie: 21-szy, 36-ty, — jako 16-ta brygada, natomiast 13 pułk i 33 tworzyły brygadę 15-tą. Całość uzupełniał 8-my pułk artylerji polowej.

Pułk nasz stał w okolicy sąsiadującego z Leplem miasteczka Kamienia. Widzieć się jednak i uściskać przyjaciół narazie nie mogliśmy, a nim to nastąpiło, musieliśmy przejść dużo niemiłych i brzemiennych w następstwa wydarzeń.

Tuż za Leplem, od strony południowo-wschodniej znajdował się na pozycji 13-ty pułk. W jakim celu my tu gnuśnieliśmy, było tajemnicą. Najprawdopodobniej jako bliski odwód trzynastki. Feralna liczba. Pierwsze nasze zetknięcie się z nią, spowodowało dużo nieszczęścia.

W Leplu przesiedzieliśmy cały dzień i noc, z tornistrami na plecach i bronią w garści. Nie wolno było wychodzić krokiem poza obręb kwater. Gdzieś coś, o czem wiedział tylko sztab, kluło się niemiłego. Przez cały czas, waliła artylerja i ujadały karabiny maszynowe. Myśmy pocichutku śpiewali sztajera, gotując świeżo zafasowane kogutki.

W nocy, trzecia i czwarta kompanja pod dowództwem porucznika Orso-Siegiedy poszły na wypad. Lecz dżdżysta i ciemna, jak piekło, noc oraz mocno zalesiony teren, całkiem zepsuły go. Kompanje wypadowe straciły kierunek, zos ały otoczone przez przeciwnika i tylko dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności i niewyczerpanej pomysłowości porucznika Kaczyńskiego wymknęły się z rąk bolszewickich, biorąc — jako cały zysk tej nieudanej wyprawy, jednego, też zbłąkanego jeńca.

Nadchodził właśnie okres klęsk i niepowodzeń, które sypały się jedna po drugiej na nas. Twardnieliśmy w nich i porastaliśmy w doświadczenia.

VII. PIERWSZE LANIE.

Z 15-go na 16-go października bolszewicy przerwali front 13-ki, odcięli drogę do Pyszna i zamknęli nas prawie w Leplu. We wsi Staje, gdzieśmy nocowali przed wejściem do Lepla, gościli sobie teraz czerwoni. Wobec tak przykrej sytuacji, wczesnym rankiem, 16-go października zbudzono nas z ciepłego legowiska i pchnięto na pomoc 13-ce. Był lekki przymrozek, głucho tupały podkówki butów po skrzepłej ziemi. Na pierwszy ogień, dla utorowania drogi, poszły kompanja 4-ta i 2-ga, zajmując pozycję frontem na południowy zachód. „Czwartacy", ulokowali się od drogi Staje - Lepel do wsi Żarcy, wyłącznie. W lewo od nich kompanja 2-ga, a dalej w lewo, w przedłużeniu mocno wygiętego łuku, oddziały 13 pułku.

Z nadejściem dnia, Moskale zachęceni nocnem zwycięstwem i pewni dalszego powodzenia uderzyli z furją na wkopujących się w ziemię „czwartaków", jednak bez powodzenia. I mimo, że bolszewicy ponawiali raz za razem szturmy „czwartacy" nie pozwolili wydrzeć sobie ani piędzi ziemi. Parując każdy szturm czerwonych przeciwuderzeniem utrzymali się na raz zajętej pozycji aż do południa.

W południe przeciwnik zasilony pułkiem piechoty podwoił natarcie. Jak się później okazało był to rzekomo „czwarty pułk warszawski komunistów". Dowiedzieliśmy się nawet z późniejszych opowiadań „czwartaków", że po pierwszym nieudanym szturmie „polskich komunistów" na naszą „białą czwartą kompanję", kiedy to obie walczące strony po morderczym

ataku i obronie legły w bliskości siebie, aby nabrać tchu, nastąpiło wzajemne wymyślanie sobie w języku ojczystym. Fakt faktem, że po stronie czerwonych w owym czwartym skomunizowanym pułku, znalazło się wówczas dużo Polaków — zaprzańców.

Teraz ruszono z odwodu i naszą kompanję. Szliśmy szybkim krokiem przez znane już nam ulice Lepla, wśród bzykających kul. Przeszliśmy most na Jesie i wśród seryj karabinów maszynowych dopadliśmy wsi Żarcy, przedłużyć prawe skrzydło „czwartaków". Mój pluton znalazł się na prawem skrzydle własnej kompanji, nie mając w prawo łączności z żadnym sąsiadem, co w dalszych kolejach opisywanej walki, mocno nam zaszkodziło. Jak tylko wysunęliśmy się poza wieś na równiuśkie pola, poweselało dookoła od świstu kul. Trzeba było kucnąć w brózdę, wysunąć przed siebie karabin i powiększyć ogólną kołataninę. O posuwaniu się wprzód narazie mowy nie było. Wtem gruchnęło działo raz i drugi, i nasze granaty rąbnęły po zgęszczonych linjach bolszewickich. Gdzieś z boku z za wysuniętej stodoły, zagdakał długą serją karabin maszynowy. Ogień przeciwnika osłabł, dwa działa wspierając nasze natarcie, grzmią raz po razie. Zadaniem naszem jest zepchnąć bolszewików ze wzgórz, ciągnących się przed nami i odebrać wieś Staje. Wykorzystując więc przewagę własnego ognia skokami suniemy wprzód. Lecz, kiedy ruszyliśmy z miejsc, ogień przeciwnika wzmógł się. Wściekł się poprostu. Kule sypią się nad nami, sieką obok, pacają przed nosem, wyrzucając grudki ziemi. Ze swej strony kropimy, ile wlezie. Tylko maszynki nasze, trochę zaczęły nie dopisywać i po oddaniu kilku seryj zacinają się. Przeciwnik bierze nad nami przewagę ogniową, zmusza do zatrzymania się nas i grzebania wnęków. Korzystają z tego bolszewicy

i wykonują szturm na „czwartaków". Poszły w ruch granaty ręczne i sparzeni bolszewicy zaryli się w piasek. Ruszyliśmy teraz z kopyta naprzód, a czerwoni, czując się niepewnie pojedyńczo rozpoczęli odwrót. Tu i tam, wyskoczy z brózdy spłoszony bury szynel i gna co sił w kierunki wsi.

W tym czasie tracą „czwartacy" swego dzielnego dowódcę. Przechodzącego, z godnym podziwu spokojem między tyraljerami, kula trzepnęła śmiertelnie w pierś. Konającego prawie wynoszą chłopcy z boju w bezpieczne miejsce. Stanowisko Orso - Siegiedy, obsypane rojem pocisków, zajmuje młodziutki podporucznik Dardziński i prowadzi kompanję dalej.

Zmierzcha się. Bitwa coraz to gorętsza. Swąd spalonego prochu drażni nozdrza. Jesteśmy już niedaleko wsi Staje, a nim noc zapadnie, mamy ją zdobyć. Taka mniej więcej była treść rozkazu. Zlani potem, mimo chłodnego dnia, wciąż posuwamy się za wolno cofającym się nieprzyjacielem. Uśmiechało się ku nam powodzenie, pewni byliśmy zwycięstwa, lecz karta losów walki odwróciła się naraz mniej pomyślna. Goniony i szczuty ogniem pościgu przeciwnik, oparł się mocno w świeżo wykopanych przez odwód okopach. Plunął nam w oczy z karabinów maszynowych aż jękło wokoło. Z za wzgórz i chałup wysunęły się nowe odwodowe linje tyraljerskie do przeciwnatarcia. Gorzej, bo zagroził nam na prawem skrzydle i pchał się dwiema tyraljerami z lasów kolonji Kolaki, na tyły plutonu, strzelając flankowo. Zaginamy nieszczęsne skrzydło plutonu i otwieramy jak tylko można najszybszy ogień. Wysyłam do porucznika Rozwadowskiego meldunek. Już prawie ciemno, sytuacja bojowa dla nas pogarsza się z minuty na minutę. Na odcinku „czwartaków" bolszewicy ruszyli do szturmu i złamali wreszcie ich opór. „Czwartacy" odstrzeli-

wując się wieją do Lepla. To samo dzieje się z lewem skrzydłem naszej kompanji. W tej chwili nic o tem nie wiem, bo zmrok nie pozwala zorjentować się w polu walki i prowadzimy dalej gorączkową pukaninę. Wreszcie nadbiega zdyszany starszy strzelec Michałowski od dowódcy kompanji z rozkazem natychmiastowego odwrotu.

Cofa się pierwszy karabin maszynowy, pluton osłania mu odwrót. Zkolei, gdy obliczam, że mi czerwoni nie zafasują już maszynki, wydaję rozkaz do cofania się plutonu. Chwila nad wyraz niepewna i nieprzyjemna. Taka haniebna rejterada, w dodatku pierwsza od czasu, jak jesteśmy na froncie wogóle, źle podziałała na moralną stronę żołnierzy. A i sam mimo jakiego takiego doświadczenia, czułem się — bardzo głupio. Stwierdziłem ze smutkiem, wydzierając się jakiemuś bolszewikowi, że jednak siedzieliśmy tu trochę za długo. Pluton wymknął mi się kompletnie z garści. Wkradł się niepożądany chaos. Panika poprostu — jeżeli ktoś woli. Każdy gnał na własną rękę, byleby uratować życie. Powtarzam, był to pierwszy nasz odwrót, przerażeni chłopcy sądzili, że jesteśmy pobici na amen. Wściekły byłem, że zaradzić temu nie mogę. A zresztą nie było i możności, gdyż gromady bolszewików deptały nam tuż po piętach, nieomal chwytając za poły płaszcza.

„Zdajsia pan! Nie ujdiosz, zdajsia!" — prawie nad uchem słyszało się rozkazujące ochrypłe głosy. Niema głupich, myślałeś bracie i zbierałeś nogi, aby odbiec jak najdalej. Dopadliśmy wreszcie opłotków wsi Żarcy. Co za męka, gdy przejścia nie widać, a jak wieś długa ciągną się w prawo i lewo płoty. Przechodzenie parkanów jest naogół łatwe, jeżeli robi się to dla zabawy, sportu, lub innego młodzieńczego psikusa, lecz dla nas zmachanych ucieczką do ostatniego

tchu w piersiach, było mocno uciążliwe. Na szczęście płoty okazały się niziutkie, takie sobie zwykłe otoczenie zagrody drągami, umocowane wikliną, żeby krówska nie robiły szkody. Opierasz się tedy bracie piersiami o górną żerdź, fajtniesz nogami w górę — przełożyć ich nie masz siły — machniesz przy tej okazji kozła, orząc nosem oziemek i leżysz jak długi, jesteś z drugiej strony. A bolszewik tuż, tuż — lecz on też jest zmęczony gonitwą, nie złapie cię, bo ty masz większego stracha, więc zrywasz się z ziemi i po oddaniu nachybił trafił dwóch, trzech strzałów gonisz do następnej takiej samej przeszkody. Wygarniesz jeszcze piątkę pocisków z Berthiera przylepiwszy się za chałupą i jesteś już po drugiej stronie wsi. Stąd cwałujesz dalej.

Koniec końcem oderwaliśmy się od czerwonych na przyzwoitą odległość, dzięki egipskiem ciemnościom, no i więcej może zwinności młodych nóg. Lecz za to otrzymujemy ogień, jak się to mówi, w sam pysk od strony mostu. Naturalnie od swoich, którzy wycofali się tam wcześnie z lewego skrzydła. Jest ciemno, biorą nas za bolszewików. Krzyk: nie strzelać! — nic nie pomaga, bezładna palba głuszy go. Ranili mi strzelca Piotrowskiego w kolano. Bractwo plutonu, sądząc, że bolszewicy są już przy moście i zatarasowali nam ostatnią drogę odwrotu, robi jeszcze większy mętlik. Sam zresztą nie byłem pewien, czy to swój, czy wróg. Noc przesłoniła wszystko.

Na wojnie jest jeden bardzo piękny moment, kiedy żołnierz zarażony, że tak powiem paniką, mądrzeje wreszcie. Momentem tym, jest tak zwane „położenie bez wyjścia". Znajdując się „bez wyjścia", żołnierze instynktownie skupiają się, trzeźwieją i przypominają sobie, że mieli dowódcę. Oglądają się wtedy za nim, pomykają pod jego opiekuńcze skrzydła,

wiedząc o tem, że on z tego „bez wyjścia" wyjście jakieś znajdzie, bo po to jest dowódcą. Tak było i z nami.

Z gromadką chłopców, która zlazła się do mnie, zabieramy rannego Piotrowskiego i kierujemy się w stronę jeziora, aby zejść z kierunku strzału „tym" co grzeją od mostu, bo „ci" co nas gonili, z racji zniknięcia celu w ciemnościach, zaprzestali strzelać. Brzegiem jeziora, przez gęste zarośla, zachowując jak najgłębszą ciszę, pomykamy do tego przeklętego mostu z zamiarem, że jeżeli jest naprawdę zajęty przez bolszewików, bagnetem i granatami torować będziemy sobie drogę i przedzierać się do miasta, a niepodobna, żeby ono było już w rękach Moskali. Zresztą licho wie — jak tam naprawdę jest?

Wytężywszy wzrok w atrament nocy i nastawiwszy mocno uszy, suniemy krok za krokiem, prawie na palcach starając się utrzymać kierunek. Nagle wrzasnął mi ktoś po polsku w sam nos.

— Stój, bo strzelam!

— Swoi, pluton drugi — brzmiała cicha z nadmiaru radości odpowiedź.

Okazało się niebawem, że tym „ktosiem", był Majewicz z częścią plutonu, mający ubezpieczyć bok „trzeciakom", idącym do przeciwuderzenia. Odetchnęliśmy z ulgą, jak po ciężkim śnie.

Po udanem przeciwuderzeniu „trzeciaków" Kaczyński zajął pozycję pod Żarcami, a my porządkodaliśmy swoje oddziały. Niedługo pluton drugi pchnięto na nową pozycję w lewo od mostu, nad brzeg rzeczki Jesy. Wygrzebawszy naprędce głębokie doły, uzupełniliśmy amunicję i gotowi byliśmy do dalszej walki. Uczucie strachu odeszło bezpowrotnie, usta zacięły się w stanowczość, oko wypatrywało w ciemnościach nocy przeciwnika. Było trochę chłodno, wię-

cej głodno i mokro. Padał sobie, szeleszcząc monotonnie po opadłych liściach drobny, gęsty deszczyk. Mokły płaszcze, grabiały ręce.

O godzinie 24-ej, wtulonego w krzak wikliny, zdybał mnie goniec z rozkazem dowódcy kompanji, żebym zachowując ciszę wycofał się do miasta. Zbiórka na rynku.

Nietęgie mieliśmy humory na tej zbiórce batalјonu. Może dlatego, że było głodno i chłodno, może znowu dlatego, że przemokliśmy do ostatniej nitki, a chyba już najwięcej dlatego, że sromotnie przegraliśmy tracąc sporo kolegów i kilka karabinów maszynowych. Była to pierwsza nasza przegrana na ogólnej loterji wojennej i dlatego może odczuliśmy tak mocno porażkę.

Największe braki w ludziach mieli „czwartacy". Było tam dużo rannych i zabitych, a najwięcej wziętych do niewoli. Wycofali się bowiem w warunkach terenowych najmniej sprzyjających podobnym rzeczom. Drogę odwrotu przegradzała im mocno rozlana Jesa, tworząc niby małe jezioro i dzięki tylko nocy, ci, co stali obecnie na zbiórce uniknęli niechybnej śmierci. Wpadł w łapy bolszewika mój kolega Łapiński, ale uprzykrzywszy sobie bezpłatny wikt u wrogów i nie chąc nadużywać przymusowej gościnności zwiał wkrótce do swoich.

Z drugiej kompanji, zaprzepaścił się gdzieś w zagajnikach podporucznik Rutkowski z całym plutonem. Pierwsza miała stosunkowo małe straty mimo kiepskiego położenia bojowego i opóźnionego odwrotu. Prócz strzelca Piotrowskiego, skrzywdzonych kulami moskiewskiemi było jeszcze czterech. W ich liczbie, dowódca trzeciego plutonu, Stach Kieroń, oberwał niebezpieczny postrzał w udo z naruszeniem kości. I dzięki tylko jego przytomności umysłu i ka-

rabiniarzom, którzy w pobliżu znaleźli się z wozem od maszynek, kochany Staszek, w tej historycznej rejteradzie, uniknął niewoli.

Z racji ubycia Kieronia, objąłem pluton trzeci, drugi dostał plutonowy Stach Kowalski, ogólnie „Rochem" zwany. Miły, inteligentny o duszy idealnej, zacny przyjaciel i kolega. Wczesna choroba płuc, której nabył z wycieńczenia i trudów bojowych, wydarła nam go wkrótce do szpitala, a potem do kadry.

Kiedy zebraliśmy się niby wszyscy na rynku lepelskim, powiedziane było coś o obwiązaniu szmatami kopyt końskich, kół u wozów, wreszcie rozkaz: „bagnet na broń"! „nie gadać"! i „maszerować"! Tak jakeśmy cichcem weszli do niegościnnego Lepla, tak cichuteńko musieliśmy go opuścić z tą jedynie różnicą, że weszliśmy od strony zachodniej, a opuszczając, szliśmy na wschód i po niedługim czasie wykręciliśmy na północ.

Wyciągając mocno nogi obeszliśmy długie jak nieszczęście jezioro lepelskie i goniąc po różnych wertepach, lasach, zagajnikach, mokradłach i rozmiękłych rolach, mocno strudzeni, rano, kiedy już było dobrze widno, dobrnęliśmy do Worona. Tu naprędce zajęliśmy pozycję, wkopaliśmy się w ziemię i czekaliśmy dalszych wypadków. W marszu tym, niedaleko Worona przecinając szeroki trakt wiodący z Kamienia do Pyszna, spotkaliśmy tabory 13-ki i 8-go pułku artylerji, zdążające do Pyszna. Radziliśmy taborytom po przyjacielsku, żeby wykręcili za naszą kolumną, bo w przeciwnym razie mogą spotkać się z niemiłą dla nich niespodzianką.

Zawsze mądzy „treniarze' z tej rady nie skorzystali jednak i pod Pysznem sromotnie dostali w skórę, tracąc prawie wszystkie wozy.

Tegoż dnia, nadciągnął do Worona „zaginiony"

podporucznik Rutkowski z plutonem. Uczestnicy tej niefortunnej przeprawy opowiadali nam, że przesiedzieli noc w wodzie, nie wiedząc gdzie się cofnąć, gdzie są nasi, a gdzie nieprzyjaciel i dopiero za dnia zorjentowawszy się w przykrej sytuacji, lasami ominęli Lepel zajęty przez czerwonych i kierując się na północ, trafili na ślad bataljonu, a przy pomocy przewodników znaleźli się w naszych objęciach.

Z Worona odesłaliśmy tabor z rannymi na Uszacz. Tu na cmentarzu pochowaliśmy porucznika Orso-Siegiedę, który z otrzymanej rany pod Leplem, zakończył dzielny żywot w drodze odwrotu.

Haniebnie głodni i zmarznięci, leżąc w płytkich wnękach kiepskiej pozycji woronowskiej czuliśmy się nieszczególnie. Zapał bojowy zmniejszył się prawie o połowę, a już najpodlej dławił nas ten ciągły zakaz „śpiewać nie wolno". Śpiewem chcieliśmy zabić troskę i ocyganić głód. Śpiew głośny, wesoły był dla nas wszystkiem — bez śpiewu kapcanieliśmy kompletnie. Odzyskaliśmy animusz dopiero wieczorem, kiedy to kuchcik Zaniewski podwiózł cienką ale gorącą zupę i puścił „kaczkę" po smutnych szeregach, że mamy jakoby zpowrotem odbierać czerwonym utracony Lepel.

VIII. ODBIERANIE LEPLA.

Dnia 18 października, w porze obiadowej, placówki nasze zmienił 7-my pułk ułanów, a my obchodząc jezioro Woron, zaszyliśmy się w lasy i marszem ubezpieczonym sunęliśmy do Starego Lepla. Marsz ubezpieczała kompanja 3-cia. Klucząc wciąż lasami, wyszliśmy wreszcie na wieś Prudok. Tu szpica natknęła się na placówkę bolszewicką. Rozpoczęła się mała strzelanina i Prudok zajęliśmy (ściślej zajęli go „trzeciacy"). W tej to potyczce Moskale zostawili

dwóch zabitych i trzech rannych, kompanja trzecia natomiast miała trzech rannych. W naszej kompanji, która leżała w kolumnie po obu stronach drogi, jakaś zabłąkana kula raniła lekko w głowę szeregowca Kossakowskiego.

Kiedy weszliśmy do wsi, przeciwnik z sąsiednich wzgórz zasypał nas silnym ogniem karabinów maszynowych i artylerji polowej. Trwało to około pół godziny. W tym djabelnym ogniu otrzymaliśmy rozkaz zajęcia stanowisk bojowych na przodzie. Czołgając staraliśmy się rozkaz wykonać. W międzyczasie ściemniło się, ogień bolszewicki został przerwany, a my mogliśmy swobodnie i bez większego wysiłku fizycznego zająć wyznaczone stanowiska.

Pluton trzeci obsadził skraj wsi Zańki, mając w prawo o kilometr pluton Majewicza, a w lewo szukaliśmy łączności z 36 pułkiem. Luka między nami, a tym pułkiem wynosiła przeszło trzy kilometry. Jak to się mówi, wisieliśmy między jednem, a drugim sąsiadem, mając boki zupełnie odsłonięte. Sąsiad z lewej strony po nawiązaniu z nami łączności, nie chciał nam pomóc w zatkaniu tej dziury twierdząc, że ma swoich dziur dość do łatania. Musieliśmy uskutecznić to sami. Teren był porośnięty lasami, więc jak mogłem i jak mi na to pozwoliły szczupłe siły plutonu, ubezpieczyłem lukę, wysyłając w tym celu często patrole, a osobiście biegałem od grupki do grupki usadowionych strzelców w terenie, kontrolując, poprawiając i budząc śpiących i głodnych żołnierzy.

Coś o godzinie 1-szej w nocy otrzymuję rozkaz od podporucznika Rozwadowskiego, żebym zebrał pluton i cofnął się do wsi Prudok. Myśleliśmy początkowo, że to będzie znowu jakaś nowa i dowcipna kombinacja taktyczna, z czego nawet byliśmy wielce uradowani, bo przyznać muszę, że ta niefortunna po-

zycja mocno nas martwiła, lecz jak się okazało później, była to nowa nasza rejterada.

Nim zebrałem moje „wojsko" rozlazłe na patrolach i czujkach i nim przymaszerowaliśmy do Prudku, nie zastaliśmy już tam ani kompanji, ani łącznika z rozkazem, co mamy dalej robić. Był tu podobno jakiś goniec, ale nie mogąc się nas doczekać i sądząc, że poszliśmy inną drogą — a strach czas dłuży i nasuwa różne przypuszczenia — zwiał za kompanją. Byłem wściekły i zarazem w rozpaczy — co dalej robić? Każę wyciągnąć chłopa z chałupy i pytam: — Dokąd poszło to wojsko co tu było?

— „Na Zaborowie panoczku". Pięknie. Ale nie mamy mapy i nie wiemy gdzie jest to Zaborowie, każę się więc chłopu prowadzić.

Powiada, że nie zna drogi, że tu niedawno zamieszkał. Powtarzam mu jeszcze raz, że ma nas prowadzić, uderzając z pasią kijem w ziemię. Chłopek widząc ten wcale niepolityczny ruch z mojej strony, zgadza się. Ale jeżeli — powiada — zbłądzimy, to nie jego będzie wina. Dobrze bracie, dobrze! wiesz o tem najlepiej, że tu twoja skóra będzie w robocie, więc wyprowadzisz nas choćby z piekła.

Ubezpieczeni, mając chłopa między szperaczami i pilnując go uważnie, żeby nie zwiał, kroczymy jakąś leśną drożyną, od której w różnych kierunkach szły różne ścieżki. Noc księżycowa usposabiała nas romantycznie i humor wytwarzał się nienajgorszy. Przewodnik, mimo swojej nieświadomości dróg, czując stale żądło bagnetu za plecami, jakoś zręcznie prowadził.

Po półgodzinnym marszu, jeden ze szperaczy melduję mi, że jakiś oddział posuwa się do nas z bocznej drogi, prawdopodobnie bolszewicy, bo słychać ruską mowę. Chyba tak źle nie jest do stu djabłów, myślę

sobie, ale na wszelki wypadek, zatrzymałem pluton i przygotowałem się do obrony. Na szczęście, był to jeden pluton 3-ciej kompanji, który prowadził z opóźnieniem tak samo jak ja, podchorąży Antek Kozłowski. Teraz w znacznie powiększonem towarzystwie i weselszych humorach szliśmy dalej. Po niejakim' czasie dołączył się jeszcze podporucznik Rutkowski z drugą kompanją. Było już zupełnie wesoło.

W Zaborowiu zebrał się cały bataljon, oprócz taborów, które poszły w innym kierunku i zostały rozpędzone przez bolszewików. Tam zakończył swój żywot rumak naszego dowódcy kompanji, któremu (rumakowi) jakaś zdradziecka kula czerwonego rycerza wpiła się w pierś. Odtąd biedny Rozwadosio ganiał na piechotkę przed kompanją do czasu aż podzielił los swego konia.

IX. GŁODÓWKA NAD USZACZĄ.

Z Zaborowia, długiej i pięknie położonej wsi, polnemi drogami wybierając teren o ile możności zalesiony, cofaliśmy się na północ w kierunku nieznanego nam jeszcze miasteczka Uszacza. Tegoż dnia, już mocno po południu, nie dochodząc do niego, przeszliśmy w bród, mocząc się po pas rzekę Uszacz, na lewy jej brzeg.

Po krótkim wypoczynku i wykręceniu z wody portek, otrzymaliśmy polecenie zająć pozycję od folwarku Gutowo do wsi Dzwony. Aby to wykonać idąc bardziej na południe, przechodzimy zpowrotem Uszacz, ale już po wybudowanej przez chłopów kładce. Kompanje rozchodzą się w różnych kierunkach dla obsadzenia wyznaczonych stanowisk.

Jakie miejscowości zajęły poszczególne kompanje już nie pamiętam. Wiem tylko dobrze, że pierwsza

miała łączność z czwartakami w Dzwonach, w lewo była druga. Tworzyliśmy tu coś w rodzaju osłony dla pionierów i cywilnej ludności, kopiących dniem i nocą okopy za rzeką Uszacz. Mieliśmy te okopy niebawem zająć i bronić się w nich, do zdechu.

Mój pluton był w odwodzie tej osłonowej pozycji i zakwaterował się w możliwie zamożnym futorze. Po rozejrzeniu się w żywym inwentarzu właściciela futoru „wyfasowaliśmy" na kwitek wieprzaka i zabraliśmy się uroczyście do przygotowania sobie i plutonom na pozycji wspaniałej uczty po trzech dniach głodowania.

Noc mieliśmy spokojną.

Nazajutrz, w piękny, cichy i jak na październik dość ciepły poranek, siedząc przed chatą gościnnego obejścia i gapiąc się na leniwie budzące się ze snu jesienne słońce, gaworzyliśmy coś niecoś o polityce. Tak po żołniersku na trzeźwo. Bo akurat wczoraj, gdy wyczekiwaliśmy rozkazów z dowództwa już naszego pułku, nad brzegami Uszaczy, gdzieśmy to wykręcali z wody porcięta i gacie, przywiózł łącznik z rozkazami kilka pism stołecznych. Mieliśmy więc możność tu w odwodzie przeczytać coś nie coś, co niezbyt uradowało nasze żołnierskie serca.

Wiedzieliśmy od dawna, że naszemu kochanemu Dziadkowi rzucano kamienie pod nogi, lecz sądziliśmy naiwnie, że teraz te niecne i hańbiące nas w historji zakusy kliki jego przeciwników skończyły się i że naród zjednoczony wytęża wszystkie siły w jednym kierunku, żeby porachunki ze swym najgorszym wrogiem raz wreszcie skończyć. Tymczasem stwierdziliśmy ze smutkiem, że mimo poważnych wydarzeń na froncie, walki domowej nie zaprzestano. Sejm w kochanej Warszawie, siedząc bezpiecznie za naszymi bagnetami, dużo pyskował, a mało myślał

o nas. A nam tu była potrzebna pomoc, pomoc bezwzględna, bo liczebnie w stosunku do naszego wroga byliśmy słabi. Była nas, że tak powiem garstka w dodatku stale głodna i obdarta. Z dnia na dzień ubywali ranni i zabici, było dużo w niewoli, i chorych w szpitalach. Szybko topniały szeregi i uzupełnienie powstających luk świeżemi siłami było niezbędne. A sejm poborów rekruta nie chciał dać i to w czasie, kiedy moskiewskie szeregi powiększały się bezustannie, zasilane oddziałami z frontów Denikina i Kołczaka.

Lecz choć słabi liczebnie i zapomniani przez sejmujących, trzymaliśmy się mocno, związani honorem żołnierskim i mocną ideją naszego Wodza, który nam tu kazał stać na straży. Ciężki to był i odpowiedzialny obowiązek, i tylko wojsko polskie mogło to wszystko wykonać i pokonać, jak wyrazili się później o nas z wielkim uznaniem, świadkowie tych trudów, oficerowie francuscy. A dobywaliśmy z siebie nie raz, a setki razy ostatki sił fizycznych i duchowych, żeby wszelkie trudności przezwyciężyć, żeby wytrwać i wytrwaliśmy!...

To smutne politykowanie przerwała nam gwałtowna kołatanina broni ręcznej i maszynowej, oraz dzikie okrzyki „urra". To czerwoni po całonocnem przyzwoitem zachowaniu się wobec naszych placówek, wypatrzywszy słaby punkt w pozycji „białych" napadli niespodzianie na szwadron 7-go pułku ułanów, spędzili go z kiepskich, nieumocnionych stanowisk i teraz nacierali na skrzydło i tyły czwartej kompanji. Nie wytrzymali „czwartacy" i zaczęli się stopniowo wycofywać.

Zaalarmowany mój pluton rozsypuje się na wzgórku za futorem w celu przeciwuderzenia lub osłony odwrotu. Wiejący w wielkim popłochu szwadron uła-

nów, (konie biegły sobie, a piękni ułani na piechotkę sobie), przeleciał przez nas, jak huragan, turbując w szkaradny sposób Majewicza, który był na „polityce" i biegł teraz naprzełaj do swego plutonu znajdującego się w okopach. Dość poważne uszkodzenia ciała zmusiły wesołego Stefka do wyjazdu do szpitala. Jego miejsce w plutonie zajął kapral Grzanko. Tak to zezowaty los wojny mści się na dowódcy, gdy ten niepotrzebnie odchodzi od swego oddziału.

Wszystko się cofa, a czerwoni prą, wdzierają się na nasze tyły. Niebawem otrzymuję rozkaz odwrotu. Oddajemy jeszcze kilka salw do wychodzących z za lasów tyraljer bolszewickich i cofamy się chyłkiem za wzniesienia, a potem za Uszacz do świeżo wykopanych rowów strzeleckich. Tu zatrzymujemy się z zamiarem stawienia oporu. Moskale jednak po zajęciu naszych stanowisk osłonowych zatrzymali się i tego dnia, jak i następnych zostawili nas w spokoju, bijąc tylko słabo z armat.

Mój pluton w tych błyszczących żółtym piaskiem okopach, zajął odcinek na lewem skrzydle bataljonu i kompanji. Niedaleko zaraz, może o kilometr, może i mniej drogi w lewo, tylko po prawej stronie rzeki siedziała na niezbyt bezpiecznej pozycji dziesiąta kompanja. Mówiąc wyraźniej miała za plecami o kilka kroków rzekę, w tym miejscu bez brodu, a przed nosem wściekle atakujących bolszewików. Przez cały czas naszego tu pobytu kusili się Moskale o zdobycie tej dla nich niedogodnej reduty i pragnęli skąpać dziesiątków w rzece, ale wszelkie furjackie ataki ich „krasnej" piechoty łamały się tu o stal „białych" bagnetów.

Dowodził dziesiątą dzielny porucznik Wacław Zdrojewski, lecz w tym krytycznym czasie był ranny i odbywał na tyłach kurację. Zastępował go zuch

sierżant Grabałowski. Stary wyga leguński, kuty na wszystkie cztery nogi, szczuty raz po raz atakami i zasypywany bez przerwy ogniem artylerji, utrzymywał się na tej placówce do końca naszego tu pobytu. Kiedy nastąpił ogólny odwrót przeprawił kompanję dziurawem czółnem w bezustannym ogniu piechoty i artylerji, po kilku strzelców, wreszcie z ostatnią załogą przepłynął sam zdrów, cały i trochę wściekły. Zginał śmiercią walecznych w maju 1920 roku w okolicach Połocka, jako podporucznik.

My na swojej pozycji mieliśmy poniekąd spokój, a dobre wygodne okopy, z naturalną przeszkodą rzeczną (nietęga, ale zawsze przeszkoda!), pozwalały na lekceważenie biernie zachowującego się przeciwnika. Burza moskiewskich ataków szła na Uszacz, na II-gi i III-cie bataljon. Jak nas słuchy dochodziły zbierała tam najwięcej laurów zwycięskich w kontraatakach jedenasta kompanja, podporucznika Marjana Frydrycha.

Drugim prawie niepokonanym naszym wrogiem był w tych czasach piekielny głód. Z niewiadomych nam przyczyn, przez kilka ciężkich dni sterczenia na tej pozycji, prowiantu ani nawet cienkich zup nie dostawaliśmy. Tabory tkwiły daleko na tyłach, a rozpędzone w odwrocie kuchnie, pozbierać się nie mogły. Był wiec głód i podłe ubóstwo. Chcąc temu zaradzić, wysyłaliśmy po kilku ludzi z plutonów i ci w pobliskich futorach rekwirowali, suszyli i melli żyto, owies, pszenicę, groch, wykę i co się tylko dało uszczknąć z opustoszałych śpiżarń chłopskich. Z tej to mieszaniny piekli placki i dostarczali nam do okopów. Ponieważ brak było wszędzie soli, więc i placki jedliśmy niesłone. Najsmaczniejszą i najbardziej dostępną potrawą były pieczone w popiele i gotowane w mundurach ziemniaki, dostarczane z pobliskich dobrze

zamaskowanych kopców. Obżeraliśmy się więc nimi do nieprzyzwoitości.

Ratując życie od niechybnej głodowej śmierci, a okopy od bolszewików, trwaliśmy tu czekając w niezachwianej wierze nadejścia lepszych, bogatszych i pogodniejszych dni.

W międzyczasie ubył nam znów dowódca drugiego plutonu Staszek Kowalski. Rozchorował się od źle wypieczonych placków i wyjechał do szpitala. Pluton po „Rochu" objął kapral Jędrek Łukaszewski. Topniała wiara, przerzedzały się niezbyt liczne szeregi.

Pewnej mroźnej i ciemnej nocy, kiedy siedzieliśmy przy ognisku pełnem dopiekających się kartofli, gruchnął jak piorun z jasnego nieba rozkaz, żeby zbierać się do natychmiastowego odwrotu. Ładujemy niedopieczone gorące ziemniaki do kieszeni i jazda na zbiórkę. Musiało stać się coś złego na naszym froncie Moskale musieli wleźć nam mocno na tyły, ponieważ odwrót odbył się bardzo cicho, ale i bardzo szybko, nawet za szybko. Dlaczego? — bo pierwszy pluton zostawił całą sekcję starszego strzelca Chojnowskiego na wysuniętej za rzeką placówce i na drugi dzień „zafasowali" ją bolszewicy, bataljon zaś pozostawił caluśką trzecią kompanję, lecz ta zorjentowawszy się, że jest osamotniona, zwiała na własną rękę inną drogą. Owszem byli z odpowiednim rozkazem wysłani gońcy do „trzeciaków" i do placówki, ale jeden i drugi dłubinosek, zbłądziwszy w nocy, dołączył się cichcem z tyłu do kolumny i tak już zostało.

Cofaliśmy się znowu przez niebywałe wertepy, lasy i błota, a przeważnie lasami jakąś wąską, krętą i wyboistą ścieżyną. Aby nie pogubić się w krzakach i ciemnościach, szliśmy gęsiego, trzymając jeden drugiego za połę płaszcza lub bagnet, a kiedy czoło kolumny zatrzymywało się dla zorjentowania się i wy-

brania jednej z krzyżujących się z sobą kilku ścieżyn, pacaliśmy nosami w tornister lub karabin swego poprzednika. Sypały się iskry z oczu, ale ciemności to nie rozświecało ani na jotę. Jak tam na tyłach dawali sobie radę karabiniarze z maszynkami, mogłyby nam o tem dużo powiedzieć — wściekający się w bezsilności — podporucznik Kowalski.

Ze świtem wyleźliśmy z lasu i dopadliśmy do dużej wsi. Wyglądaliśmy niezbyt bohatersko, a może i tak, bo choć czapek nagubiliśmy sporo, strąconych gałęźmi (nie sposób było ich szukać, człowiek w ciemności sam mógłby się zgubić) za to pokiereszowane pyski i podbite oczy konarami drzew i sąsiedzkich karabinów, wyglądały tak, jakbyśmy stoczyli jakąś krwawą walkę wręcz.

Sylwetka śpiącej wioski wszczepiła w zwątpiałe serca kilka kropel nadziei, że uda nam się coś realniejszego zafasować do zjedzenia, niż pogniecione w kieszeniach ziemniaki i niesłone placki. Wyczuł to niestety sztab i nie chcąc pisać kwitków zatrzymał kolumnę w odpowiedniej odległości przed wsią na krótki wypoczynek, zakazując kategorycznie wszelkiego oddalania się od oddziału. Następnie wymijając przezornie wieś zdaleka szybko pomaszerowaliśmy dalej.

W drugim końcu, skwapliwie omijanej przez nas wsi, nocował pluton kozaków. O obecności ich nic naturalnie nie wiedzieliśmy i nie dowiedzielibyśmy się o tem napewno nigdy, gdyby nie prowokacyjne zachowanie się tej niesfornej bandy w stosunku do naszych tylnych ubezpieczeń. Kiedy oddział straży tylnej oddalił się od niby śpiącej wsi o dobre pół kilometra, kozacy otwarli za nami gwałtowny ogień. Rozzłoszczony pluton kompanji drugiej kopnął się zaraz na wieś i kozunie zmietli.

W czasie tego odwrotu dowódca kompanji podporucznik Rozwadowski zachorował nagle, prawdopodobnie z głodu i wycieńczenia. Dowództwo z urzędu, jako że byłem najstarszy, poparte rozkazem kapitana Pyszki, objąłem ja. Nowa i niespodziewana funkcja połechtała moją ambicję, ale perspektywa odpowiedzialności, związana z nowym urzędem w tych ciężkich czasach, zmroziła ją zarazem. Dowodzenie moje trwało dość krótko, bo już na drugi dzień kompanję objął podchorąży Antek Kozłowski.

Już bez dalszych przeszkód ze strony Moskali, weszliśmy do miasteczka Sieliszcze i tu zarządzono wypoczynek, oraz sprawdzenie stanu liczebnego oddziałów. Jakie to były stany, pożal się Boże! Nasza kompanja weźmy na ten przykład, wyjeżdżając z Łomży przed trzema miesiącami, liczyła w stanie bojowym około 150 ludzi. Teraz odliczywszy kolejno stwierdziliśmy ze smutkiem, że mamy zdolnych do walki zaledwie 65 bagnetów! A reszta? Trochę rannych, ten i ów ukatrupiony, kilku w niewoli, a najwięcej w szpitalach kurowało się na biegunkę.

Mocno strudzone nadciągały do Sieliszcz bataljony II-gi i III-ci. Tak samo wyszczerbione ciągłą bijatyką i niemniej głodne od nas. Chociaż, jak sami twierdzili, klnąc się na Boga przed niedowiarkami, mieli niby otrzymać wczoraj chleb i po dwadzieścia papierosów, ale opuszczając zbyt nagle okopy w pośpiechu zostawili cały fasunek bolszewikom. Za to dziurami w portkach i butach nie mogli nam imponować.

Wśród tej rozgadanej branży spotkałem przyjaciela — Władka Muszyńskiego. Był on szefem jedenastej kompanji, a w gorących chwilach walki brał pluton i szedł w bój. Z tym to kochanym i niezawodnym chłopem, za dobrych i spokojnych czasów kadro-

wych staraliśmy się bałamucić pensjonarki łomżyńskie, kochając się w nich nazabój, choć często bez wzajemności. „Mucha" psia nędza, miał zawsze większe powodzenie u płci słabszej. Com którą rozkochał w sobie, sprzątnął mi zaraz z przed nosa.

Wyjeżdżając na front, kiedy to przy ostatniem widzeniu się w Baranowiczach ściskaliśmy sobie dłonie, obcałowując sobie pyski i życząc powodzenia na polach walki. „Mucha" był jeszcze kapralem, dziś spotkałem go jako sierżanta. Nic zresztą dziwnego „Mucha" był starym bojowym legunem, wykpiwał się śmierci od 1914 roku, nie jedną przebył już walkę i nie jedna kula rosyjska wytoczyła jego krew. Przebył Łomżę i Szczypiornę. Więc jemu najsłuszniej i oddawna awans się ten należał, choć nigdy zachowaj Bóg, o to się nie ubiegał. Obdarzony pochwałą lub inną oznaką zasługi, przyjmował to, jakby ze wstydem, mrucząc pod nosem, że na to nie zasłużył. Zawsze był skromny, skromny aż do przesady, jak twierdzili inni, za to o złotej i bogatej duszy wiecznie śmiejące się chłopisko.

Siedząc na wyszczerbionych schodach kościółka i ćmiąc papierosy, gadaliśmy z zapałem o tem, co było, jest i będzie, zawsze pełni niezachwianej nadziei. Uczucia zwątpień nie miały jeszcze skrytki w duszach naszych. Wszystko było dla nas cudowne i piękne. „Muszka" był marzycielem, ja zaraziłem się od niego. Wyprowadzała nas z cuchnących nizin jednaka nadzieja. Było nam z tem dobrze.

Z wyżyn poezji, na ordynarne szlaki zniosła nas dzikim okrzykiem jazda moskiewska szarżująca na miasteczko. Powstrzymała ją druga kompanja, ściślej pluton starszego sierżanta Gabrysiaka, waląc salwami z za murów cmentarnych.

Ujęliśmy za broń i niebawem poszliśmy dalej

w odwrocie, kierując się na miasteczko Bobinicze. Dzień choć październikowy był dość ciepły, a wyciągając mocno nogi, z uginającym kark tornistrem, zrobiło się nawet gorąco. Pot ściekał po twarzy strumieniami i lał się za rozpięty kołnierz wsiąkając w zawszoną, brudną koszulę. Zresztą chudy wikt, jaki otrzymywaliśmy od tygodnia, musiał nas mocno osłabić.

Za opłotkami wsi Uhły, na szerokiej i pięknie osnutej babiem latem łące, zarządzono obiad. Wbijaliśmy w krzyże czarny nawpół z piaskiem chleb przed chwilą wydarty babom z kryjówek, popijając mętną, aż prawie gęstą od różnych mikrobów wodą, czerpaną z pobliskiego stawu. Dmuchając, cedziło się brunatną ciecz przez zaciśnięte zęby, żeby co grubsze, a zatrzymane o zęby, splunąć z obrzydzeniem za siebie. Nierzadko ktoś plując, a plując jęknął z niezadowoleniem: — „Pijawka cholera wpadła do gęby". Uważny czytelnik zapyta: a wieś? a studnie?... Cudownie. Ale do wsi jest może kilometr, może mniej, a bodaj czy nie więcej drogi, a zakaz oddalania się od kolumny i marszem zmęczone nogi też coś znaczy. Staw jest blisko. Masz pragnienie? więc pij, pij ile chcesz, ale do wsi, ani nogą, bo ci ktoś przymówi.

I już podnosi się „czoło" i zbiera w zwartą kolumnę i już maszerujesz. „Szkoda czasu na głupie obżeranie się" powiedział któryś z głodnych oficerów, więc bierzemy nogi „za pas" i kłusujemy dalej na Bobinicze, Prozoroki...

Dla ścisłości nie zawadzi nadmienić, że w czasie tego obiadu dołączyła do bataljonu zostawiona nad Uszaczą trzecia kompanja. W odwrocie spotkał ją przykry, lecz bez tragicznych następstw wypadek. Kiedy to „trzeciacy" sunęli w nocnych ciemnościach leśną drożyną, wpadli w zasadzkę spieszonego szwa-

dronu kozaków. Po pierwszej salwie ze strony kozuniów, zawsze przytomny i szybko orjentujący się porucznik Kaczyński wrzasnął po rosyjsku: „czetwiertaja rota zachadi z zadu"! — której przecież nie było i z przeraźliwym okrzykiem „huraaa"! rzuca się naprzód torując drogę bagnetem. Kozacy speszeni bezczelnością „trzeciaków", a może i mniemaną obecnością czwartej „roty", zaniechali dalszych prób i zmietli.

W marszu na Bobinicze, Rudniki, Prozoroki ubezpieczała bataljon nasza kompanja. Wbrew wszelkim regulaminom i wiedzy teoretycznej wtłaczanej w moją głowę, zresztą przez czas bardzo krótki, nie wyznaczając żadnych szpic, ani oddziałów tylnych szliśmy zwartą kolumną, mając przed sobą kilka par łączników dla utrzymania łączności z bataljonem. Robiłem tak z tej racji, że co pewien czas, jakiś zwarjowany oddział kawalerji bolszewickiej, liczebnie przewyższający nas, urządzał szarżę w nadziei rozbicia mi kompanji. Ta nasza zwarta kupa — sześćdziesięciu pięciu strzelców — celnym, szybkim ogniem wymuszała respekt u czerwonych kawalerzystów, gdyż po czterech nieudanych próbach dali nam wreszcie spokój.

W Prozorokach zastaliśmy iście wojenny bałagan odwrotowy. Spotkały się tu wozy prawie wszystkich oddziałów dywizji, tak zwane „opóźnione" tabory, mające w drodze niemiłe przygody z kołem lub złamanym dyszlem. Był tu 33-ci i 13-ka, był 21-szy i 36-ty, był 8-my artylerji i 7-my ułanów, a nawet zbłąkane kuchnie dywizji legjonowej. Wszystkie drogi, ulice zapchały podwody. Krzyk treniarzy ćwiczących się batami za nieustąpienie sobie z drogi, przekleństwa maruderów, lamenty bab, że „kurica" zginęła... tworzyło piękny, godny pędzla artysty obra-

zek. Brakowało może jeszcze kilku kozaków, żeby to wszystko trochę zestraszyć, wtedy i dnia sądnego nie warto byłoby oglądać. Prozoroki w zupełności wystarczyłyby. Teraz pomiędzy naładowane prowiantem wozy, wślizgnęła się głodna piechota, ciągnąc z pod nakryć brezentu, co było pod ręką do zafasowania. Trudno ją było upilnować. A jakie tam były frykasy!... palce lizać.

Dla zabezpieczenia taborytów od najazdu kozaków, na rozkaz dowódcy bataljonu, zostałem z kompanją na skraju Prozorok i późno w nocy dołączyliśmy do bataljonu zakwaterowanego we wsi Ziabki.

Nazajutrz idąc przez Prószkowo, Tuszyno zatrzymaliśmy się w niechlujnie zabłoconem Zadorożu. W drodze tej dowództwo kompanji objął podchorąży Kozłowski, a w Zadorożu powrócili zdrowi, już podporucznik Rozwadowski z Majewiczem. Byliśmy więc znowu w kupie. Tu bataljon nasz rozlokował się jako odwód, a dwa pozostałe wysunięte bardziej na wschód, nagwałt organizowały pozycję obronną. Sztab postanowił dalej nie cofać się, przeciwnie, wyrównało się jako tako powyginany i poszarpany front, oparliśmy się silnie plecami o różne wsie, wryliśmy nogi mocniej w ziemię, żeby dać odczuć nacierającemu przeciwnikowi, że skórobrania mamy już dość, i że role swoje zamienić musimy. Żeby te szlachetne zamiary zrealizować, rozpoczęła się gorączkowa praca nad umacnianiem terenu i prowadzenie bezustannych zwiadów przedpola.

X. ZDOBYCIE JĘZYKA.

Dowództwo nasze przygotowywało Moskalom niespodziankę. Tą niespodzianką miał być odwet z naszej strony za straty poniesione w walkach odw. oto-

wych od Lepla do Zadoroża. Wyczuwaliśmy węchem żołnierskim, co wkoło się dzieje, a zawsze mądrzy i wszystko wiedzący kucharze i taboryci gadali o tem już dość głośno. Nie dano nam więc zbytnio leżeć w rozkoszach wypoczynkowych, a przeciwnie zaprzęgnięto nas dniem i nocą do mozolnej, dziesiąte poty wyciskającej pracy nad kopaniem rowów strzeleckich, budową schronów, pospolicie zwanych blindażami i zaciągania przeszkód z drutu kolczastego. W dziennej pracy przeszkadzały często patrole bolszewików, wówczas pracę trzeba było przerywać, przykucać w niedokończonych rowach i strzelać. Za to w ciemne noce ryliśmy łopatami ziemię w dwójnasób, żeby prędzej pracę wykończyć.

Jeżeli nosimy się z zamiarem sprawienia lania przeciwnikowi, musimy przedtem coś wiedzieć o nim. Musimy poznać jego siłę, jego pozycję i słabe punkty tej pozycji, żeby wiedzieć gdzie mamy potem uderzyć mocniej, a gdzie tylko udawać, że uderzamy. W tym to celu wysyłaliśmy bez przerwy patrole zwiadowcze na przedpole i urządzaliśmy wypady i zasadzki, dla zdobycia języka. Rola takiego „zdobycia języka" w równym udziale przypadła i naszej kompanji.

Pewnego popołudnia, kiedy mieliśmy dwudziestoczterogodzinny wypoczynek po dobie pracy przy budowie okopów, zawezwany zostałem do dowódcy baonu — zastępował chwilowo nieobecnego kapitana Pyszkę porucznik Kaczyński — i otrzymałem zadanie; udać się z plutonem w kierunku Prozorok i o ile będzie to możliwe, dotrzeć do nich. Po osi marszu spatrolować miejscowości: tu następowała litanja nazw wsi. Nie pamiętam ich, gdyż notes, w którym to skrzętnie notowałem został zniszczony w styczniu

1920 r., kiedy wpadłem do niewoli. Miałem również zdobyć jeńca.

Na miejscu wyposażono mnie w mapę, lornetkę i kompas. Radzono po ojcowsku, żebym był ostrożny, gdyż czerwoni mają silne oddziały na przedpolu, a pozycja ich znajduje się gdzieś „niedaleko Prozorok". Miejsce jej nie jest nam jeszcze dokładnie znane.

Idę tedy do kompanji po „wojsko".

Na takie wycieczki brało się zwykle ochotników, jeżeli ich było mało, dobierało się resztę z najbardziej sprytnych chłopców. W naszej wojnie z bolszewikami, chwalić Boga, ochotników na patrole nie brakło. Przeciwnie, było ich zawsze za dużo, a pominięci robili niezadowolone miny.

Kiedy stanąłem przed frontem zebranej przez „inspekcyjnego" kompanji i oznajmiłem cel zbiórki, oczy wiary błysnęły. Przecież każdy z nas wiedział dobrze, że patrolowanie jest lepsze od jakiegoś tam saperskiego kopania okopów i zaciągania na słupkach kłujących drutów, i że po takiem patrolowaniu dają dłuższy wypoczynek.

— Kto chce pójść na ochotnika na patrol — wystąp! — odezwałem się do zebranych chłopców.

— Raz, dwa, trzy! — wystąpiła cała kompanja, jak jeden mąż. Za dużo. Trzeba wybierać. Wybrałem cztery pełne sekcje. Teraz nastąpiła wymiana butów. Ten, kto idzie na patrol musi mieć cały but. Potem jeszcze raz przegląd, dofasowanie amunicji, zameldowanie dowódcy kompanji i — odmarsz.

Przejście naszej pozycji wypadło przez odcinek kompanji dwunastej, podporucznika Faustyna Zalasa. Idąc na pozycję dwunastki, zaczepiliśmy po drodze o kwatery 11-tej kompanji. Tu spotkałem galopującego na koniu po kapuściskach Władka Muszyńskie-

go. Jechał z rozkazami z bataljonu. I tu po raz ostatni — na froncie — ściskałem dłoń i całowałem kochany pysk, tegoż Władka Muszyńskiego, który za kilka dni z przestrzelonym kręgosłupem odjechał do szpitala.

Po opowiedzeniu się placówkom i odejściu od nich na jakiś kilometr, zauważyliśmy wychodzący z lasu silny patrol bolszewicki. Odległość między nami była duża. Bolszewicy nie widzieli nas z racji tej, że staliśmy w terenie pokrytym krzakami. Po wyjściu z lasu czerwoni wzięli kierunek na prawo. Nasza marszruta wypadła na lewo wskos. Drogi nasze rozchodziły się, wobec tego mogliśmy sobie wzajemnie nie przeszkadzać.

Maszerujemy dalej. Robi się już ciemno. Po upływie dłuższego czasu psyka szperacz. Podbiegam do niego.

— Panie plutonowy, przed nami jest wieś i słychać krzyki. Pewnie są tam bolszewicy — melduje mi.

Podciągam pluton na skraj lasu, daję wskazówki zastępcy, biorę sekcję ludzi i maszeruję do wsi. Na wstępie łapiemy wystraszonego chłopa i wywiązuje się między nami taka rozmowa.

— Są tu bolszewicy?

— Byli panoczku. Proszło poł czasa jak wyszli.

— Dokąd poszli?

— Priamo po toj dorogie, od koli wy pryszli.

— A tu, we wsi, niema ich więcej?

— Niema, panoczku. Utrom tak było ich mnoho, no poszli nazad.

Zatrzymuję chłopa przy sobie, a starszego szeregowca Fabjańskiego wysyłam z sekcją, żeby spatrolował całą wieś. Niebawem wrócił Fabjański, raportując że we wsi niema bolszewików. Puszczam zakładnika, cofam się do plutonu, omijam wieś i ma-

szerujemy dalej, unikając o ile możności dróg. Po przejściu zagajnika, lasku, potem wzgórza, podchodzimy znowu pod jakąś wieś. Zabawę zaczyna psuć księżyc, uśmiechając się do nas z poza chmur. Kryję pluton w zagłębieniach terenu i z kilku ludźmi włażę między odosobnione stodoły. Traf chciał, że wpadł nam w ręce młody chłopak, idący od strony chałup. Przycapił go za kark Fabiański, dając znaki, żeby nie krzyczał. Pytam się chłopca przyciszonym głosem, czy są tu bolszewicy? — Niema! — mówi i bestja ogląda się nieufnie poza siebie, czem zdradził się. Wyczuliśmy, że chłopisko blaguje bezczelnie. Chcę mu zadać jeszcze kilka pytań, lecz rzuciwszy okiem w lewo, spostrzegłem w bladem świetle księżyca, czerniejącą sylwetkę czujki bolszewickiej, wysuniętej poza wieś. Znajdowaliśmy się prawie, że na jej tyłach. Nie mogła nas zauważyć, bo weszliśmy do wsi zacienionem wyzębieniem z innej zupełnie strony. Ale musi tu być w pobliżu druga taka czujka? — nasuwa się pytanie. Nim zdecydowałem się co robić dalej, Fabiański trąbi mi półgłosem do ucha.

— Ta już nasza, panie plutonowy, — i nie czekając mego rozkazu, znika z jednym strzelcem między nędznemi chałupkami. Mocno nam biły serca, widząc posuwające się dwa cienie śmiałym krokiem do niczego nie przewidującego Moskala. Wkrótce do naszych uszu doszła krótka wymiana zdań w języku rosyjskim, potem dało się widzieć kilka szybkich ruchów i trzy cienie znikły nam z oczu. Wnet też Fabjański wrócił tą samą drogą w towarzystwie mocno wystrachanego bolszewika. Był to młody Łotysz. Pytam go po polsku, czy dużo jest we wsi bolszewików. Nic nie rozumie. Powtarzam pytanie po rosyjsku. Ten sam skutek. Fabjański przykłada mu bagnet do piersi klnąc, a ja powtarzam pytanie. Ten argument

poskutkował. Łotysz przemówił. Stoi ich tu cały pluton. Dobra nasza. Stawiam Łotyszowi jeszcze kilka pytań, na które daje szczegółowe odpowiedzi. Decyduję się śpiących bolszewików „zafasować".

Kiedy wróciłem do ukrytego plutonu i wydałem zarządzenia w celu napadu na bolszewicką placówkę i kiedy sekcje ruszyły z miejsca, we wsi padł strzał. Po nim jak na komendę drugi, trzeci i więcej. — Bez strzału i okrzyku z naszej strony, pędzimy po głębokich bruzdach do wskazanego nam miejsca ukrytej placówki Moskali. Strzelanina, ze strony wroga jest bezładna, ale wyrobione ucho starego żołnierza, każe nam przypuszczać o większej liczbie strzelających, jak pluton. Nagle ze strony lewej i prawej — tra — ta — ta — ta!... rżną po nas długiemi serjami maszynki, a echo strzałów hukiem odbija się o czarną ścianę pobliskiego lasu. Nie da rady — myślę sobie. Trzeba zaniechać napadu i ratować własną skórę. Chłopcy zatrzymali się przykucnąwszy w zagłębieniach terenu. Ogień bolszewicki zwiększa się. Małe niewidoczne kule z jazgotem bzykają nad głowami, padają obok i odbiwszy się o twardą ziemie rykoszetem, gonią dalej. Wydaję rozkaz: — cofać się! Zbiórka w zagajniku za wzgórzem! Dzięki nocy, bez straty w ludziach, wycofaliśmy się w miejsce bezpieczne, uprowadzając jednak zabranego bolszewika i chłopaka, co nic nie wiedział o bolszewikach. Strzelanina przerwała się. Czułem, że przeciwnik wyśle za nami patrol pościgowy, to też bez straty czasu, ubezpieczywszy się, długimi susami naprzełaj goniliśmy do linji naszych placówek.

W powrotnej drodze do okopów, na małym wypoczynku w wysokopiennym lesie, chłopcu za kłamstwo Fabjański sprawił rzetelne lanie i wysłał do ojcowskiego domu. Natomiast badany na kwaterze je-

niec wyznał ze skruchą, że w tej to wsi stały — nie pluton — a dwie kompanje piechoty bolszewickiej karabinami maszynowemi.

„Zdobyty język" z meldunkiem, odszedł niezwłocznie do dowódcy baonu.

XI. DO DŹWINY.

Ostatnie dni postoju w odwodzie schodziły nam na próżnowaniu. Nabieraliśmy mocy fizycznej, (mocy moralnej nie brakło nam nigdy) żeby wziąć dobry rozpęd i ruszyć na bolszewików. Sypialiśmy po dwanaście i więcej godzin na dobę, odżywialiśmy się doskonale, żeby odjeść ubiegłe głodne dni i reperowaliśmy mocno przetarte mundury i schodzone buty. Wreszcie na kilka dni przed ofenzywą wylano nas do okopów. Zmieniliśmy III-ci bataljon.

Zajęliśmy pozycje na pokrytem śniegiem wzgórzu. Przed nami czerniły się karłowate sosenki, kryjąc u swego podnóża stanowiska wysuniętych placówek bolszewickich Za nami szeroka i długa wieś, a w niej kuchnie, tabory i sztab. Czuliśmy się w tych, z wielkim mozołem kopanych rowach, wybornie, a choć spadł już śnieg i mróz dobierał się do naszego ciała, zamrozić się nie pozwoliliśmy, paląc bezustanku w żelaznych piecykach, ustawionych pośrodku schronów.

Do natarcia szykowaliśmy się bez przerwy uzupełniając te i owe braki. To samo robili i bolszewicy, jak donosiły patrole i szpiedzy, koncentrując wciąż świeże siły w okolicach Prozorok. Na dwa dni przed rozpoczęciem akcji zaczepnej wyfasowaliśmy na pocieszenie kilka par nowych butów, konserwę, kilka ciepłych koszul, wszyscy dostali amerykańskie furażerki — wyglądaliśmy w nich okazale, niby świeżo

przybyłe wojska — uzupełniliśmy amunicję i czekaliśmy na rozkazy.

W mroźną a mglistą noc z 1-go na 2-gi listopada, zachowując się jak można było najciszej, po zbiórce we wsi równo ze świtem pomaszerowaliśmy w kierunku stacji Ziabki. Przed nami w straży przedniej szła kompanja druga. Trzecia i czwarta poszły gdzieś od nas na lewo. Sierżant Marcel Wróblewski prowadzący szpicę, rozpędził granatami śpiącą w kolonji Świady kompanię bolszewicka, zajął stację Ziabki i prawie bez strzału zafasował bolszewicką placówkę. Tu gdzieś obok miejsca powyższych wydarzeń, przechodził podobno przed godziną batalion III-ci i bolszewików nie spotkał. Jak tam właściwie było wytłomaczy to historja pułku, ja natomiast chcę opisać i opisuję potyczkę drugiej i pierwszej kompanji.

Jak to już nadmieniłem stacja Ziabki znalazła się w naszem posiadaniu. Pobliskie placówki bolszewickie cofnęły się na linję czat. Idziemy więc dalej krok za krokiem nieustępliwie. Drogę toruje druga kompanja. Wślad za czołowemi oddziałami wjeżdża między zabudowania sztab pułku z majorem Wyspiańskim na czele, za nimi artylerja i trenjarze. I kiedy to wszystko tłoczy się w ciasnej ulicy, nagle trzepnął granat artyleryjski w przydrożne drzewo. Po nim leci ich więcej w towarzystwie szrapneli, dra niemiłosiernie zmarzłą ziemię za naszemi plecami. Taboryci, czyniąc nieopisany zamęt, skręcają na miejscu wozami i cofają się bezładnie. Wycofuje się w bezpieczne miejsce i artylerja, za wzgórzem porośniętem młodym laskiem zajmując stanowiska ogniowe. Następuje szybka wymiana strzałów, ku uciesze piechurów.

Przed nami w pobliskim zagajniku bezustanny bulgot broni ręcznej i maszynowej. To bije się już druga kompanja. W lewo niedaleko Prozorok walczy

II-gi bataljon oraz część I-go (trzecia i czwarta kompanja). Wytworzyło się tam piekło ognia artyleryjskiego i karabinów maszynowych. Spłoszone wrony krążą wysoko. Obok nas, przylepionych do wnęk zabudowań, pędzi spocony i zasapany goniec do sztabu bataljonu z meldunkiem. Na rzucone pytania daje krótką odpowiedź, że masy bolszewików idą do przeciwuderzenia. Niebawem na rozkaz z pomocą drugiej kompanji idzie pluton Majewicza. Bitwa rozpoczyna się nie na żarty. Moskale stawiają zacięty opór. Ogień ich artylerji potęguje się do maksymum. Ogień karabinowy chwilami słabnie to znowu się wzmacnia. Zabłąkane pociski bzykają między budynkami gdzie stoi nasz odwód.

Druga kompanja, oparłszy się o skraj lasku, wstrzymuje ogniem nacierającego napastnika. Wprzód kroku postąpić nie może, a wtył nie chce. Co pewien czas, chyłkiem, przydrożnemi rowami, przybiegają z linji łącznicy z meldunkiem i po świeży zapas amunicji.

Mija południe — walka wre.

Załamani w przeciwnatarciu Moskale, zalegli długiemi tyraljerami przed drugą kompanją. Wywiązała się walka ogniowa. Wali człek do leżącego naprzeciw człowieka, jak w tarczę na strzelnicy. Zabawa jak rzadko.

Dla utorowania drogi naszym chłopcom przyszła w pomoc pancerka. Wolniutko, dysząc ciężko brunatnym dymem, sunie po równych szynach, jak smok, przejeżdża nasze linje tyraljerskie, idzie dalej, wrzyna się w linje nieprzyjaciół i sieje tysiącem kul z za stalowego pancerza. Chłopcy wyjąc z uciechy sypią się z zagajnika i z radosnym okrzykiem zwycięstwa pędzą do szturmu. Uparci i pewni wygranej Moskale nie cofają się jednak. Ich artylerja osadza pociąg

pancerny w miejscu, ten po chwili, jakby namysłu, cofa się. Cofa się też i druga kompanja. Pojedyńczo skokami pomykają chłopcy do zagajnika, na opuszczone przed chwilą stnowiska. Pancerka z tą samą flegmą sunie obok naszego odwodu, idzie na tyły, żeby za chwilę powrócić i dokończyć rozpoczętego dzieła. Bolszewicy wykorzystując przewagę idą do szturmu. Maszynki oraz celny ogień piechurów drugiej kompanji, łamią z miejsca szturm czerwonych. Znowu wywiązuje się bezładna strzelanina.

W tym to czasie, przybiega do mnie goniec z rozkazem od Rozwadowskiego, żebym niezwłocznie wzmocnił plutonem lewe skrzydło drugiej kompanji. Wysuwamy się chyłkiem z za chałup, przebiegamy ogrody, kawał łąki i wsiąkamy w krzakach. Kule pacają obok nas. Usadawiamy się między drugą, a plutonem Majewicza i grzejemy, aż śnieg bryzga z przed luf. Bolszewicy ponawiają znowu szturm. Szybki grzechot naszych karabinów, osadza ich zaraz na miejscu. Korzysta z tego Rutkowski i podrywa chłopców do przeciwuderzenia. My z Majewiczem idziemy za ich przykładem. Rypnął jeden, drugi szrapnel nad głowami — ale to nic. Odległość zmniejsza się co chwila. Bolszewicy stawiają nadspodziewany opór, grzejąc z karabinów, tak że czuć proch na twarzy. Puszczamy w ruch granaty ręczne, a Rutkowski ranny w rękę wysforował naprzód swych tyraljerów i z uporem człowieka zdecydowaneago na wszystko goni naprzód. Wreszcie bolszewicy pokazują plecy i uciekają niby szaraki. Co za boskie uczucie gonić tak na karkach nieprzyjaciół! — Artylerja przenosi ogień na odwody przeciwnika. Wiara przejęta wygraną, niczem już niepohamowana pędzi, a pędzi byle dalej.

Pościg za bandami rozbitego przciwnika przer-

wała noc. Trzeba było zatrzymać się i uporządkować zgonione i pomieszane plutony. Trzeba było napełnić puste już ładownice nabojami i nawiązać łączność z sąsiadami, gdyż rozproszone oddziały bolszewickie, kryjąc się przed niewolą i śmiercią w lasach, były wszędzie. Mieliśmy ich z boków i w przodzie, a ztyłu też. Silniejsze a zuchwałe bandy mogły nam jeszcze zaszkodzić. Więc zatrzymawszy mój pluton i część Majewicza — o ile się nie mylę w Piotrowie, — wystawiliśmy ubezpieczenia dla pewności z czterech stron czekając świtu. W sąsiedniej wsi zatrzymał się podchorąży Orłowski z drugą kompanją (objął po rannym Rutkowskim). O innych sąsiadach nic niewiedzieliśmy, a próba nawiązania z nimi łączności spełzła na niczem.

Nazajutrz zebrawszy się do kupy we wsi, gdzie kwaterował sztab bataljonu, popiliśmy czarnej kawy i bez większej zwłoki ruszyliśmy dalej z kopyta marszem pościgowym.

Pod Sieliszczami wyminęły nas II-gi i III-ci bataljony dążąc w stronę Uszacza. I-szy bataljon przeszedł do odwodu.

Było już zupełnie ciemno, kiedy zatrzymano nas w cichej, jakby wymarłej wsi, na nocleg. Mój pluton ubezpieczał postój. Po wydaniu zarządzeń dowódcom placówek wwindowałem się zaraz na ławę przy piecu, okręciłem się płaszczem i wyciągnąwszy zmęczone nogi chrapnąłem sobie. Jesteśmy przecież w odwodzie, więc korzystajmy z okazji.

Ledwie usnąłem, kiedy gruchnęła salwa artyleryjska ze strony czerwonych, po niej druga i trzecia. Mała przerwa i — rozpętało się piekło huku, jakby się niebiosa waliły. Drży w posadach mała chałupina, lecą z żałosnym brzękiem szyby z ram okiennych, trzeszczą wiązadła stropu. Wystrachana kocina wy-

pełzła z jakiegoś kąta i tuli się do mnie. Wpada z meldunkiem goniec, że artylerja bolszewicka wali pod Uszaczem.

— Byczo! — odpowiadam i rad nierad zapinam pośpiesznie płaszcz drżącemi rękoma. Galopuję do placówek. Nadchodzi kapitan Pyszko i poleca wysłać łączników do dowódcy III-go bataljonu kapitana Sawy-Sawickiego, żeby się dowiedzieć o sytuacji. Ciemność nocy wchłonęła w siebie łączników. Milcząc czekamy na wieści. Tymczasem ogień artyleryjski, broni maszynowej i ręcznej nabierał z każdą chwilą większego napięcia. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie ucichło i tylko gdzie niegdzie trzask pojedyńczych strzałów mącił ciszę nocy.

Wrócili łącznicy, wysłani do kapitana Sawickiego, z pomyślną wiadomością, że III-ci i II-gi bataljon zdobyły Uszacz. Znowu zwycięstwo!

Spaliśmy teraz jak susły do białego dnia.

Nazajutrz wchodziliśmy do Uszacza, gdzie gospodarowały już zwycięskie bataljony.

Zdobycie Uszacza nie było znowu tak łatwe, jak się nam to zdawało. Przedewszystkiem warunki terenowe sprzyjały bardziej przeciwnikowi niż nam. Przegradzała obie walczące strony rzeczka Uszacz, a okopy bolszewickie znajdowały się na wyższym brzegu rzeki. Most wprawdzie był nieuszkodzony, lecz za to bronił go dobrze wycelowany ogień artylerji, dwóch karabinów maszynowych oraz masy czerwonych strzelców. Z tych to może jedynie względów dowódca pułku wyznaczył nocą natarcie na sparszywiałą mieścinę, żeby ponieść mniejsze straty w ludziach. Mimo tego straty były duże — bardzo duże. Skończyło się tu dużo młodych żyć i spłynęło moc gorącej krwi na zamarzłą ziemię. W czasie szturmu na zaciekle broniony most, prowadząc pluton, został

ciężko ranny, znany już nam, mój stary przyjaciel, Władek Muszyński. Kula strzaskała mu kręgosłup. Sierżant Kilczewski i znajomi, którzy mnie o tem powiadomili, twierdzili stanowczo, że stan zdrowia Muszki jest beznadziejny. „Skończy się" w drodze do szpitala. Wiadomość ta była dla mnie nad wyraz bolesna. Na szczęście twierdzenia znajomych nie sprawdziły się. Władek dużo przecierpiał, więcej jeszcze przemyślał, leżąc w gipsie na łożu szpitalnem przez pół roku, lecz wkońcu wyciągnięto go z objęć Kostuchy, wyłuskano z gipsu i postawiono, ale już na inne nogi.

Żyje „Mucha", jest inwalidą, pokpiwa sobie, niby beztrosko z życia. Fason stary! To, o co krwawiliśmy się, mamy!

Następnych dni goniliśmy za bolszewikami, bez poważniejszych potyczek, aż do rzeki Dźwiny. Bolszewicy, dostawszy raz i drugi porządnego łupnia, wieli bez przerwy, aby prędzej i jak najdalej być od nas. Już nie byliśmy teraz garstką nowicjuszów, bez doświadczenia i rutyny, a starą, prochem osmaloną gwardją. Stwardnieliśmy, zahartowaliśmy się i wzrośli w doświadczenia, a więc i biliśmy — biliśmy z całym spokojem doświadczonego żołnierza.

Nad zamarzającą już Dźwiną, skończyła się ofenzywa. Tu stanęliśmy na zimę. Powyginany front prostował się stopniowo, krzepł na ważniejszych przedmiotach terenowych, zagrzebywał się w ziemię i obrastał kolcami drutów. Przeciwnik nie chciał okazać swej przegranej i próbował w szturmach raz jeszcze, powodzenia na prawem skrzydle naszych stanowisk, opartych o Dźwinę i jezioro Uświeja, lecz bez najmniejszych rezultatów.

Kompanja pierwsza, jako odwód bataljonu, zagościła w tym czasie w skromnym, wciśniętym w la-

sy i przykrytym śniegiem polskim folwarczku Trzy Dęby. Sympatyczny staruszek, pan Paderewski, właściciel tych Trzech Dębów, mianujący się kuzynem naszego mistrza, wybiedzony i okradziony z wszelkich produktów, opychał nas owocami, które przynosił w dużym, przepaścistym koszu z kryjówki, jemu tylko znanej. Było nam tu błogo i przytulnie. Lecz pewnej księżycowej nocy los wojny poderwał nas alarmem na nogi i w niespełna minut piętnaście, sunęła kompanja „gęsiego" ku północy, krętą leśną ścieżyną. Złośliwy, suchy wiatr, dął prosto w zaspane oczy, mróz kąsał niemiłosiernie w ręce, uszy, twarz, skrzypiał pod butami śnieg. Gdzieś w pobliżu ciemnego boru wył żałośnie zgłodniały wilk-samotnik.

Szliśmy drzemiąc, przez Murawiec, Hłyboczkę, wyminęliśmy stanowisko armat, zamaskowanych w przydrożnym zagajniku, a plujących raz po raz granatami i poprzez lasy przeszliśmy na drugą stronę Dźwiny. Ze świtem wpełzliśmy w szeroką i mroczną ulicę wsi Antunowa. Tu stał sztab bataljonu i tu nas zatrzymano na kilka dni w odwodzie. Sekcje rozlazły się po wyznaczonych kwaterach i rozgościły się w kurnych, smrodliwych chatach.

W owym Antunowie, w przeddzień wymarszu naszego, bardziej na północ, zaszły w naszej kompanji historyczne zmiany. Kompanję bowiem objął nowy „wódz", Karol Szymański, świeżo upieczony i przydzielony do pułku młodziutki podporucznik, ale stary z wojny światowej wiarus leguński. Z wielką nieufnością przyglądała się wiara na zbiórce nowemu „wodzowi" i z żalem żegnała, odjeżdżającego na urlop podporucznika Rozwadowskiego, z którym się już to i owo przeżyło. Ale wyrokom rozkazu władzy sprzeciwiać się nie można. Więc pogodziliśmy się z losem na niedługo, bo już drugiego dnia, pozna-

liśmy z jaką pogardą do życia odnosi się Szymański, zaufaliśmy mu i pokochali go — o, jak jeszcze pokochali!

Prócz zmiany wodzów, mocno wyszczerbioną kompanję, uzupełniono przybyłymi z kadry rekrutami. Pierwsze uzupełnienie ludzi! Zgóry patrzyli starzy, doświadczeni żołnierze na młode, źle odziane, gorzej jeszcze wyszkolone, a najwięcej wystraszone frontem, wojsko. Lecz wnet lekceważenie i pogarda starego wiarusa w stosunku do młodego rekruta, zamieniły się w serdeczną przyjaźń. Przyjaźń, jaką rodzi huk armat, świst kul i uśmiech śmierci.

Dnia następnego, skoro zbudził się dzień, prowadził nas nowy nasz „wódz", drogą zasypaną zwałami śniegu, wciąż przez ogromne lasy i wciąż na północ. W południe skończył się las i droga. „Wódz" zatrzymał sunącą ztyłu kolumnę, wyciągniętą w długiego, szarego węża, rzucił okiem na pokrytą wątłym lodem, a przegradzającą nam drogę, rzekę Turowlankę, na osmalone zręby spalonego, leżącego nieco w prawo mostu i na czerniejący po drugiej stronie folwark Pukanówkę. Ten skromny dworek o miłej dla ucha nazwie, był celem dzisiejszego marszu. Tu biegła właśnie wytyczona w sztabie linja zimowego frontu, tu mieliśmy wgryźć się pazurami w zmarzłe łono ziemi i czekać ciepłych dni wiosny. Żeby tego dokonać, trzeba niezwłocznie było przejść na drugą stronę Turowlanki. Próbowaliśmy na różne sposoby mocy lodu i orzekliśmy, że jest za słaby, żeby móc po nim przejść. Jedynie nowy „wódz" był odmiennego zdania. Milcząc, ze spokojem doświadczonego dowódcy, na którego w tej chwili patrzy nieufnie sto par oczu, dosiadł swego konia i wpijając ostrogi w jego boki, zjechał na lód. Zdumieni warjackim postępkiem „wodza", gapiliśmy się na drżącego ze strachu

konia i na uginający się i trzeszczący pod jego kopytami lód, czekając chwili, kiedy koń i odważny jeździec runą w czeluść zimnej wody. Lecz oficer przejechał. Zwrócił konia w naszą stronę, poklepał przyjacielsko po karku i uśmiechnął się. Odetchnęliśmy z ulgą, a nowy „wódz" w oczach naszych wyrósł na olbrzyma i zdobył sympatję żołnierskich serc. Nasza przeprawa była teraz bagatelką. Pojedynczo, jeden za drugim w odległości trzech kroków, powlokła się po popękanym lodzie kompanja. Na podwórzu folwarcznem ustawiliśmy broń w kozły, zdjęliśmy rynsztunek i za przykładem Szymańskiego z pobliskiej sterty znosiliśmy słomę, budując na lodzie prowizoryczny, metrowej grubości most. Po nim to przejechały — już bez obawy zarwania się — wozy z amunicją, prowiantem i kuchnia.

Takie było zapoznanie kompanji z nowym dowódcą, podporucznikiem Karolem Szymańskim i w taki to sposób wkradł się nam w żołnierskie serca, że pamięć o nim wydrze tylko śmierć.

XII. NA WYWCZASACH.

Niedługo gościliśmy w Pukanówce. Już czwartego, czy nawet trzeciego dnia naszego tu pobytu, nim zdążyliśmy się zapoznać z powstającą zimową pozycją, zmieniła nas kompanja 13 pułku — było to w drugiej połowie listopada. Odmaszerowaliśmy na dalekie tyły na dłuższy, rzetelnie zasłużony wypoczynek.

Szliśmy przez Homel, Uszacz, znane Sieliszcze do zażydzonego miasteczka Kublicze, w którym zakwaterował sztab pułku i III-ci bataljon. II-gi, jeżeli mnie pamięć nie myli, pozostał w okopach, a pierwszy zaczepił się o pobliskie wioski: Lisiczy-

żna, Ostapowczyzna, Borowlany, Andrejczyki. Kompanja pierwsza natomiast dołożyła jeszcze dwa kilometry marszu na południe i rozlokowała się w folwarku Kublicze. Leżał on na wzniesieniu, otoczony staremi zadumanemi lipami i smukłemi topolami. W tym czasie, gdyśmy tu zakołatali w gościnę, ogołocony był doszczętnie z inwentarza martwego jak i żywego. Właściciela p. Orłowskiego zamordowali bolszewicy, a rodzina rozproszyła się po świecie. Jedynie w „czworakach" zamieszkiwały dwie, mocno wybiedzone rodziny, ze służby folwarcznej.

Sam dworek, był to duży parterowy, drewniany, w stylu staropolskim zbudowany dom, o obszernych, obecnie przeraźliwie pustych i smutkiem wiejących pokojach. Jeden z mniejszych pokoi zajął dowódca kompanji na prywatne mieszkanie, w sąsiednim rozpakowano kancelarję, resztę zajęły plutony.

Jak to już nadmieniłem, w cichym folwarku na zapadłej Rusi, stać mieliśmy na dłuższym, bo do końca grudnia, wypoczynku. Zdala od bolszewików, ich armat, kulomiotów i częstych wypadów miało nastąpić odprężenie nerwów i wypocząć ciało i duch. Chcąc czuć się tu względnie wygodnie, przystąpiliśmy niezwłocznie do jakiego takiego urządzenia wewnętrznego mieszkania. Napoczekaniu skleciliśmy z desek, wyrwanych z jakiejś szopy, prymitywne stoły, pozbijaliśmy długie ławy, stojaki dla karabinów i wieszaki na płaszcze i tornistry. Z braku odpowiedniej ilości łóżek, znosiliśmy na noc snopy słomy, rozściełając je pod ścianami i układaliśmy się w szeregi. Po przykryciu się płaszczami, spało się mocnym, twardym, młodym snem. Tych, którzy mieli skłonności do chrapania, wyrzuciliśmy do ostatniego małego pokoiku, szczelnie zamykając za nimi

drzwi. Rano dyżurni wynosili słomę, zmiatali resztki z posadzki i przez cały Boży dzionek było u nas spokojnie i cicho.

Skoro się bractwo odreperowało, trochę odżywiło i doprowadziło do należytego stanu zaniedbaną broń, zabraliśmy się do szkolenia naszego wojska. Weszliśmy w tryb żmudnego życia kadrowego. Szło wszystko jak w dobrze uregulowanym zegarku. O oznaczonej godzinie była pobudka, mycie, śniadanie. Potem ćwiczenia bojowe, pogadanki ze służby polowej, użycie granatów i bagnetu w walce wręcz. Przeprowadzono kilka ostrych strzelań. Raz, dlatego aby bractwu urozmaicić czas. Powtóre, żeby uzupełnić pewne niedociągnięcia w wyszkoleniu, zwłaszcza u świeżo przydzielonych rekrutów.

W międzyczasie w pułku zaszła masa r´żnych zmian, o których powinienem coś nadmienić. Przedewszystkiem pułk po lubianym powszechnie majorze Wyspiańskim, objął, w krótkim czasie wielce znienawidzony, podpułkownik Sandecki z armji c. i k. Zdolny i ceniony adjutant pułku, porucznik Raganowicz Stanisław, awansował na kapitana i objął kadrę pułku w Łomży. Jego miejsce na froncie zajął podporucznik Łukasik. Nam z bataljonu zabrano kapitana Pyszkę, wzamian dostaliśmy, świeżo przydzielonego kapitana Niedźwieckiego, z byłej armji rosyjskiej. Majewicz awansował na prowiantowego bataljonu, a na jego miejsce przydzielono do pierwszej kompanji podchorążego Lucjana Orłowskiego. Drugą objął zpowrotem przybyły z urlopu Świątkowski. Trzeciakami natomiast dowodził porucznik Franciszek Tyrała. Kaczyński odszedł do kadry. Przy końcu grudnia przybył z urlopu podporucznik Rozwadowski i pozostał jako zastępca Szymańskiego. Prócz zmian na stanowiskach dowódców, zaszły

małe zmiany w reorganizacji i uzbrojeniu oddziałów. Pierwsza kompanja ciężkich karabinów maszynowych, oddała stare zużyte swoje Maxymy, a otrzymała prawie że nowiuteńkie francuskie maszynki Hotchkissa. W kompanjach strzeleckich powstały tak zwane sekcje szturmowe wyposażone w prawdziwe stalowe hełmy, krótkie karabinki, nożyce do cięcia drutów w przeszkodach i moc granatów. Każda kompanja miała w swym stanie jedną taką, groźną sekcję w sile dowódcy i ośmiu grenadjerów. Dobierano do niej ochotników, kawalerów, żołnierzy fizycznie dobrze rozwiniętych i odważnych. Kto się dostał do „szturmówki" nosił głowę zawadjacko i zgóry patrzał na towarzyszy z innych sekcyj. Świeżo upieczone „szturmówki" miały odegrać z wiosną ważną rolę przy łamaniu zimowej pozycji przeciwnika i teraz wprawiały się do tego w różnych podobnych ćwiczeniach. Szturmówką pierwszej kompanji dowodził początkowo plutonowy Michaś Surawski, po nim objął znany z szalonej odwagi kapral Florek Piłasiewicz. „Szturmówki" owe niczem się jednak z wiosną nie wyróżniły od pozostałych sekcyj, a w odwrocie majowym, pogubiwszy w lasach ciężkie i niewygodne hełmy, wsiąkły bezpowrotnie w tłumie szarej braci żołnierskiej.

Prócz wyżej wspomnianych zmian, tu na owym wypoczynku, za zasługi poniesione w poprzednich bojach, polał się deszcz awansów na głowy niższych szarż. Wśród odznaczonych w kompanji i moja skromna osoba przedzierżgnęła się w skórę sierżanta. Była to okazja do wielkiej wypitki. To też strumieniami lała się „samogona" zdobyta gdzieś w tajnej, domowej gorzelni. Była to wstrętna wódka najpodlejszego gatunku, lecz zaprawiona umiejętnie przepalonym cukrem, dała się pić.

Tu wreszcie w Kubliczach, zdala od rodzin, zastały nas święta Bożego Narodzenia. Uczciliśmy je po staropolsku i jak na czasy wojenne dosyć wystawnie. Było hucznie i gwarno, była choinka i opłatek przesłany przez poczciwego księdza proboszcza z sąsiednich Sieliszcz. Była ryba smażona i gotowana, był śledź i zupa grzybowa i... „samogona" na cukrze.

Po kolacji wigilijnej co słabsze, a gorętsze głowy, chwiejnym krokiem wytoczyły się za stodoły i urządziły rzucanie granatów ręcznych. Powstał z tego tytułu wielki rwetes i małe nieporozumienie, ponieważ odziały 13 pułku, stojące w pobliskich Sieliszczach zarządziły alarm i pogotowie, sądząc w dobrej wierze, że zostaliśmy napadnięci przez jakieś buszujące oddziały bolszewików. Tak potem gadali. Że przy tej pijanej kanonadzie nie było tragicznych wypadków, to tylko dlatego, że wedle starego przysłowia: „pijanego Pan Bóg strzeże".

A prawda, mieliśmy jeszcze przed świętami defiladę. Daty ścisłej nie pamiętam. Zebraliśmy się na rynku w Kubliczach (I-szy i II-ci bataljon) i ustawiliśmy się w dwuszeregach. Niebawem przyjechał dowódca 15 brygady, zaglądał każdemu w mocno śmiejące się oczy, oglądał poreperowane już buty, macał przetarte płaszcze, poklepał tego i owego koleżeńsko po ramieniu i pochwalił nas. Rzekł potem krótką, jędrną i bardzo mądrą mowę, wznieśliśmy okrzyk na cześć Rzeczypospolitej i wodza naczelnego, nakoniec defilada. Ta wypadła jak najgorzej, bo do takich imprez nie byliśmy zgrani i psuli trochę nowi rekruci, no i głeboki śnieg plątał nogi. Za to śmiały się pyski i robiło się prawie „oko" do przyjaźnie uśmiechniętego brygadjera.

W trzeci dzień świąt opuściliśmy Kublicze pod-

ciągając bliżej frontu. Dwudniowym marszem osiągnęliśmy dużą wieś Chotcewicze, gdzie zatrzymaliśmy się jeszcze kilka dni na wypoczynek, dorobiliśmy płozy do wozów, bo zasypane drogi głębokim śniegiem, zatamowały ruch kołowy naszych trenów. Tu zastał nas Nowy 1920-ty Rok. Powitaliśmy go wspaniale, z racji otrzymanej w przeddzień paki podarunków świątecznych od narzeczonej Lolka Szymańskiego, a nie zapomniały także o nas i nasze „chrzestne mamusie", których mieliśmy po kilka.

Miast „samogony", piliśmy wiśniaki i podrabiany koniak.

XIII. W OKOPACH.

Skończyły się wreszcie uroczystości, i beztroskie dni wypoczynku. Nadszedł czas, kiedy trzeba było wejść w zaśnieżone okopy i rozpocząć ciężką bezsenną służbę nieustannego czuwania, patrolowania i wypadów.

Dnia trzeciego, czy nawet czwartego stycznia, zmieniliśmy na pozycji II-gi bataljon.

Kompania pierwsza, zmieniając szóstą, zajęła odcinek od folwarku Homel włącznie, północny brzeg jeziora Suja, poprzez wieś Płusy, aż do kolonji Suja włącznie. Ponieważ folwarków Homel jest na mapie dwa, więc dla ścisłości nazwijmy jeden północnym, drugi południowym. Ten, którego ogród zryty okopami obsadziła nasza kompanja, był właśnie północnym. Łączność z prawej, w miasteczku Homel mieliśmy z dwunastką, z lewej nad brzegiem jeziora Turowla, w gęstym dużym lesie z kompanją drugą. Okopy mieliśmy wspaniałe, lecz przestrzeń do obrony była olbrzymia, przeszło cztery kilometry, a stan bojowy kompanji nie sięgał stu ludzi. Należa-

ło więc obronę kombinować na różne sposoby, żeby w razie natarcia przeciwnika, utrzymać się na stanowiskach. Porucznik Szymański rozwiązał swe zadanie następująco. W folwarku Homel usadowił pluton pierwszy, sekcję szturmową i dwa ciężkie karabiny maszynowe z obstrzałem na wieś Turec i północną lizjerę lasów stykających się z jeziorem Suja. Dowodził tem wszystkiem podporucznik Rozwadowski. Między folwarkiem Homel a wsią Płusy, w gęstym zagajniku, wryte w ziemię były dwie sekcje drugiego plutonu. W samych Płusach mieściło się dowództwo kompanji i reszta drugiego plutonu jako odwód. Ja, z trzecim — zmieniając pluton Władka Woźniaka szóstej kompanji — obsadziłem dwie reduty przyczółka mostowego na cieśninie między jeziorami Suja i Turowla, mając do dyspozycji dwie maszynki z bardzo dobrym ostrzałem w trzech kierunkach: jezioro Suja, jezioro Turowla i poprzez most na rozwidlenie dróg Prudok — Bogorodzicka.

Okopy, jak to się wyżej rzekło, mieliśmy wspaniałe, pozycję nie do zdobycia, ale tylko letnią porą kiedy to szerokie i długie jeziora, stanowiły nieprzebytą przeszkodę. W tym czasie, kiedyśmy ową „niezdobytą" pozycję obsadzili, jeziora drzemały pod grubą powłoką lodu i po nich nocną porą między redutami mogły bezkarnie przejść całe kompanje bolszewików nawet z artylerją. Aby zaoszczędzić sobie tej przyjemności, wysyłaliśmy między reduty co pół godziny patrole łącznikowe, a w nocy bez przerwy wałęsały się na przedpolu patrole zwiadowcze i ubezpieczające. Wyrobiliśmy tem u przeciwnika taki szacunek, że patrole jego rzadko wytykały nosy poza linje swoich placówek.

Kiedyśmy zajęli tę pozycję i zapoznaliśmy się ze szczegółami jej obrony, zmieniony II-gi batalion ka-

pitana Mińkowskiego, wykonał w nocy — w tych czasach modny i dla zmienionych odziałów obowiązkowy — wypad na placówki moskiewskie. Wypad podobno, wyjątkowo nie udał się, mimo to zdobyto kilku jeńców i trochę sprzętu, ponosząc straty: jeden strzelec przypadkowo zabity z własnego karabinu, dwu rannych i lekko ranny w nogę dowódca szóstej kompanji porucznik Włodzimierz Michałowski. (Zginął w sierpniu tegoż roku w bitwie pod Ossowem). Po wypadzie II-gi bataljon odmaszerował do Woroniecza na wypoczynek, a my rozpoczęliśmy czuwanie.

Okopy nasze na uśnieżonych brzegach jezior przedstawiały się jako długie, głębokie, wężowato wijące się rowy strzeleckie. Od nich odbiegały wtył i ginęły w gęstwinie lasów rowy dobiegowe. Okopy oprócz stanowisk dla strzelców i gniazd dla karabinów maszynowych, posiadały w głębi ziemi małe schrony z wiecznie kopcącemi żelaznemi piecykami. Tu w tych schronach, czy jak wówczas mówiło blindażach, skupiało się towarzyskie życie poszczególnych sekcyj.

Tu w długie, prawie że niespane noce, gadało się o odbytych bojach i wywoływało się przeszłe sceny przygód wojny. Tu pisywało się sążniste miłosne listy i rozgrzewało skostniałe i zsiniałe od mrozu ręce. Tu, jadło się wystygłe już zupy, spało się po zejściu ze służby na czujce czy patrolu. Tu grało się w zasmolone karcięta i tu, jak promyk porannego, letniego słonka, wpadała wędrująca od schronu do schronu, poprzednio wyciągnięta z bibljoteki jakiegoś opuszczonego dworu, książka lub wyświechtana z przed dwu tygodni gazeta stołeczna. Wtedy wszelkie inne czynności brały w łeb, karty znikały w przepaścistej kieszeni i rozpoczynało się czytanie. Ktoś

czytał głośno, a reszta wsłuchiwała się w słowa autora, które jak złote muszki obijały się żałośnie o ponure ściany ciasnego „salonu" i na skrzydłach marzeń niosły nas w niebywałe przygody i cudowne kraje. A kto tu u nas nie był!... proszę — Odwiedził nas Sienkiewicz z „Trylogją", a Żeromski z „Popiołami". Wjechał Gąsiorowski na „Huraganie" ze „Szwoleżerami Gwardji" i Sieroszewski z „Beniowskim", a nierzadko zapukał wstydliwie do gościnnych drzwi naszych nor obcy pisarz z Tołstojem na czele. Piękne zaiste były to czasy i tych chwil życia naszego nikt i nic nie zdoła wyrwać. To nasze, niepodzielnie nasze! Jedna z redut przyczółka mostowego „Suja" tak zwana reduta „Kuboszka" była urządzona zbytkownie, w stosunku do innych redut zajmowanych przez mój pluton. W schronie mieliśmy telefon łączący nas z pozycją całego bataljonu i starą wysłużoną, zarekwirowaną gdzieś i komuś przez zmieniony pluton Woźniaka kanapę, na której wylegiwał się, naturalnie dowódca plutonu. Tu zbierała się sama prawie śmietanka towarzyska plutonu, tu obowiązywało poprzedzić wejście sakramentalnem pukaniem do drzwi. Tu złaziła się brać na pogawędki, politykę, z meldunkami, po rozkazy i plotki ściągnięte z linji drogą telefoniczną. W tej to reducie „Kuboszka" obowiazany był „meldować się" autor, to jest każda książka, nim poszła dalej odwiedzać sąsiednie reduty.

Pewnego poranku stał się w tej to reducie mały wypadek z granatem ręcznym, na szczęście bez tragicznych następstw. Na półkach, gdzie leżały tornistry i zapasowa amunicja, ustawiono symetrycznie trzonowe granaty niemieckie. Plutonowy Michaś Surawski, po powrocie z nocnego patrolu, szykując sobie legowisko do spania, przez nieostroż-

ność potrącił jeden z granatów. Granat ten nie posiadał akurat zakrętki na trzonie, a był „zaostrzony" spłonką wybuchową. Padając z półki zaczepił się sznurkiem lontowym o wystający w ścianie gwóźdź i zapalił ścieżkę prochową. W schronie wtedy prócz mnie i Surawskiego było jeszcze dziesięciu żołnierzy. Bez namysłu chwyciłem dymiący granat i szczęśliwym trafem zdążyłem wykręcić trzon z zapalnikiem. Nastąpił wybuch zapalnika, którego odłamek, zresztą bardzo maleńki, zranił lekko w łopatkę Surawskiego. Działo się to daleko krócej jak opisuję.

Podobny wypadek w kilka dni później, miał miejsce w reducie plutonu pierwszego, z tą różnicą, że wybuchł tam cały granat, w chwili, kiedy towarzystwo siedziało przy kartach. Skutek wybuchu był obrzydliwy: jeden strzelec zabity i dwu bardzo ciężko rannych.

Najwspanialej z iście żołnierską fantazją żył tu nasz nowy wódz, podporucznik Szymański. Czuł się w swoim żywiole. Nie znając, co to jest zmęczenie fizyczne, po krótkich, dziennych drzemkach, uganiał się całuśkie noce po pozycji, badając pracę swych podwładnych. Stwierdziwszy, że czujność nie szwankowała, a stan moralny wiary był nadzwyczajny, wpadł na pomysł wyrobienia taborytów i kucharzy na równych rzemiosłem wojennym kompanji strzelców, żeby w przykrej chwili, kiedy zajdzie tego potrzeba, i kiedy zmuszony będzie żądać ich pomocy, nie zawiedli go. W mroźne więc noce, odrywając ich często od koni i kuchni, urządzał udane wypady na placówki bolszewickie. Raz w takim fantazyjnym wypadzie miał małą przygodę. Zmyliwszy drogę — noc była bardzo ciemna — znalazł się na tyłach pozycji bolszewickiej. Zaalarmowani Moskale starali

się pochwycić Szymańskiego z jego taborytami. Ten klucząc między zasadzkami, uderza wreszcie na daleko silniejszego przeciwnika, który zdumiony, a więcej jeszcze zestrachany, usuwa się z drogi i podporucznik Szymański bez szwanku — w gradzie kul — przedziera się do nas. Był to dowódca, że tak powiem, całą gębą, posiadał trzy znamienne cechujące go zalety: szaloną odwagę, zimną krew i nadzwyczajny zmysł orjentacyjny w chwilach niebezpieczeństwa.

Po kilkunastu dniach pobytu w okopach zachorowałem na jakąś dziwną chorobę. Szalony ból głowy i utrata opetytu były objawami mojej bolączki, a kiedy wychodziłem z podziemia na powietrze, robiło mi się ciemno w oczach i nieprzytomnego żołnierze wnosili do schronu.

Moją chorobę ukrywałem przed dowódcą kompanji, twierdząc w myśli, że to przejdzie. Niestety musiał ktoś mu o tem zameldować, ponieważ zjechał wieczorem do mnie, zburczał, skrzyczał, zrobił uwagę o nieszanowaniu młodego zdrowia (wojna i zdrowie!) i wyznaczył na dowódcę przyczółka mostowego Jędrka Łukaszewskiego, a mnie zabrał do lekarza. Lekarz ostukał, opukał, dał aspirynkę i orzekł krótko: „przemęczenie, należy się dłuższy wypoczynek". Z dowódcą kompanji wróciliśmy do Płus, a lekarz wysłał do pułku świstek z prośbą — o udzielenie mi urlopu.

Dwa dni przebąblowałem u dowódcy kompanji, a kiedy odzyskałem apetyt, przeniosłem się do folwarku Homla, żeby tam korzystać z hojnej gościnności podporucznika Rozwadowskiego do czasu, aż nadejdzie z pułku karta urlopowa.

Podporucznik Rozwadowski zagnieździł się w samym dworku zajmując mały, piękny pokoik z fami-

lijnem łóżkiem. Za ścianą miał telefonistów z aparatami, a w trzecim dużym pokoju tak zwanej „sali balowej", rozłożony na słomie wylegiwał się odwód redut Rozwadowskiego. Resztę pokoi zajmowała właścicielka — staruszka, która mimo rewolucji i wojny, została na rodzinnych śmieciach, broniąc resztek.

20-go stycznia miałem wyjechać na urlop czternastodniowy. Krajewski telefonował, że karta urlopowa jest już w bataljonie. Wieczorem 19-go stycznia namówił mnie podporucznik Rozwadowski, żebym pojechał z nim, dla skrócenia czasu, na herbatkę do poblizkiego, zaledwie o kilometr oddalonego folwarku Siedliszcze. Pani domu i jej trzy córki były podobno bardzo miłe i mimo głodnych czasów bardzo gościnne. Miałem więc poznać panie i ich gościnność.

Nadzieja mile spędzonego wieczoru, usposobiła nas wybornie. Zdrowy młody humor tryskał kaskadami śmiechu i zadowolenia. Wojna jakby nie istniała. Lecz kiedy byliśmy już gotowi do drogi zawezwał mnie „drucik" do telefonu. To Grabowski telefonował, żebym niezwłocznie stawił się w dowództwie kompanji, gdzie jest dowódca bataljonu. Ma on dla mnie przed urlopem jakąś robotę. Wskoczyłem do sanek, które miały nas odwieźć do Siedliszcz i machnąłem się do Płus.

Po zameldowaniu się kapitanowi Niedźwieckiemu, padają krótkie pytania i jeszcze krótsze odpowiedzi.

— Pan już zdrów?

— Tak jest.

— No to przed wyjazdem na urlop, pójdzie pan jeszcze na patrol.

— Rozkaz!

— Siadaj pan.

Siadam. Przede mną duża mapa odcinka frontu bataljonu. Po niej wódz bataljonowy kreśli palcem drogi i punkty, które mam przejść i zbadać. Wreszcie daje mi treściwie zadanie, mianowicie mam zobaczyć co się dzieje na przedpolu na linji wsi Uwołoki — Promysły i odnaleźć nocne stanowiska placówek moskiewskich.

Z rzadką miną wracam do Homla klnąc, że herbatkę, miłe towarzystwo i przytulny salonik djabli wzięli. Ordynarna proza wojny zaśmiała mi się bezwstydnie w sam nos.

Podporucznik Rozwadowski był niemniej skwaszony i sam nie chciał jechać.

O godzinie 22-ej z sekcją szturmową przechodzę placówkę 12-ej kompanji i wyruszam na przedpole. Idę na wieś Turec. Stąd wziąwszy przewodnika wykręcamy na Zagorki, żeby przejść przez Uwołoki, folwark Janowo i Promysły. Gdybym wbrew instrukcji danej mi przez dowódcę bataljonu, zaczął patrolować z przeciwnej strony, to jest od Promysłów na Zagorki, kto wie, może byłbym rano wykrył zamiar przeciwnika i wczas uwiadomił kogo należało o przykrych wypadkach, które miały spotkać następnego dnia 12-tą i naszą kompanję. Tak widocznie chciał jednak los, że otrzymałem inny rozkaz, a wypadki popłynęły inaczej.

Bez większych przygód zbadaliśmy przedpole i odszukaliśmy stanowiska nocnych placówek czerwonych, zaczepiając przez nieostrożność o jedną z nich pod wsią Promysły. Zostaliśmy ostrzelani, lecz bez strat. Zaszyliśmy się w lasy i pod osłoną ich, drożynami, znanemi tylko przewodnikowi, przez spalone Daleckie, mocno znużeni dobrnęliśmy do placówki Lewandowskiego.

Była godzina 6-ta rano 20-go stycznia, kiedy wróciliśmy do Homla. O godzinie 9-ej miałem złożyć raport podporucznikowi Szymańskiemu z patrolu. Mając trzy godziny czasu, kropnąłem się w ubraniu obok przebudzonego podporucznika Rozwadowskiego, aby się trochę zdrzemnąć. Ale los wojny nie chciał żebym w tym dniu drzemał, a w dodatku i urlop mój odroczył na czas nieokreślony.

Już sennym głosem dałem ostatnią odpowiedź na nudne pytania Rozwadowskiego, już ostatnim ruchem wciągnąłem koc na głowę, kiedy mego sąsiada zelektryzował strzał karabinowy. Padł gdzieś za oknami z pobliskiej placówki. Po nim drugi, trzeci i — naraz więcej. Nie przejąłem się tym. Mało mnie to obchodzi, jestem śpiący i neutralny na tym gruncie. Na gwałtowne i niepokojące pytania Rozwadowskiego, odpowiadam monosylabami, że to bezpodstawny alarm, jak zwykle na pozycji. Lecz za chwilę gruchnęły serje karabinów maszynowych. Wpada z trzaskiem otwieranych drzwi mocno zasapany goniec z meldunkiem, że jakieś silne oddziały rosyjskie nacierają na naszą placówkę, a na odcinku 12-ej kompanji słychać głośne „hurra!" Rozwadowski wyskakuje z łóżka, poprawia pas, naciska czapkę i biegnie do placówek. Ja próbuję spać dalej. Nie mam tu żadnego dowództwa, jestem przecież na wypoczynku przedurlopowym. Jednak szybko przejeżdżające wozy traktem, który ciągnie przez folwark zaniepokoiły mnie ostatecznie. To kuchnia i wozy amunicyjne 12-ej kompanji wieją z miasteczka. Wciągam więc pospiesznie płaszcz na plecy i gonię na pozycję. Żałosny świst kul między drzewami odpędza senność. Co to może być do jasnego pioruna? — myślę sobie, biegnąc rowem dobiegowym do stanowiska Rozwadowskiego. Ten najspokojniej ćmiąc papierosa odpo-

wiada na moje pytania że „nic nie wie, a orjentuje się narazie w sytuacji".

Dzień walczy z nocą. Widzimy jak we mgle, że na redutę naszą naciera mały oddział bolszewików, składający się mniej więcej, tak na oko ze stu ludzi. Natomiast z prawej na „dwunastkę" prą całe masy czerwonych. Biegnę do telefonu i dzwonię do „dwunastki" — cisza. Powtarzam dzwonek z niecierpliwością kilka razy. Ten sam skutek. Wobec tego dzwonię do podporucznika Szymańskiego. Odpowiedzi nie mam. A więc telefony przerwane?! Pcham jednego gońca do „dwunastki" z zapytaniem o jej położenie, drugiego z meldunkiem do dowódcy kompanji. Sam galopuję do karabinów maszynowych i kieruję ich ogniem. Grzechot długich seryj zatrzymuje nacierający oddział Moskali, którzy przykucnęli w śniegu.

Wysłani gońcy nie wrócili. Minuty oczekiwania w niepewności stają się wprost nie do zniesienia. Po chwili wysyłam drugich i trzecich gońców. Ten sam rezultat. Tymczasem dowódca „dwunastki" podporucznik Zalas z małym oddziałem cofa się z miasteczka do nas. Dowiadujemy się od niego, że bolszewicy pod Kowalewszczyzną przerwali front jego kompanji, zdobyli miasteczko i pchają się na folwark Homel.

Po wycofaniu się podporucznika Zalasa z miasteczka do folwarku następuje dezycja. Zalas obejmuje dowództwo nad całością i postanawia trzymać się w naszej reducie aż do nadejścia pomocy. W tym celu zaginamy prawe skrzydło na część wschodnią jeziora Homel i strzelamy ile się da. Celne strzały naszych maszynek i broni ręcznej, paraliżują szturm bolszewików. Szykujemy się do przeciwuderzenia na miasteczko. W tym czasie przybiega z zabudowań

folwarcznych goniec i melduje, że jakieś linje tyraljerskie przechodzą po lodzie jeziora Homel. A więc na naszych tyłach! Zalas z uśmiechem na pięknej twarzy twierdzi, że to idzie pomoc. Ja byłem innego zdania i niestety nie omyliłem się. Mniemana pomoc zamieniła się w zgraję bolszewików, którzy odcięli nam odwrót, przechodząc przez folwark Sieliszcze do jeziora Suja. Nie winiłem podporucznika Zalasa, że bolszewików przechodzących przez jezioro Homelskie wziął za własne oddziały i nie zabezpieczył tyłów, zwłaszcza mostu na kanale łączącym jezioro Homel z Sują. Kanał ten nie zamarzł. Błąd ten podporucznik Zalas popełnił z powodu gęstej mgły, która ze świtem zalała ośnieżone pola i trudno było doprawdy, odróżnić swoich od nieprzyjaciela.

Wobec tak przykrej sytuacji, porzuca Zalas poprzednią decyzję obrony i postanawia cofać się przez most na Płusy. Ja proponuję inną drogę wyjścia. Radzę trzymać się w reducie, gdzie możemy wcale dobrze się bronić, mając pewne okopy, moc amunicji, karabiny maszynowe i kupę ludzi. Twierdzę stanowczo, że bolszewicy robią wypad, że na tyłach naszych mają napewno silniejsze liczebnie oddziały, i że droga przez most jest napewno mocno przez czerwonych obsadzona. W okopach nic nam nie zrobią, od mostu postraszy ich podporucznik Szymański z odwodem i Moskale dostaną jeszcze porządnego łupnia. Ostatecznie, jeżeli mamy się już cofać, to nie na głupi most, a uderzyć bagnetem na pukający i leżący przed nami w śniegu od wschodniej strony mniejszy odział bolszewików. Przełamać słaby opór, wziąć co się da do niewoli i wiać na Daleckie, las i po lodzie przedostać się do Płus. Tu po złączeniu się z odwodem kompanji będziemy mogli próbować odzyskać utracone stanowiska. Podporucznik Zalas

nie zgodził się ze mną i postanowił krótszą drogą połączyć się z Szymańskim. Zresztą też miał rację, będąc w dobrej wierze, że podporucznik Szymański zaalarmowany pukaniną, dąży już na odsiecz i ztyłu uderzy na czerwonych.

Stało się jednak inaczej...

Bolszewicy zajęli już most, wystawiając po drugiej stronie kanału maszynki i obsadzili zabudowania folwarczne.

Pada rozkaz: „bagnet na broń" i „szturm". Opuszczamy sad i z głośnem — hura! — wpadamy na dziedziniec folwarczny. Bolszewicy czując swoją przewagę liczebną i połechtani zajęciem miasteczka, z całym spokojem przyjmują walkę wręcz. Chłopy rosłe jak dęby, gdzie się z nimi siłować naszym dzieciakom, wydaję zatem rozkaz sekcji szturmowej: „salwa granatami"! Reszta wiary z kolana puka do biegnących. To poskutkowało. Bolszewicy cofają się, a my gonimy do mostu.

Podporucznik Zalas z granatem w garści, wyprzedził nas o kilkanaście kroków i niepomny na niebezpieczeństwo prze co sił za bolszewikami. Za nim podporucznik Rozwadowski z pistoletem w dłoni, ja, sierżant Kotaś Wiktor z „dwunastki" i reszta naszych chłopców. Z przeraźliwem — huraaa! huraa! — dopadamy mostu. Tu bolszewicy rzygnęli nam w oczy długą serją pocisków dobrze wycelowanych karabinów maszynowych i zarzucili wielką ilością granatów ręcznych. Powstaje krzyk i przeraźliwe jęki! Podporucznik Zalas dopadł jednak przeciwległego brzegu kanału i rzucił granat pod karabin maszynowy, zostając przytem ciężko ranny w oba uda. Ci co wpadli na most zostali na nim bądź zabici, bądź ranni. Reszta zatrzymała się przed mostem. Rozwadowski, Kotaś, ja i kapral Piłasiewicz, dziw-

nym trafem, zostajemy narazie cali wśród jęczących kolegów. Wycofujemy się więc z mostu w bardziej bezpieczniejsze miejsce. Podporucznik Rozwadowski obejmuje teraz dowództwo nad rozbitkami. Ja z sekcją szturmową zajmuję stanowisko ogniowe u wylotu drogi na most i zabawiam się w walkę ogniową. Rozwadowski z pomiędzy zabudowań wspiera nas ogniem, odgryzając się tym, którzy włażą mu z tyłu na pięty. Jednocześnie szykuje oddział do ponownego szturmu. „Szturmówka" przeplata ogień broni ręcznej rzutem granatów. Najbardziej celującym w tym sporcie i imponującym odwagą jest, jak zwykle, kapral Piłasiewicz. Ranny w nogę, nie wycofuje się, lecz stojąc w deszczu kul, ze spokojem bawiącego się dziecka, pięknym łukiem rzuca granat po granacie na drugi brzeg kanału, gdzie w śniegu czernił się pysk wrogiej maszynki. Na zwróconą uwagę w sposób ojcowski, żeby się zbytnio i niepotrzebnie nie wystawiał na cel, bo może szpetnie oberwać, ten siedemnastoletni dzieciuch, pali szczerym, serdecznym śmiechem w odpowiedzi, że dziś trudno będzie wycyganić się śmierci. Zresztą „stojąc dalej się rzuca"... Czyż nie miał racji?...

Wreszcie wypada podporucznik Rozwadowski do szturmu na ten ohydny most. „Szturmówka" otwiera szybki ogień, chcąc wesprzeć szturmujących. Jednak i ten wysiłek nie osiąga celu, gdyż Rozwadowski ze strzaskanem udem pada przy moście. Szturm załamuje się ze stratą kilku ludzi. Zkolei obejmuję dowództwo nad resztą ludzi i nie próbując już warjackich szturmów na dobrze broniony i obficie krwią zlany most zamykam ogniem wszelkie wejścia między stodołami folwarcznemi i postanawiam bronić się do czasu nadejścia pomocy. Lecz stan naszego uzbrojenia i tego dokonać nie pozwala. Mamy wpra-

wdzie aż cztery maszynki, dwie nasze i dwie które przyniosła z sobą „dwunastka" z opuszczonego miasteczka, ale nie posiadamy do nich pocisków. Amunicja została w opuszczonej reducie, gdzie w najlepsze gospodarzyli już bolszewicy. Wkońcu zabrakło naboi i do karabinów ręcznych, nie mówiąc o wyrzuconych granatach. Broniliśmy się więc bagnetami.

Mimo naprawdę nadludzkich wysiłków tej naszej garstki, zostaliśmy prawie zalani przez Moskali. Stopniowo następowała kapitulacja. Walka rozpadła się na kilka miejsc, gdyż wiara barykadowała się w stodołach, broniąc rozpaczliwie dostępu do nich. Myśl, że mamy złożyć broń i pójść do niewoli, nie mogła żadną miarą pomieścić się nikomu z nas w głowie. Kotaś, Grzanko, Lewandowski, ranny Piłasiewicz i jeszcze kilku ludzi, przyparci do chlewni, bronili się jeszcze. Wreszcie Grzanko oddaje ostatni strzał i kładzie trupem sowieckiego komisarza. Wzamian otrzymuje pięć pchnięć bagnetem w piersi. Piłasiewicz trzymając za lufę, młóci po łbach bolszewików aż dudni, wkońcu pada w biel śniegu ugodzony kulą w serce. Dzielny był ten młodziutki peowiak!

Kapral Rutkowski, któremu odłamek granatu rozszarpał brzuch, tak, że nurzał się poprostu we własnych jelitach, został przygwożdżony bagnetem moskiewskim do ziemi. Ranny w udo podporucznik Rozwadowski dostaje teraz trzy strzały w głowę aż mózg rozpryskuje się na wszystkie strony. Podporucznik Zalas widząc klęskę, z własnego pistoletu pali kulę w swoją piękną głowę. Reszta rannych strzelców w nieludzki sposób została podobijana za wyjątkiem plutonowego Grzanki i kaprala Sokołowskiego, których na skutek stanowczej interwencji ja-

kiegoś komisarza, zostawiono przy życiu i wzięto do niewoli.

Zostało na pobojowisku w tej krótkiej, chociaż zażartej i morderczej walce dwadzieścia pięć trupów z naszej strony! Dwadzieścia pięć młodzieńczych żyć w jednej godzinie wsiąkło z gorącą krwią w biały zimny śnieg!

XIV. W NIEWOLI.

Oddział bolszewicki w którego łapy wpadliśmy, składał się z partyzantów, rekrutujących się u bolszewików z jednostek bez odrobiny uczuć ludzkich. Byli to zbrodniarze z pod ciemnej gwiazdy.

Po zamordowaniu w szkaradny sposób rannych naszych towarzyszy broni, rozpoczęli gałgany z wielką umiejętnością operację nad nami, pozostałymi przy życiu, a cierpiącymi moralnie stokroć więcej, jak ci dobijani.

Po oczyszczeniu naszych kieszeni z różnych drobiazgów, przystąpiono do rękoczynów. Początkowo odbierali należną porcję gębobicia ci, którzy przy kołnierzach mieli przyszyte leguńskie wężyki.

— „Dobrowolec sukin syn!" — towarzyszył rękoczynom wykrzyknik. Potem, kiedy dranie nabrali rozmachu, bito wszystkich pokolei z wężykami przy kołnierzach i bez. Ubrdali sobie łapserdaki w swych nieokrzesanych łbach, że „biełyj" *) z wężykiem przy mundurze był stanowczo ochotnikiem,

*) Dla bolszewików Polacy byli „białymi", jak wszyscy inni ich przeciwnicy, z którymi natenczas walczyli w wojnie domowej. W ten sposób podkreślali swój internacjonalizm, dzieląc ludzi nie według narodowości, a tylko na dwa obozy: czerwonych (ci co z bolszewikami) i pozostałych białych.

a więc bić takiego ile wlezie. Zniewagę przyjęliśmy w milczeniu, z zaciętością w duszy i silnem postanowieniem odwzajemnienia się przy pierwszej sposobności.

Nasyciwszy wreszcie swe zbrodnicze instynkta nad bezbronną gromadką, otoczono nas stu obdartusami i w kolumnie dwójkowej popędzono do miasteczka Paule.

Przechodząc obok folwarcznego ogrodu w Homlu, dla dopełnienia naszych udręczeń, byliśmy świadkami jeszcze jednej smutnej sceny. Na drodze leżał ciężko ranny w udo starszy szeregowiec Michał Tercjak z sekcji szturmowej, który padł tu w czasie naszego pierwszego szutrmu na dziedziniec folwarczny. Jeden bydlak z pośród prowadzących nas obdartusów skopał nasamprzód biedaka, a potem kulą z karabinu roztrzaskał mu głowę.

Kiedy pędzono nas przez wieś Turec-Buczaj, rozpoczęła ogień nasza artylerja, a wnet też do uszu naszych doszedł harkot broni ręcznej i maszynowej.

Teraz właśnie szła pomoc. Już za późno dla nas!

Przypędzono nas przeszło trzydziestu do Pauli i dokończono rozpoczętej w Homlu operacji. Ustawionych w szeregu oglądali nas od stóp do głów jacyś dwaj dygnitarze, z wielkiemi czerwonemi gwiazdami na piersiach. Kto miał dobry płaszcz, mundur, spodnie lub buty, natychmiast mu ściągano i ubierano w nie nędznie ubranych bolszewików. Nam natomiast dano wzamian ich podarte i zawszone łachy. Mimo wstrętu, jaki czuliśmy, trzeba było je wciągnąć na plecy, inaczej mróz zabiłby nas.

Ja i jeszcze kilku towarzyszy niewoli, mieliśmy wyjątkowo szczęście, a to z tego względu, że garderoba nasza, była mocno nadszarpnięta zębem czasu, więc nic mi nie odebrano. Wzięto mi tylko buty.

Wzamian za nie otrzymałem stare ucięte cholewy.

I te potrafiłem w dobry sposób wykorzystać. Nałożyłem je na stopy, pookręcałem sznurkami aby nie spadały i kpiłem sobie z reszty.

Operacja była skończona.

O zgrozo! — co za wygląd nadawał nam ten nowy ekwipunek wzięty z magazynów kwitnącej wolnością Sowdepji. Już nie byliśmy podobni teraz do żołnierzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej lecz do gromady żebraków idących na tułaczkę.

Żal i ból ogarnął dusze i zgrzytając zębami z bezsilnej wściekłości, zaciskaliśmy usta, żeby to, co działo sie w naszych duszach nie wytrysnęło nazewnątrz. Nie chcieliśmy dać możności tryumfowania nad nami naszym wrogom, którzy mimo zewnętrznej swobody, mieli dusze niewolnicze. Spojrzawszy sobie głęboko w oczy, wzrokiem wyrzekliśmy jak jeden.

— Nie damy się psia mać!

I już z szeregu ktoś robi dowcipną uwagę.

— Wiara, w tych kostjumach idziemy na bal maskowy do Moskwy.

Posypały się potem żarciki pod adresem naszych opiekunów, ze zdumieniem przyglądających się naszemu niefrasobliwemu zachowaniu się.

Najwiecej śmiechu wywoływał swemi dowcipami Kotaś. To też jeden z dygnitarzy bolszewickich, zgorszony naszem zachowaniem się, skarcił nas, rzucając na nasze głowy wiele brzydkich słów. Życzyliśmy mu w głębi duszy, żeby go jak najprędzej djabli wzięli. Zmitygowaliśmy się jednak chwilowo i wesoły nastrój żołnierza polskiego odłożyliśmy na stronę.

Teraz spisano nazwiska. Nie obawiając się kontroli naszych nazwisk i imion — a to z braku legity-

macji — każdy niemal podawał nazwisko takie, jakie mu się nasunęło na język. Przy tej komedji wybuchały znowu kaskady śmiechu. Niektórzy, co dowcipniejsi podawali tak komiczne nazwiska i imona, że trudno doprawdy było powstrzymać się, żeby nie ryknąć śmiechem.

Po skończonem przemundurowaniu w ubiór odpowiedni do sytuacji w jakiej znajdowaliśmy się, wyszedł rozkaz wymarszu. Pędzono nas w kierunku Witebska. Wdałem się w pogawędkę z bolszewikiem, który kroczył obok mnie z przewieszonym przez ramię na sznurku karabinem. Dowiedziałem się od niego, że bolszewicy zrobili wypad dwoma pułkami piechoty (147 i 148) oraz oddziałem partyzantów. Po przerwaniu frontu, jeden z tych pułków pomaszerował dalej w głąb na nasz tył, celem zabrania artylerji, drugi okrążył nas w Homlu. Pierwszy poniósł porażkę i z niczem cofnął się, drugi mimo strat, odniósł zwycięstwo nad nami.

Późno w nocy przypędzono nas do wsi Lachowo na nocleg. Tu zapędzono wszystkich do jednej ciasnej, niskiej brudnej i cuchnącej chałupy, pełnej pluskiew, karaluchów i pokrewnych im stworzonek. Zaryglowano drzwi widać żeby nikt nas nie okradł... — i dla bezpieczeństwa naszego życia... wystawiono dookoła wartowników.

Była to pierwsza noc w niewoli. Smutna noc. Nie wiem, czy na szerokiej drodze życia, potrafię jeszcze tak trzeźwo wydać sąd o zezowatem życiu człowieka i pomieścić w swej głowie tyle myśli, ile ich miałem w tę noc naszej niewoli, leżąc na podłodze w zimnej chłopskiej budzie, gryziony przez wyżej wspomniane stworzonka.

Z nadejściem świtu zapędzono nas na śniadanie przygotowane w dowcipny sposób. Oto biednym

mieszkańcom wsi nakazano przygotować w każdej chacie śniadanie dla dwu ludzi i teraz dwójkami pod eskortą rozprowadzano nas po chałupach. Jeżeli która z dwójek w tym podziale dostała się do ludzkiego domu, to zjadała choć skromne, lecz dobre śniadanie i dostała jeszcze coś na drogę. Ja z Kotasiem nie mieliśmy tego szczęścia.

Zaprowadzono nas do ubogiej brudnej budy. Właścicielka jej, wychudzona i długa jak tyka baba, na wstępie obrzuciła nas złym wzrokiem, mrucząc coś nieprzyjaznego pod nosem. Cuchnąca woń wypełniająca nigdy niewietrzoną izbę, lepiące się od brudu sprzęty i niegościnne zachowanie się gosposi wobec nas, zepsuło mi apetyt , pomimo że trzydzieści godzin nic w ustach nie miałem. Na misie, jeżeli można tak nazwać pęknięte drewniane i zdrutowane naczynie w jakim u nas podwórzowym psom daje się ochłapy, dała nam zupę. Zamiast łyżek, dostaliśmy duże drewniane, niemyte i posiądające pewną wagę warząchwie. Po łyknięciu jednej łyżki zupy o nieokreślonej nazwie, czułem, że gdy łyknę jeszcze jedną, skutki będą niemiłe. To też, żeby uniknąć wymiotów, zaprzestałem dalszego jedzenia. Szlachetna gosposia widząc, że „gość" nie je, wybałuszyła na mnie oba małe i złe ślepia i szczerząc spróchniałe żółte zęby, wykrztusiła po białorusku.

— Nie smakuje, co?

— Owszem smaczne. Tylko jeść mi się nie chce.

— Eee... wy przeklęci burżuje. Myślisz, że dam ci jaj, masła, sera aaa...?!!!

— Nie rozumiem co łaskawa pani mówi.

— Nie rozumiesz, ty burżuj! Chcieliście wojny. Wy nam wszystko zabrali, krowy, kury, masło, chleb. Żeby wam za to Bóg niczego dobrego nie dał i t. d. i t. d.

Spokojnie wysłuchałem całej tej litanji zarzutów, i żeby więcej durną babę rozłościć, gadam jej żeby powtórzyła te swe piękne zdania jeszcze raz od początku, mówiąc trochę wolniej, bo chcę coś z tego zrozumieć.

Kotaś złote chłopisko, namawiał mnie usilnie, żebym choć trochę zjadł, czeka nas forsowny marsz i mogę po drodze z głodu — kopyta wyciągnąć. Zawziąłem się. Tem lepiej dla mnie i Rosji, gdyż nie będę jej objadać, a zresztą wytrzymam o głodzie jeszcze trzydzieści godzin.

Po śniadaniu wyruszyliśmy dalej, kierując się na miasteczko Ułę.

Podczas tego marszu sprawiono nam przykrą niespodziankę. Mieszkańcy jakiejś wsi — a byli wśród nich i uciekinierzy ze spalonych przez nas wiosek przyfrontowych — wylegli bandą ze swych chat, uzbrojeni w pałki, widły, topory i wrzeszcząc w okropny sposób — na czele z jakimś długobrodym starcem — zbliżali się do nas. Mieli widać zamiar pomordowania nas, żeby w ten sposób wziąć pomstę za spalone chałupy. Jeden z naszych żołnierzy Wnorowski, otrzymał mocne uderzenie pałką w głowę i zemdlał. Położenie zaczynało przedstawiać się smutnie. Żeby temu zaradzić, zwracam się do komendanta eskorty z zapytaniem, czy pozwoli nas bezbronnych wymordować? Jeżeli tak, zdołamy bronić się jeszcze sami i drogo sprzedać swe życie.

Na moje pytanie odpowiedzi nie otrzymałem, natomiast komendant wydał rozkaz eskorcie, aby kłóła bagnetem tych, którzy ośmielą się nam zrobić jakąś krzywdę. Sam zwrócił się do rozjuszonego chłopstwa i oznaimił aby nikt nie ważył się podejść do jeńców, bo każe strzelać. Szliśmy zatem spokojni o swe nędzne życie dalej, a za nami sypały się bez-

silne przekleństwa, groźby i prośby do „towaryszczy", aby wydano nas im na rzeź.

Doszliśmy wreszcie do Uły. Tu dla wypoczynku zapędzeni zostaliśmy do pustego mieszkania, które za czasów carskich mieściło w sobie jakiś klub. Obecnie była to bezpańska buda z zaśmieconą podłogą, wybitemi szybami i mocno rozstrojonym fortepianem. Od biedy z braku innego zajęcia i instrumentu można było na nim cośkolwiek wybrzdąkać. To też jeden z żołnierzy wycinał rozmaite skoczne kawałki, a wiara tańczyła. Kiedy się nam ta zabawa znudziła, zaczęliśmy śpiewać. Śpiew ściągnął pod wybite okna gapiów dziwiących się naszej beztrosce.

Ściemniało się już kiedy opuściliśmy Ułę.

W pierwszej napotkanej wsi Mikołajewie zarządzono nocleg. W podobny sposób jak w Lachowie podzieleni zostaliśmy na dwójki i rozeszliśmy się na kolację. Z braku kuchni polowych w ten sam sposób żywiono oddziały bolszewickie na tyłach frontu.

W Mikołajewie mieliśmy z Kotasiem większe szczęście. Dostaliśmy się w gościnę do uczciwego gospodarza, w dodatku Polaka. Kolacja była przeplatana miłą pogawędką. Mówiliśmy gospodarzowi o Polsce, a jeszcze więcej o wolności i przyszłej potędze naszego Narodu. Płakał poczciwina z radości. Prosił Boga żeby nasze wojska mogły zająć jak najprędzej te okolice. Pilnujący nas, a siedzący w kuchni Mongoł, nic widocznie nie rozumiał z rozmowy i zachowywał się biernie.

Druga noc w niewoli zeszła nam jakoś prędzej.

Rano, kiedy zarządzono zbiórkę na śniadanie, stwierdzono nieobecność dwu naszych towarzyszy, plutonowego Wesołka i jednego strzelca. Szczęśliwcy zwiali, lecz my za nich musieliśmy odcierpieć.

Komendant konwoju rozzłoszczony nawymyślał nam i za karę bez śniadania popędził dalej.

W jakiejś wsi czy nawet miasteczku doprowadzono nas do sztabu dywizji i za pokwitowaniem oddano innym opiekunom. Byli to ludzie naprawdę inteligentni, a nawet jakiś komisarz był mocno oburzony, gdy mu opowiedzieliśmy o zwierzęcem zachowaniu się „czerwonych rycerzy" wobec nas i naszych rannych towarzyszy po bitwie. Chcąc dać nam jakie takie zadośćuczynienie oznajmił, że wyciągnie z tego odpowiednie konsekwencje, a pisarzowi polecił spisać zrabowane nam przedmioty, które rzekomo miały być nam zwrócone, albo też mieliśmy otrzymać wynagrodzenie pieniężne. Oczywiście, nie otrzymaliśmy nic.

W sztabie nasamprzód ściągano z nas ewidencję, potem brano pojedynczo do osobnego pokoju i wypytywano o położenie naszych wojsk, ilość, zamiary dowódców, stan moralny żołnierzy i t. d. Bujaliśmy badającego nas ile się dało.

Po skończonem badaniu otrzymaliśmy prowiant, pierwszy prowiant z intendentury sowieckiej, składał się on z ćwiartki czarnego chleba, jednej małej, śmierdzącej i suchej ryby, trochę cukru, z łyżki pszenicy — z której, jak nas pouczono, po utarciu mieliśmy ugotować zupe — i na dziesięciu ludzi jednej paczki machorki. Ten prowiant miał nam wystarczyć na całą dobę. Wobec tego zjedliśmy wszystko odrazu, popiliśmy zimną wodą i zakopciliśmy papierosa z machorki, skręconego w skrawek gazety. Była to wielka frajda dla palaczy po tak długim poście.

Późną jeszcze nocą, zbudzono nas leżących pokotem na podłodze i kazano szykować się do dalszej podróży.

Rozciągnięci długim dwuszeregiem pomaszero-

waliśmy zziębnięci po głębokim, skrzypiącym śniegu.

Brnąłem po drodze zasypanej śniegiem otoczony bolszewikami. Jak żywe obrazy stawały mi wtenczas przed oczyma opowiadania mego stryjaszka Franciszka Goliczewskiego. Przypomniała mi się ta jego siwa i smętnie opuszczona na piersi głowa, kiedy to siedząc w ciepłym pokoiku w szare godziny długich wieczorów zimowych, opowiadał nam dzieciom o czasach walk o wolność i o marszach po zaspach śnieżnych wgłąb Rosji.

Śmiało rzec mogę, że w tym to marszu, żaden z nas słówka nie pisnął. Nawet najbardziej dowcipni zamilkli. Przeziębieni do szpiku kości, przytłoczeni troską, milcząc sunęliśmy źle obute i zbolałe nogi po zmarzłym śniegu.

Niebawem dobiliśmy się do stacji. Mieliśmy nadzieję, że tu odrobinę się zagrzejemy, lecz zawiedliśmy się. W piecach nie napalono — a przez wybite szyby do poczekalni dął suchy, ostry wiatr. Urzędnicy odziani w duże baranie, śmierdzące kożuchy z „walenkami" na nogach i w ogromnych „papachach" na kudłatych łbach, nie odczuwali zimna i zpodełba przyglądali się nam, kiedy my, aby rozgrzać się trochę, przeskakiwaliśmy z nogi na nogę i obijaliśmy zziębnięte dłonie o boki, wykrzykując przytem niefrasobliwie „aby do wiosny — aby do wiosny!"

Wreszcie przybył pociąg. Władowaliśmy się do bydlęcego wagonu, który posiadał dla wentylacji niezliczoną ilość dziur w ścianach i dachu.

Pociąg ruszył. Ostry wiatr, wciskając się przez otwory w ścianach wagonu, dokuczał nam coraz bardziej. Nadomiar zaczął padać suchy śnieg. Wpadał dużemi kłębami, wciskał się za kołnierz, zasypywał

oczy. Dygocąc i szczękając niemożliwie zębami, tuliliśmy się po kątach do siebie, żeby własnem ciepłem rozgrzać jedni drugich.

Tak dojechaliśmy do Witebska. W dusze wstąpiła nadzieja, że teraz nareszcie zaprowadzą nas gdzieś do mieszkania, gdzie są chociaż całe okna.

Na stacji w wagonie czekaliśmy jeszcze godzinę. Potem zaprowadzono nas w podwórze przy dużym budynku, gdzie mieścił się jakiś sztab. Tu czekaliśmy kilka godzin zmiłowania ludzkiego, nim pozwolono nam wejść do mieszkania.

Podczas czekania w podwórzu, dla dodania sobie fantazji, nuciliśmy piosenki, między innemi „My pierwsza brygada"!...

Śpiew nasz ściągał do otwartej bramy coraz to większe tłumy gapiów, którzy ciekawie nam się przyglądali kiwając smętnie głowami.

W tłumie tym można było zauważyć twarze niemal całego Wschodu. Pomiędzy nimi kilku żydków z karabinami, groźnie przewieszonemi na sznurkach przez ramię i z zardzewiałemi szablami przy bokach, pełniło służbę straży bezpieczeństwa publicznego. Słychać tu było rozmowy rosyjskie, żydowskie i dziwny nieznany mi żargon, a między nimi od czasu do czasu, ktoś mówił po polsku.

Do uszu naszych dochodziły czynione uwagi, mniej więcej tej treści.

— Jak ci ludzie wyglądają? Jacy są obdarci? Jacy wynędzniali? Jak oni mogą w podobnych warunkach walczyć?

Z pogardą uśmiechaliśmy się tylko, nie przemawiając ani słowa w naszej obronie i ciągnąc dalej: „My pierwsza brygada"!...

Ta nasza obojętność wobec gapiącego się tłumu, wyprowadziła wreszcie z równowagi jakiegoś mło-

dziana — niestety rodaka! Zwrócił się do nas po polsku.

— Za co walczycie i za co przelewacie darmo krew robotniczą?

— ?...

— Wy endeckie pachołki, chcecie bosi, obdarci i głodni zawoiować potężną sowiecką Rosję?!

— ??...

W dalszym ciągu wygłaszał podobne zdania, tupiąc nogami, mówiąc coraz to głośniej, pienił się, machał łbem, zaciskał pięści, wygrażał nam. Zmęczony wreszcie, wyrzuceniem ze swej gęby tylu głupstw, zaprzestał.

Nasza cierpliwość też miała wreszcie kres. Poirytowany słowami tego durnia, podszedłem do niego tak blisko, jak mi na to pozwolił wartownik i oznajmiłem spokojnie, lecz akcentując każdy wyraz, że „jest głupi, jak ta ofiarowana, bolszewicka cholewa, którą mam na nodze przymocowaną sznurkiem". Poczem ukłoniwszy się grzecznie z uśmiechem pobłażania odszedłem na drugi koniec naszego stada.

Początkowo słyszałem za sobą kilka głośnych śmiechów. Później mój zaindyczony przeciwnik, skoczył z zaciśniętemi pięściami w moją stronę. Powstrzymał go w zapale wartownik, zagradzając natrętowi drogę karabinem. Prócz tego, grzmiącym głosem rozkazał rozejść się tłumowi w czem mu skwapliwie dopomagała groźnie uzbrojona policja.

Kiedy już odmroziliśmy uszy, nosy i po kilka palców wpędzono nas do jakiejś ciemnej, ale dość ciepłej budy, zapchanej dezerterami czerwonej armji. Powtórzyła się tu ta sama ceremonja, co i w sztabie dywizji. Prowadzeni pojedynczo coś przez dziesięć pokoi, gdzie pracowały przy biurkach „towarzyszki"

wchodziliśmy do maleńkiej salki i tu jakiś brodacz wypytywał nas.

Następnego dnia po szczęśliwem przepędzeniu nocy na gołej podłodze, wyfasowano nam porcję prowiantu, załadowano do obarapanych i nieogrzanych wagonów osobowych i pojechaliśmy do Smoleńska.

Podróż odbyła się w wesołym nastroju i bez ważniejszych przygód. Jedynie coś dwa razy zatrzymaliśmy się w szczerym lesie i na życzenie kierownika pociągu, znosiliśmy szczapy drzewa dla lokomotywy.

Ciemno już było, gdy ze stacji w Smoleńsku pomaszerowaliśmy do komendy miasta. Po załatwieniu związanych z naszym przyjazdem formalności, zaprowadzono nas do baraków. Tu, jak i wszędzie w dotychczas spotykanych lokalach, brakowało w pierwszym rzędzie dużej liczby szyb w oknach. Ten sam co wszędzie sympatyczny wiatr białoruski, bez przeszkód wdzierał się otworami do wnętrz baraków. W nagrodę za to mieliśmy tu prycze bez sienników wprawdzie i bez słomy, ale całe.

Zastępca komendanta tych baraków, mówiąc nawiasem, sympatyczny Estończyk, przy pomocy jednego „towarzysza" przyniósł prowiant, suchą, cuchnącą rybę, którą pochłonęliśmy z wilczym apetytem.

Po spożyciu niezbyt obfitej kolacji, kiedy przygotowywaliśmy się do błogiego snu, w kurytarzu wszczął się hałas. Otworzyły się z impetem i trzaskiem drzwi i do naszych baraków, zaczęli tłoczyć się nieproszeni, chociaż pożądani goście. Przy nich ogrzeliśmy się trochę — bo było nas więcej — i zjedliśmy coś lepszego niż śmierdzącą rybę.

Naszymi gośćmi była kompanja „krasnej armji", która pod eskortą, przymusem została wepchnięta do baraku.

Z chwilą przybycia gości zapanował zupełnie inny nastrój w beznadzejnie zimnej budzie. Nasi sublokatorzy nie krępując się, wyrzucali ze swych piersi, tysiące najohydniejszych przekleństw, pod adresem swego rządu.

Wdałem się w pogawędkę z jednym krasnoarmejcem. Dowiedziałem się przedewszystkiem, że jadą z frontu Denikina na front polski. Dalej! Aby zapobiec w przejeździe szerzącej się na większą skalę dezercji, dodają im na eskortę komunistów, a na postojach i noclegach zamykają ich w budynkach i obstawiają wartami. Dowiedziałem się jeszcze od tego poczciwca o koncentracji oddziałów, ściąganych z wschodniego i południowego frontu, na front polski i o wielkiej ofenzywie na Warszawę, która ma rozpocząć się z nadejściem wiosny.

Uśmiałem się z tego serdecznie, ale zarazem zasmuciłem, gdyż czułem, że w tem opowiadaniu musi być trochę prawdy.

Długo jeszcze gawędziliśmy na temat przyszłej ofenzywy czerwonych na Warszawę, wreszcie skręciwszy papierosa uścisnęliśmy sobie dłonie na dobranoc. Każdy poszedł na swoją pryczę.

Po kątach moi współtowarzysze niewoli, kłócili się z „krasnoarmiejcami" przy wymianie na chleb drobiazgów, jakie jeszcze przy nich zostały.

Rano zbudził mnie głośny rwetes. To nasi sublokatorzy wybierali się „na Warszawu". Życzyłem im szczęśliwej drogi, a temu, z którym rozmawiałem o tej podróży wieczorem oznajmiłem, że się napewno spotkamy, tylko ja będę wtedy z bronią w garści i z drugiej strony.

Kiedy nasi sublokatorzy zniknęli za drzwiami, my pogwizdując cierpliwie czekaliśmy na śniadanie.

Zawód! Zamiast śniadania, przyszła zupełnie nowa eskorta i poprowadziła nas do sztabu armji.

Szliśmy przez rynek, przez most na Dnieprze, następnie szeroką i niemożliwie śliską ulicą pod górę, potem skręciliśmy na lewo przy jakimś kino-teatrze, zeszliśmy w dół i znowu windowaliśmy się pod górę. Wreszcie skręciliśmy jeszcze raz w lewo, w wysadzoną symetrycznie drzewami ulicę. Tu zatrzymano nas przed wspaniałym pałacykiem.

Na wstępie w wyrównanym idealnie dwurzędzie, przywitał nas młody jegomość, bardzo uczciwie ubrany, przemawiając po polsku. Był on niewątpliwie Polakiem, służącym u bolszewików. Pocieszał, że będzie nam dobrze w niewoli, i że obchodzić się z nami tu będą jak w państwie, gdzie wszystkim przyznana jest wolność, równość i t. d. i t. d. Tytułując nas przez „per towarzysze" — on, brat — Polak w ten sposób odzywał się do nas. Dotychczas mówiono nam wprost przez „per wy", a nierzadko przez „per pan".

Wobec tego jako „wolni" i „równi" a jednocześnie głodni, zażądaliśmy w pierwszym rzędzie od rodaka chleba. W odpowiedzi dano nam pliki odezw i gazet, a brat — Polak „uczciwie" ubrany i napewno już po smacznem i sutem śniadaniu, zręcznie zniknął z oczu.

Potem wprowadzono nas do dużego kurytarza i stąd brano pojedynczo, podobnie jak przedtem na badanie. Zajęło nam to kilka godzin czasu. Czekając na swoją kolejkę „doprosów" odczytywaliśmy z nudów, wyryte scyzorykiem na ścianach nazwiska i daty wzięcia do niewoli naszych poprzedników. Znalazłem tu kilka nazwisk znajomych strzelców naszego pułku, którzy dostali się do niewoli w Leplu i Uszaczu jeszcze w 1919 roku.

Po skończonej ceremonji badań, jakiś dygnitarz zabrał mnie, Kotasia, Lewandowskiego, Danielkiewicza i plutonowego z 36 pułku, którego nazwiska nie przypominam sobie, do osobnego gabinetu i oznajmił nam, że będziemy jeszcze badani w jakimś tam sztabie, a potem oddani do dyspozycji komendy miasta. Zasalutowaliśmy pana komisarza i wyszliśmy na korytarz.

Dobry nasz humor w łeb wziął, gdy na korytarzu nie zastaliśmy naszej braci żołnierskiej. Powitał nas tylko komunista z nosem semity, odziany w skórzaną kurtkę i uzbrojony groźnie w pistolet.

Smutnie nam było na duszy, że tak bez pożegnania odłączono nas od „wiary", która następnego dnia, po przenocowaniu w zimnej i wilgotnej piwnicy, została odwieziona do Moskwy. Na łono pułku wrócili dopiero po wojnie i to nie wszyscy. Część z nich straciła swe życie na śnieżnych rozłogach rosyjskich, zmarłszy z głodu, zimna, chorób lub kuli komunisty. Wśród tych męczenników leży gdzieś w zimnej mogile, dobry mój towarzysz broni, miły i zawsze uczynny kolega, plutonowy Lewandowski.

Ze spuszczonemi głowami i troską w duszy, udaliśmy się wślad za naszym przełożonym, który zaprowadził nas już nie do poprzednich baraków, tylko do nieznanego aresztu. Okna były tu zakratowane.

To nasze nowe mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Jeden przeznaczyliśmy na sypialnię, gdzie były prycze, drugi na pokój jadalny, z racji znajdującego się stołu na krzyżykach, długiej ławy i dziurawego samowaru.

Nie byliśmy tu znowu tacy samotni, jak to sobie początkowo wróżyliśmy. Siedzieli tu już od dłuższego czasu dwaj Poznańczycy — jeńcy, nie znający kompletnie ani słowa po rosyjsku. Zostali przyłapani

podczas ucieczki z niewoli i czekali obecnie na sąd, oskarżeni o szpiegostwo. Był tu jeszcze ogromny, atletyczny i łagodny jak dziecko Łotysz, przyłapany na dezercji. Ostatnim tymczasowym mieszkańcem tych skromnych pokoi był stary Żydowina, u którego podczas rewizji znaleziono sto rubli carskich. Nazwano biedaka za to kontrrewolucjonistą i oddano pod sąd.

Względem nas jako nowicjuszy, najbardziej ludzkim i przyjacielskim okazał się Łotysz. I z nim w jednym dniu zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, wyświadczając sobie różne, drobne przysługi.

Nim nas wpuszczono do aresztu, przedtem w sąsiedniej kancelarji, jakiś dozorca przeprowadził — Bóg raczy wiedzieć którą już z rzędu — rewizję i poodbierał za pokwitowaniem różne przedmioty, mogące nam posłużyć do samobójstwa. Zabrano mi nawet sznurki, któremi miałem pookręcane cholewy na nogach. Głupio się potem doprawdy czułem, bo na każdym prawie kroku gubiłem moje „obuwie". Tylko kompas, który cudem ochroniłem przed pierwszą rewizją w chwili wzięcia mnie do niewoli i obecnie ocalał. Trzymałem go w nogawicy. Wyczuwałem, że już w niedalekiej przyszłości odda mi nieocenione przysługi i nie zawiodłem się na nim. W powrotnej drodze do Polski, przedzierając się przez lasy i brnąc po głębokich zaspach śnieżnych, prawie zawsze radziłem się tego niezawodnego przyjaciela, pytając o dobry kierunek i krótszą drogę.

Wędrując tak calusieńki boży dzionek po Smoleńsku, prócz papierosa i zimnej wody, nic w ustach nie mieliśmy. Na nasze prośby w sztabach, żeby dano nam coś zjeść pocieszano, że owszem, tylko trochę później, dostaniemy już tam na miejscu. Sądziliśmy, że obecne więzienie, będzie to właśnie zapowiadane

„miejsce". Więc, kiedy na tem to „miejscu" ponowiliśmy prośbę, grzecznie zakomunikowano nam, że dostaniemy suchy prowiant, ale dopiero „zawtra utrom". Niech będzie i tak — chodźmy teraz spać.

„Zawtra utrom" długo jeszcze czekaliśmy na przyobiecany suchy prowiant.

Żeby czasu nie tracić i oderwać myśli od pełnego korytka, które miało się dawniej, urządziliśmy polowanie na „blondynki", które w zastraszający sposób, całą noc piły naszą krew. Kiedy polowanie znudziło się nam, urządziliśmy wyścig „blondynek". Robiło się to w ten sposób. Z braku ołówka jakimś ostrym patykiem wyrzynało się na stole granicę bieżni oraz start i metę. Wybierało się potem co najrasowsze wszy — a było naprawdę w czem wybierać — ustawiało się takie napozór niewinne stworzonko pyszczkiem do mety, rozwierało się palce i wszy ślamazarnym kroczkiem ruszały naprzód. Żeby nie wyłaziły poza granice bieżni lub nie właziły w granicę bieżni sąsiadki, odpowiednio z jednej to z drugiej strony, łechce się je po bokach patykiem.

Darujcie że to piszę, ale doprawdy w tych nędznych dla nas czasach patrzało się na tyle różnego rodzaju świństw i tyle różnych paskudztw gryzło nasze ciała, że taka mała zabawa dla zabicia czasu, jak wyścig wszy w porównaniu do innych świństw ludzkich, była sobie taką niewinną, dziecinną. A na wojnie do wszystkiego przyzwyczaić się można.

Przyniesiono nam wreszcie oczekiwane śniadanie. Jak zwykle cuchnąca, sucha ryba, kawałek chleba, cukier i machorka. Zabraliśmy się z nieopisanym apetytem do uczty. Rybę zjedliśmy z głową, ogonem i ościami, oblizując palce. Przedtem trzymało się w tych palcach weszkę, ale kto bratał się z głodem,

ten mnie zrozumie... Potem wspólnie z Łotyszem pracowałem przy dziurawym samowarze, aby zagotować herbatę. Łotysz patykami zatykał dziury, żeby woda nie ciekła, ja w tym czasie rąbałem drzewo z futryn okien i drzwi, innego nie było. Po wielkim wysiłku zagotowaliśmy wodę i słodząc ją cukrem, piliśmy zamiast herbaty.

Następnego dnia zaprowadzono nas znowu do jakiegoś sztabu i pojedyńczo wpuszczano do dużego pokoju. W tym pokoju znajdował się duży stół, pokryty ogromnemi mapami, na ścianach wisiały portrety Lenina, Trockiego, plan miasta Smoleńska i małe mapy. Inwentarz dopełniało kilka krzeseł ustawionych pod ścianami, spluwaczka w kącie i na oknie marny, samotny kwiatek.

Wprowadzono mnie pierwszego. Powitał mnie dość grzecznie, wojskowo ubrany sympatyczny staruszek. Wysoki, szczupły, zupełnie siwy, o wysokiem czole i bardzo mądrych, niebieskich oczach. Przez cały czas naszej pogawędki, badawcze jego oczy nieruchomo wlepione były we mnie. Częstując papierosem, prosił żebym usiadł.

— Dziękuję. Nie palę...

Usiadłem przy stole i ukradkiem rzuciłem okiem na rozłożoną przede mną mapę. Migały przed oczyma nazwy znajomych miejscowości, między innemi i ten przebrzydły Homel, który wpakował mnie do obecnej nędzy.

Staruszek wypytywał się o moje miejsce urodzenia,, rodzinę, o wykształcenie, kiedy wstąpiłem do wojska i t. d. Ot tak gaworzył sobie niby od niechcenia. Wkońcu zapytał, czy nie mogę mu udzielić wskazówek o ugrupowaniu naszych wojsk na północnym froncie.

— Za małym sierżanciną jestem, panie, żebym mógł na podobne pytanie odpowiedzieć.

Nie spuszczając jednak badawczego oka ze mnie, prosił żebym mu wskazał na mapie miejsce, gdzie stała na pozycji nasza kompanja i sąsiednie oddziały.

Mając mapę przed sobą i możność orjentowania się, powstała we mnie myśl, żeby sobie przy tej okazji wyznaczyć marszrutę ucieczki.

Gadałem staruszkowi różne niedorzeczności, utrwalając jednocześnie w mózgu nazwy miast, mających mi służyć w ucieczce za punkty pośrednie.

Wybrałem dwa kierunki. Pierwszy: Smoleńsk, Rudnia, Sienno i Lepel. Drugi: Smoleńsk na Borysów przez Orszę, Kochanowo i Krupki. Kiedy staruszek z miną wielkiego niezadowolenia kazał mi odejść, a wszedł następny Kotaś, ja w kurytarzu wypożyczonym od eskortującego nas bolszewika ołówkiem, na skrawku gazety, zanotowałem wybrane nazwy.

Kiedy tak kolejno zostaliśmy przesłuchani, odprowadzono nas znów do tego samego aresztu. Przegłodowaliśmy w nim kilka dni w towarzystwie wylęknionych o swój los Wielkopolan, miłego Łotysza i stale lamentującego Żydowiny.

Pewnego razu zabrano nas do roboty. Był szalony mróz. Odmrażaliśmy sobie ręce, uszy, twarz. Kazano nam przenosić szczapy drzewa z jednej szopy do drugiej, odległej o jakich sto metrów. Z początku szło siako tako, potem osłabłem. Jeden z nadzorujących żołnierzy zamiast odprowadzić do aresztu, dał mi lżejszą robtę. Kazał wziąć naręcze urąbanego drzewa i iść za sobą.

Weszliśmy do kuchni, gdzie gruba kucharka prze-

wracała nożem na patelni skwierczące kotlety. Nieopisanie apetyczna woń połechtała moje nozdrza, żołądek skręcił mi się w korkociąg. Osłabłem jeszcze bardziej. Miałem niepohamowaną chętkę grzmotnąć drzewem w opasłą kucharkę, schwycić z patelnią skwierczące kotlety i zwiać, żeby gdzieś w kąciku spożyć te dla mnie niedostępne dary boskie. W zamiarze tym przeszkodził mi rozkazujący głos mego „opiekuna", nakazującego mi iść dalej.

— Psiakrew! Czasy się zmieniają! — myślałem sobie idąc w ślad za krasnoarmejcem. Dawniej człek robił grymasy, kiedy mu podsuwano pod nos pełen talerz jadła. Teraz dałby wiele, choć sam ma mało, za taki piszczący kotlet. — Pfu, do djabła! brakowało nam kawałka czarnego chleba ze szklanką gorącej wody, a cóż dopiero marzyć o takich frykasach! — myślałem dalej.

Przeszliśmy dwa pokoje. W trzecim, w gabinecie nieobecnego dygnitarza Sowdepji, bolszewik wcisnął mi w garść zapałki i kazał „topit pieczku". Sam odszedł.

Nigdy podobnej funkcji w życiu nie pełniłem, więc jako nowicjusz nie miałem pojecia od czego zaczać. Trudno, polecenie trzeba było wykonać. Nakładłem mokrego drzewa do pieca, napchałem urzedowego papieru, biorąc go ze stojącego obok biurka, przytknąłem zapaloną zapałkę i zamknąłem drzwiczki. Dziś widzę, że robiłem to wcale fachowo. Lecz wysiłek chociaż fachowy szedł na marne, gdyż papier spalał się raptownie, a wilgotne drzewo syczac nie zajęło się.

Użyłem innej kombinacii. Popatrzyłem po mieszkaniu szukajac czegoś takiego, co ułatwiłoby mi nastruganie wiórów. Na biurku dostrzegłem między

papierami nóż do rozcinania kart u książek. Bez żadnego ale biorę go, pcham siłą w drzewo i pobijam polanem. Nóż szczerbi się, ale drzazgi lecą. Łatwiej mi będzie teraz rozpalić — myślę.

W czasie tej roboty, otwierają się raptownie drzwi i jakiś niewieści głos mówi.

— Papasza, papasza! — Nie oglądam się a mozolę się dalej nad uszczypaniem wiorów. Słyszę lekki chód w moim kierunku i słowa zgorszenia.

— Radi Boga czto wy diełajetie?

— Palę w piecu — brzmi moja spokojna odpowiedź.

Nóż wyrwano mi z ręki. Oglądam się. Przedemną stoi młoda dziewczynka, oglądając z zaciekawieniem wyszczerbiony nóż i mnie.

Mimo opłakanego wyglądu musiałem mieć coś jeszcze ludzkiego w swoich oczach, gdyż jejmościanka zamiast uciec z przerażeniem uśmiechnęła się, a wyszczerbiony nóż schowała pod stos urzędowych papierów.

— Dlaczego jeszcze niema ognia? — zapytuje.

— Bo palić się nie chce, robię to w moim życiu po raz pierwszy, więc nie mam wprawy.

Psułem zapałki w dalszym ciągu, nie zwracając uwagi na obecność córki — jak przypuszczałem — sowieckiego dygnitarza. Kiedy zabrakło mi papieru podszedłem do biurka po nową porcję. Zabroniła mi ich ruszać, oznajmiając, że to są „urzędowe papiery papy".

— Nie wiedziałem o tem... Przepraszam.

Przyjrzałem się jej teraz lepiej. Nie było to dziecko, lecz dorosła pannica, mogła liczyć sobie ze siedemnaście wiosen. Jak każda Rosjanka była nadwyraz ładna, średniego wzrostu, smukła figura, drob-

ne nóżki, duże, czarne, inteligentne oczy i krucze włosy, figlarnie rozprószone nad śniadą cerą twarzy.

Usiadła w foteliku chcąc nawiązać ze mną rozmowę. Początkowo szło kulawo. Byłem mało przystępny i zbywałem ją półsłówkami. Lecz kiedy dowiedziała się, że jestem Polakiem i zeszła na temat tyczący się Polski, rozmowa popłynęła żywiej.

Opowiadałem tej smarkuli o Polsce. Opowiadania moje musiały być dość interesujące, słuchaczka rozwarła dziób i zasłuchała się mocno. A kiedy przedstawiłem jej obecne moje nędzne położenie, w jej czarnych oczach zabłysły srebrne łezki.

W czasie opowiadania, wygadałem się bezwiednie, że przy pierwszej sposobności muszę stanowczo uciec z hańbiącej mnie niewoli. I przyznać trzeba, że z niekłamaną szczerością w swych inteligentnych ślepkach, to współczujące stworzenie, życzyło mi powodzenia.

Rozmawialiśmy jeszcze dłuższą chwilę zapominając zupełnie o paleniu w piecu. Wreszcie przeprosiwszy mnie, wyskoczyła lekkim kroczkiem do kuchni i wnet wróciła w towarzystwie kucharki, niosącej gorącą herbatę i ciasto. Udając obojętnego połknąłem dyskretnie ślinkę i zabrałem się do swojej czynności przy piecu.

Gosposia widząc, że zabieram się do ponownego mozolenia się przy rozniecaniu ognia poprosiła, żebym zaniechał tego i uraczył się herbatą. Nadmieniła przytem, że ten skromny poczęstunek jest od dobrej znajomej, a nie od Moskiewki. Dziękuje i stawiam warunek, że uczynię zadość jej prośbie wtedy, jeżeli raczy mi towarzyszyć.

— Czemuż nie?! — brzmiała odpowiedź. Stanowisko moje przy piecu zajęła gruba kucharka, rzu-

cając na mnie od czasu do czasu nienawistne spojrzenie.

Była to królewska uczta!

Tę chwilę zapomnienia, że jestem nędznym niewolnikiem, przerwał mi przybyły wartownik, który z mocną zgorszoną miną, nakazał odwrót.

Panna Wiera — tak było tej dobrej dziewczynie na imię — zakomunikowała mi na odchodnem, że jutro odwiedzi mnie z „papaszą". Przybrałem z tego tytułu niezmiernie zadowoloną minę, co mi jednak nie przeszkadzało pomyśleć o wściekłości pana komisarza, gdy znajdzie wyszczerbiony nóż i dowie się o spalonym papierach.

Okoliczności złożyły się jednak inaczej. Tego samego dnia zmieniliśmy swoje mieszkanie i już więcej gościnnej i miłej gospodyni oraz napewno zgorszonego jej papy nie widziałem. Po południu zaprowadzono nas do komendy miasta, gdzie wreszcie ostatni raz postawiono nam znane już pytania i skąd odesłano do obozu jeńców.

Obóz jeńców znajdował się na ulicy Niżnie — Donskoj w jednopiętrowym domu, szczelnie ogrodzonym drutem kolczastym.

Wprowadzono nas po mocno wyszczerbionych schodach do kancelarji i oddano za pokwitowaniem jakiemuś podtatusiałemu jegomościowi. Był to komisarz Gliński, Polak — podobno z Częstochowy, pełniący tu funkcję komendanta obozu. Przyznać muszę, że w stosunku do jeńców odnosił się naprawdę po ojcowsku.

Prócz Glińskiego zastaliśmy tu jeszcze brzdąkającego na bałałajce, mężczyznę w uniformie wojska polskiego. Był to podobno podchorąży Klepacki z 4 pułku Legjonów.

Wciągnięto nasze nazwiska do dużej księgi i wprowadzono potem na ogólną salę, gdzie znajdowali się jeńcy. Tu oczom naszym przedstawił się bolesny wprost nie do opisania widok naszych żołnierzy-jeńców. Ogromna sala, okna częściowo zatkane szmatkami i słomą, zimno, powietrze przesycone nieznośną wonią brudu. Na środku sali duże, dwupiętrowe prycze, bez sienników i bez słomy. Z jednej i drugiej strony pryczy stały na cegiełkach dwa żelazne piecyki z rurami wetkniętemi w komin do połowy zburzonego pieca. W kątach podpierało ściany kilka zniszczonych ław.

W tej to sali na piętrze — parter mieścił w sobie wartownię i magazyn rupieci — mieściło się około stu jeńców-żołnierzy. Należeli do różnych pułków naszego wojska. Można tu było spotkać piechura, ułana i artylerzystę. Istniało tu przymusowe braterstwo broni. Wszyscy byli obdarci, niemal bosi, wynędzniali, brudni i częściowo chorzy. Na dziko zarośniętych twarzach trudno było doszukać się znaków dawnego uśmiechu, tego niefrasobliwego uśmiechu żołnierza polskiego.

Kiedy szukałem wolnego miejsca na pryczy, gdzie mógłbym spędzić noc, natknąłem się na kilku ledwie ruszających się rodaków. Zwróciłem się z zapytaniem do niektórych.

— Czy jesteście chorzy, kolego? — odpowiedzi nie otrzymałem. Wysoki, chudy i ciekawie mi przyglądający się ułan, oznajmił, że to są chorzy na tyfus. Do szpitala ich nie biorą, bo rzecz prosta niema tam miejsca.

— To gorzej — pomyślałem. Sam czułem się nietęgo ze swojem zdrowiem i tylko siłą woli powstrzymałem się, żeby nie rymnąć do łóżka, a tu

mając taką wspaniałą opiekę sanitarną, można było niezawodnie i w krótkim czasie, opuścić ten padoł nędzy.

— Władku, trzymaj się chłopie — pocieszałem siebie — bo czeka cię jeszcze ciężka przeprawa!

Zjawienie się nasze w tej „trumnie żyjących", nie zrobiło na stałych mieszkańcach żadnego wrażenia. Na sali panowało ponure milczenie i tylko jakiś obdartus zapytał z którego jesteśmy „ egimentu" i kiedy wpadliśmy do niewoli. Reszta zachowała się w stosunku do nas obojętnie.

Nadszedł wieczór. Jeńcy powracali z różnych robót, poza obozem. Wydano trochę drzewa i rozpoczęło się palenie w piecu, przy których skupiały się widma ludzkie z brudnemi kociołkami w rękach z zamiarem zagotowania kolacji.

Przy dobijaniu się o pierwszeństwo zawładnięcia ogniem, zrobiło się trochę ruchu. Przeważnie kłócono się, przeklinano i wymyślano sobie wzajemnie wyrazami nie nadającemi się do powtórzenia.

Obserwując ten smutny obrazek z wysokości drugiego piętra pryczy, miałem możność przekonać się, że głód potrafi w decydujący sposób zamienić kulturalnego człowieka w ohydne bydlę.

Nasz sąsiad od spania z lewej strony, ogniomistrz 2 pułku ar.ylerji, udzielając mi różnych wiadomości z życia obozu, zakomunikował między innemi, że fasunek otrzymuje się dopiero rano. Składał się on z ćwiartki funta razowego chleba, pół „wosmuszki" machorki, arkusza bibuły i łyżki cukru. O godzinie szesnastej, dodają do tego gorącą zupę z cuchnącemi rybami.

Więc w tym dniu, spóźniliśmy się na fasunek i gorącą zupę. Wobec tego na głodno poszliśmy spać.

Następnego dnia otrzymaliśmy jedzenie, zdrowszych zabrano na robotę i w baraku zapanowało znowu milczenie.

Włóczyłem się z nudów po sali i szukałem wśród pozostałych umrzyków znajomych gęb. Ale dopiero wieczorem, jakiś wynędzniały wiarus z wyłysiałą głową, okręcony w łachmany i leżący na pryczy, przywołał mnie słabym głosem.

— Cześć, panie plutonowy!

Uścisnąłem go serdecznie, lecz nie mogłem przypomnieć sobie, czy tę twarz widziałem kiedyk lwiek w życiu. Dopiero po zamienieniu z nim kilku zdań, dowiedziałem się, że był to szeregowiec pierwszego plutonu mojej kompanji, żydek Markowicz, wzięty do niewoli jeszcze w 1919 roku pod Uszaczem. Należał on do tej nieszczęsnej placówki starszego szeregowca Chojnowskiego, wysuniętej za rzekę Uszacz, którą zostawiła kompanja, wycofując się nagle w nocy na Sieliszcze.

Opowiedział mi przy tej okazji, jak to z nadejściem świtu sądząc, że mają jeszcze poza sobą kompanję w okopach, stawiali długo opór nacierającym bolszewikom, wreszcie wycofując się za rzekę wpadli do niewoli. Zawieziono ich do Moskwy, skąd zaczęli „zmiatać". Złapano go już niedaleko frontu. W drodze oprowadzany po różnych aresztach, zachorował na tyfus. Leżał długi czas w szpitalu, a kiedy przyszedł do jakiego takiego zdrowia wsadzono go do tej budy.

Nie wiem czy ten Markowicz wrócił do Ojczyzny?

Dla urozmaicenia nam długich zimowych wieczorów przychodzili na salę gadacze-komuniści bajdurząc różne głupstwa. Oprócz tego, agitowali nas do czerwonej armji i nie powiem żeby ta agitacja nie

odnosiła skutku. Byli tacy, którzy po krótkim namyśle wstępowali w szeregi bolszewickiej armji, sądząc, że po wyjeździe na front Wrangla czy innego „białego" generała, dostaną się do niewoli i łatwiej im będzie przedrzeć się do Polski. Inni znowu zaciągali się pod czerwone sztandary jedynie dla polepszenia sobie wiktu.

Między nas wpuszczali bolszewicy szpiegów, którzy zasłyszawszy coś „niebłagonadziożnago" od któregoś lub zauważywszy najmniejszą niechęć do bolszewików, meldowali tam, gdzie należy. Taki nieszczęśnik znikał wnet z naszej budy, cichaczem zabierany przez jakieś ciemne typy. Co z takim biedakiem robiono, nikt się z nas o tem nie dowiedział. To też trzymalśmy języki mocno w cuglach.

Przyznać muszę z rumieńcem na twarzy, że tak podłą profesją, jak szpiegowanie, trudnili się nawet niektórzy nasi żołnierze za psie wynagrodzenie.

Głód zmusił mnie, że pewnego, mroźnego poranka, poprawiwszy już mocno sfatygowane cholewy na nogach, wybrałem się na robotę. Prawie wszystkie roboty wykonywane przez jeńców były płatne. Płacono dziennie 86.000 rubli sowieckich. Funt chleba natomiast kosztował sto tysięcy, a więc po dwóch dniach pracy można było sobie na chleb zarobić.

Ładowałem tedy cały Boży dzień do wagonów puste beczki od śledzi, a kiedy nadszedł wieczór, nie chcieli nam pracodawcy zapłacić pocieszając, że dostaniemy pieniądze „zawtra". Już więcej nie poszedłem do roboty, bo mi nawet gorąca zupa przepadła, a miała być rzekomo w tym dniu bardzo smaczna i z mięsem...

Pewnego dnia oznajmił nam jakiś dygnitarz, że kto niema ciepłych spodni, bluz i całych butów, to

może je otrzymać. Wobec tego wciągnąłem na listę potrzebujących moje nazwisko i naprawdę otrzymałem watowane portki i bluzę. Teraz psiamać zdobyć jeszcze płaszcz — mój do ucieczki nie nadawał się — wycyganić jakie takie buty, maciejówkę na kudłatą „papachę" i jesteśmy w porządku.

Sądziłem, że Sowdepja i dalej pomoże mi umundurować się do ucieczki, ale to trwałoby długo, a cierpliwość moja była już na wyczerpaniu. I tu dziwny traf okoliczności o jakich czyta się tylko w fantastycznych powiastkach nasunął mi osobę, która z iście przyjacielskiem oddaniem, wystarała się mi o brakujące części ubrania.

Grzejąc się pewnego wieczoru przy piecyku i rozmyślając nad różnemi sposobami przyszłej ucieczki, zauważyłem mocno obdartego wiarusa, który krzątał się obok pieca, gotując w kociołku kawał wieprzowiny. Gęba jego przypominała mi kogoś znajomego.

— Gdzie obywatel to zdobył? — zapytałem właściciela smakowitego kąska.

— „Zrobiłem na lewo" pracując w rzeźni — odrzekł.

Gwarząc tak sobie od niechcenia, a raczej z zamiarem z mojej strony otrzymania choć małej części tego mięsiwa, doszliśmy do porozumienia, że jesteśmy kolegami z ławy szkoły powszechnej z przed laty.

Tym obdartym wiarusem był szeregowiec 13 pułku Kadłubowski. Przypomniał mi się teraz ten nieutemperowany chłopiec, który to w dobrych czasach szkolnych, chadzał stale z usmarowanemi atramentem rękoma, wiecznie podrapaną gębą i bił swych rówieśników gdzie się dało i ile wlazło. Wre-

szcie cierpliwość kierownika szkoły, staruszka Laskowskiego, wyczerpała się i pełen życia chłopiec został wyrzucony z „budy" ku własnej uciesze, a ku wielkiemu strapieniu rodziców.

Na wojnie Kadłubowski brał udział w kilkunastu bitwach i potyczkach, aż na jakimś nieudanym patrolu wpadł do niewoli. Wywieźli go bolszewicy z kilkoma kolegami za Moskwę, skąd zwiał i prawie że na piechotkę dobrnął już do frontu. Tu go bolszewicy znów pochwycili. Próbował jeszcze raz szczęścia wiejąc nieuważnej eskorcie w drodze, lecz i drugim razem ucieczka zakończyła się dla niego niezbyt pomyślnie. Obecnie czeka nadejścia wiosny i wtedy spróbuje po raz trzeci szczęścia.

Starą znajomość odnowiliśmy sumiennym podziałem, ugotowanej wieprzowiny, gwarząc do późna w nocy. W rozmowie tej zwierzyłem się Kadłubowskiemu, że noszę się z zamiarem ucieczki. Obiecał mi pomóc udzielając rad, jak mam w drodze „bujać" wieśniaków, żeby ucieczka udała się.

Następnego dnia, wracając z roboty, przyniósł mi „Kadłubek" — tak go przezywaliśmy dawniej, za co nieszczędził nam kuksańców — zdobyte gdzieś łapcie i worek na onuce. Przystąpiliśmy niezwłocznie do lekcji nakładania i zdejmowania łapci. Przy końcowej repetycji oznajmił mi, że wszystko w porządku. Ucieczka musi się udać.

Płaszcz mój sprzedał krasnoarmejcowi za trzysta tysięcy rubli sowieckich.

— Gotówka ci w drodze się przyda — mówił. Zabrał moją maciejówkę, a wzamian dał swoją „papachę" i starą chłopską sukmanę bez guzików. Obwiązywałem się potem sznurkiem.

— Dam ci Władziu jeszcze kolegów na drogę.

Dwaj ułani chcą wiać, uważasz! Będzie ci w towarzystwie raźniej.

Dodani do towarzystwa ułani byli obaj z 4 pułku ułanów. Pierwszy — długi jak kilometr i przeraźliwie chudy, lecz zrównoważony i miły młodzian, nazywał się Kuncewicz i pochodził z Wilna. Drugi — mały, krępy, zawsze trwożliwy i nieznający języka rosyjskiego, pochodził z okolic Warszawy. Nazwiska jego nie przypominam sobie. Po zapoznaniu umówiliśmy się, że z obozu wychodzić będziemy pojedynczo w odpowiednim odstępie czasu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi wartownika i bez „szynelek". Wyrzuci nam je później Kadłubowski przez okno. Zbiórka za miastem na szosie witebskiej.

XV. UCIECZKA.

Z 4-go na 5-go lutego 1920 czekamy z wielką niecierpliwością nadejścia świtu. Kotaś, obok którego leżałem wyciągnięty na twardej pryczy, usiłuje powstrzymać mnie od tego — jak mówił — warjackiego zamiaru. Nasuwa różne przypuszczenia.

— Zdechniesz bracie z głodu lub mrozu — mówił — pożrą cię wilki albo bolszewik ustrzeli jak psa.

Prosił żebym zaczekał do wiosny. Będzie wtedy cieplej, łatwiej da się zdobyć jadło, ukryć się przed wzrokiem policjanta i przespać się gdzieś pod krzakiem.

— Będziemy wiać wtedy razem, Władku — zostań!

— Nie da rady Wiktorku, wieję jutro.

Widząc z mej strony niczem niezachwiany upór, dał spokój namowom. Wypchał mi tylko kieszenie uściskami dla przyjaciół, kolegów i znajomych w puł-

ku, zamieniliśmv mocny uścisk dłoni i udawaliśmy spanie. Kotaś usnął, ja czuwałem.

Zaczyna świtać. Zgrzebuję się ślamazarnie z pryczy i schodzę z hałasem po schodach na kurytarz symulując atak kaszlu. Na dole włażę na drzemiącego wartownika.

— Dokąd? — brzmi pytanie.

— Do ustępu.

— Idź.

Muszę nadmienić, że nasz przytułek nędzy był strzeżony przez dwu wartowników. Jeden taki śpiący rvcerz stał przy wejściu, drugi chodził dookoła drutów.

Wszedłem do ustępu i przez szparę w drzwiach bacznie obserwowałem wartownika za drutami, czekając aż przejdzie na drugą stronę budynku. Taką samą obserwację prowadził Kadłubowski z okna pierwszego piętra i w odpowiedniej chwili rzucił mi sukmanę.

Dalsza czynność trwała sekundy. Zarzuciłem sukmanę na parkan dla zabezpieczenia się od zardzewiałych kolców drutu, jednym zręcznym skokiem przesadziłem go i znalazłem się na ulicy. Z zadziwiającą szybkością wciągłem tę sukmanę na barki, okręciłem się sznurkiem, żeby poły nie fajtały się po bokach, przekręciłem „papachę" zawadjacko na prawe ucho, skręciłem papierosa z pozostałości machorki i wolnym krokiem udałem się w kierunku stacji kolejowej.

Kto mnie tu teraz pozna? — niczem się przecież nie różnię od przeciętnego robociarza? — myślałem. Więc wolniuśko, Władku, bez nerwów. Idźmy dalej.

Przy stacji co chwila spotykałem dążących do pracy robotników. Omijając się, rzucaliśmy po so-

bie obojętne spojrzenia i szliśmy każdy w swoim kierunku...

Za miastem przy drodze witebskiej przykucnąłem w krzakach, czekając na ułanów. Wnet zjawił się z miną wystrachaną ułan „z pod Warszawy". Po upływie pół godziny, a czas ten wydał nam się o całe niebo dłuższy, przybył i Kuncewicz. Pogratulowaliśmy sobie pierwszego powodzenia i nie naradzając się długo nad tem dokąd maszerować, szliśmy przed siebie szosą, aby jak najdalej odejść od Smoleńska. Aby grupka nasza nie rzucała się zbytnio w oczy przechodzącym i przejeżdżającym cywilom podzieliliśmy się. Ja z Kuncewiczem szedłem na przodzie, a nasz współtowarzysz ciągnął w przyzwoitej odległości za nami.

Upojeni radością, że dążymy ku Ojczyźnie, zrobiliśmy tego dnia przeszło czterdzieści kilometrów. Późna już była noc, kiedy zdecydowaliśmy się na zanocowanie.

Skręciwszy z szosy w lewo, wyminęliśmy z zachowaniem wszelkich ostrożności jakąś wieś i zatrzymaliśmy się w zapadłym futorze.

Tego dnia szczęście sprzyjało nam naprawdę. Futor w którego progi zaszliśmy prosząc o nocleg, zamieszkiwali Polacy. Dobrzy ludzie, uraczyli dymiącą zupą, pajdami chleba i dali spanie na świeżej słomie.

Następnego dnia, zaopatrzeni obficie w chleb, przez gosposię i nieodzowne w takim wypadku błogosławieństwa, najkrótszą ścieżyną wyszliśmy znów na szosę witebską i dobrym krokiem podążyliśmy naprzód.

Przechodząc przez kościelną wieś natknęliśmy się na jadącego saniami dygnitarza bolszewickiego.

— Towarzysze, gdzie tu sztab stoi? — rzucił pytanie pod naszym adresem. — Licho cię wie o jaki sztab ci psubracie chodzi, ale bez wahania odpowiadam.

— Nie wiem. Jesteśmy nie tutejsi.

— Przepraszam. I pojechał dalej szukać swego sztabu.

To niespodziane spotkanie z panem komisarzem kazało nam pomyśleć o drodze bardziej bezpiecznej, niż ludna szosa, gdzie prawie co krok, spotykało się różnych ciekawskich. Wobec tego za wsią skręciliśmy do lasu.

Był jasny, pogodny dzień. Zaszywamy się głęboko w lesie i na małej polanie spożywamy obiad. Łamiemy świerk i urządzamy z niego gniazdo dla zabezpieczenia się trochę od zimna, które ciągnie ze śniegu. Następnie „wbijamy" ofiarowany chleb, zagryzamy śniegiem, śmiejemy się do słońca i kpimy sobie z życia. Jesteśmy wolni jak ptacy!

Tu w dużym lesie, na małej polanie, między Smoleńskiem a Witebskiem w naszej „kwaterze głównej" zapada decyzja trzymać się marszruty: Smoleńsk — Rudnia — Lepel i iść w przyzwoitej odległości od szosy. Będzie to trochę dalej i trudniej, ale dla nas bezpieczniej. Ruszamy!

Zapada znowu noc. Trzeba zapukać gdzieś do odosobnionych gościnnych drzwi i poprosić o nocleg.

Zawsze znalazła się jakaś szlachetna rodzina, co nas nakarmiła, przenocowała, ostrzegła przed policjantem, zmieniła podarte łapcie na całe i wskazała drogę. Ale nierzadko wyrzucano nas na zbity łeb za drzwi. Żeby wyszachrować jadło i nocleg, okłamywaliśmy wieśniaków stosownie do okoliczności. Jednym mówiliśmy, że jesteśmy Polakami i ucieka-

my z niewoli, drugim, że jesteśmy dezerterami krasnej armji i idziemy „na rodinu". Najmilej byliśmy widziani, jako dezerterzy, a to z tej przyczyny, że każdy niemal wieśniak miał syna w wojsku, a wolałby mieć go w chacie. To też sądząc, że synalek jego tuła się tam gdzieś po chatach, za proszonym chlebem, jak i my, chłop przyjmował nas dość gościnnie, mimo, że rząd sowiecki stosował represje w stosunku do tych, którzy pomagali dezerterom.

Zbrzydło nam wreszcie to ciągłe puszczanie gęby po kweście i postanowiliśmy skończyć z tem.

Gdzieś pod miasteczkiem Rudnia zapadła nowa decyzja: — iść dniem i nocą robiąc małe wypoczynki w lasach, odosobnionych stodołach lub stogach siana. Jedzenie zdobywać w nocy w samotnych futorach i tam gdzie niema mężczyzn.

Pierwsza noc naszego marszu była dość znośna. Zeszliśmy na szosę. W nocy mało kto przechodził lub przejeżdżał. Zresztą w ciemności łatwiej nam było tego kogoś wyminąć, a w ostatecznym razie, gdyby starał się nam szkodzić, udusić. Silny wiatr wiał w plecy, jakby chciał nam ulżyć w marszu, to też prawie truchcikiem goniliśmy naprzód, aby dalej i aby bliżej do upragnionego celu.

Niedaleko Rudni przeszedł nam drogę wilk kłapiąc zębami.

— Szczęście! — mówił Kuncewicz, ale uczuliśmy wszyscy niemiłe dreszcze w plecach.

Zaraz w napotkanej pierwszej wsi uzbroiliśmy się w pałki, żeby mieć jakąkolwiek obronę przed takim panem wilkiem. Ponieważ byliśmy mocno zmachani, przycupnęliśmy w chlewku, chcąc odgrodzić się od mroźnego wiatru, wytchnąć trochę i posilić się.

Udający pies podwórzowy sprowadził nam gos-

podarza, zresztą poczciwinę chłopka. Dostaliśmy chleba i przestrogę, aby wyminąć Rudnię, gdyż stoi tam na wypoczynku wojsko przybyłe z frontu. A nawet byli to nasi starzy znajomi ze 148 pułku.

Skorzystaliśmy z rad dobrego wieśniaka. Wyminąwszy miasteczko z lewej strony, przyszliśmy do toru kolejowego i udając pociąg osobowy, pędziliśmy z jęzorem na brodzie aż do białego dnia.

Szliśmy teraz pośród dużych łąk. Przed nami daleko ciemniła się ściana lasu, na lewo o kilka pięknych kilometrów leżała duża wieś. Nie było celu brnąć do niej. Byliśmy okrutnie zmęczeni i trzeba było wypocząć na miejscu.

Bez większego namysłu skręcamy do pobliskich stogów siana. Wygrzebujemy w jednym z nich dziurę, wciskamy się tam przykrywając się wyrwanem sianem. Po chwili robi się ciepło i ze zmęczenia twardo usypiamy.

Było już ciemno, kiedy opuszczaliśmy swą kryjówkę i szczękając z zimna zębami w długich susach pognaliśmy do szosy, zajadając po drodze pozostałe kromki razowca.

Zrobiwszy porządny kawał drogi, zaczepiliśmy o miasteczko Łożno. W pierwszej chacie z brzegu, gdzie zaszliśmy wycyganić kawał chleba, powiedziano nam, że w miasteczku jest wojsko.

Bardzo nam przyjemnie, ale nie życzymy sobie spotkania się z niem. Wycofujemy się zatem do pobliskiego zagajnika i zdala omijamy miasteczko. Tu miał przygodę nasz ułan „z pod Warszawy". Brnąc naprzełaj po sypkim śniegu zawalił się do jakiegoś strumyka po same pachy. Narobił przy tem tyle wrzasku, jakby go bolszewik ze skóry obdzierał. Ledwie go z Kuncewiczem uciszyliśmy i za łapska wyciągnęliśmy z tej wcale niepożądanej kąpieli. Aby

nam ułanisko nie zamarzło, musieliśmy co pewien czas urządzać bieg dla rozgrzewki.

Nad ranem zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi. Bez środków ostrożności — bo głód zmuszał — dekujemy się do odosobnionej chałupy. Wieśniak Białorusin, w gruncie rzeczy poczciwy człeczyna nakarmił nas gorącą zupą, zmienił mi łapcie, bo już bosemi nogami szurgałem po śniegu, wysuszył ułana, powiedział, że dookoła stoją wojska i radził przedniować.

Tak dowcipnych rad słuchaliśmy zawsze. Włazimy wobec tego na strych, zagrzebujemy się głęboko w słomę i przesypiamy cały dzień.

Wieczorem obżarliśmy się do nieprzyzwoitości — tak już na zapas — gorącej zupy. Obładowani chlebem, pożegnawszy serdecznie gospodarza zaszyliśmy się w ciemną mroźną noc.

Tej nocy przeszliśmy najmniej drogi, a to z tego powodu, że musieliśmy kryć się przed często przejeżdżającemi wozami wojskowemi.

Gdzieś, pod rozłożystym świerkiem, już blisko Witebska, zapada w naszej „kwaterze głównej" trzecia decyzja. Oto dać buzi wszystkim drogom, wyciągnąć kompas z nogawicy i machać naprzełaj, trzymając się wyłącznie kierunku zachodniego, a tam gdzieś znajdziemy front.

Skręcamy zatem z szosy na lewo, a ponieważ czuliśmy już nadchodzący dzień, oglądamy się za samotnym futorem.

Uszliśmy kilka kilometrów od szosy i zaczepiliśmy się o jakiś futor. Chłop nakarmił, zgodził się na przedniowanie, ale miast spania, zaprzągł nas na cały dzień do młócenia żyta. Z początku to senne młócenie szło nam kiepsko, potem nabraliśmy wprawy.

Zmęczenie i sen waliły człowieka z nóg, ale tłu-

kło się cepem w klepisko, żeby odrobić ten kawałek wyżebranego chleba. Podczas młócki synalek gospodarza okręcony w kożuch, siedział „na czujce" obserwując przez dziurę w strychu drogę, żeby wczas uwiadomić o zbliżającym się wojsku lub policji.

Po kolacji zaopatrzeni w żywność poszliśmy dalej, kierując się na Sienno. W tym to marszu naprzełaj straciliśmy rachubę dni i czasu, mocno się to wszystko zgmatwało w naszych skołatanych mózgownicach.

Pewnego razu, po nocnym marszu, tłukąc się cały dzień po lesie, bez kawałka chleba — nadobitkę wstrętna śnieżyca od kilku godzin zatruwała nam już obmierzłe życie — postanowiliśmy wdepnąć gdzieś do chaty. Przed nami z mroków nocy i z mgły wiejącego śniegu wyłoniło się mdłe światełko. Po dojściu pod chałupę kolega Kuncewicz udał się na zwiady. Stał przez kilka minut pod oknem, chuchał, dmuchał, wpatrywał się, wkońcu przywołał nas do siebie. Spojrzałem przez wychuchane w zamrożonej szybie kółko do wnętrza i ujrzałem w pięknie umeblowanem mieszkaniu krzątającą się przy rozpalonym kominku z miejską ubraną dziewoję. Nie widząc więcej nikogo, a tembardziej mężczyzn, postanowiliśmy wejść. Na zapytanie młodej gosposi, kto jesteśmy, wymyśliliśmy nową blagę.

Sądząc z wewnętrznego urządzenia mieszkania wywnioskowaliśmy, że muszą tu mieszkać ludzie inteligentni. Jeżeli są zwolennikami ustroju sowieckiego, a powiemy im, że jesteśmy dezerterami krasnej armji, wywalą nas — że tak powiem — na pysk. Gdy zaś im oznajmimy, że jesteśmy Polakami i uciekamy z niewoli, bezwątpienia postarają się oddać w ręce władzy. Wobec tego zamieniamy się w Niem-

ców, musimy chleb zdobyć i ogrzać skostniałe ciała. Umawiamy się: — byliśmy wzięci do niewoli w 1916 roku, a spóźniwszy się z różnych tam powodów na transporty jeńców odwożonych do Niemiec, wracamy obecnie piechotą. Znając trochę język niemiecki, mogliśmy sobie pozwolić na to niewinne kłamstwo. Zresztą w tych czasach i w tych to okolicach, włóczyła się kupa maruderów szwabskich, więc mogliśmy za takich podać się z łatwością.

Przekształceni tak w myśli na Niemiaszków weszliśmy do chaty. Młoda gosposia na widok trzech obdartych i wynędzniałych drabów, uzbrojonych w grube pały, poprostu — zbaraniała z przerażenia. Na prośbę Kuncewicza, aby pozwoliła nam się trochę ogrzać przy ciepłym piecu, milcząc z rozwartą do połowy buzią, mrugała tylko oczami. Ja nie czekając na decyzję przerażonej gospodyni, stałem już przy wesoło trzaskającym ogniu, grzejąc opuchłe i zgrabiałe ręce. Na tę scenę z sąsiedniego pokoju weszła szerokich rozmiarów niewiasta, a bezpośrednio za nią bardziej jeszcze korpulentny, wysoki, szpakowaty jegomość. Kłaniamy się im niezbyt zgrabnie, udając zakutych Szwabów i Kuncewicz w imieniu swojem i naszem ponawia prośbę.

Na wiadomość, że jesteśmy Niemcami, twarz pani domu przybrała wyraz niezadowolenia, ale będąc widocznie zdania, że podróżnego w dom trzeba przyjąć, głodnego nakarmić, a zziębniętego ogrzać, czyni zadość naszej prośbie.

Głowie domu natomiast nie wystarcza widocznie nasza krótka wzmianka kto jesteśmy i z dobrodusznym uśmiechem na rozlanej gębie, bada nas gruntowniej. Szczegółowe odpowiedzi, bez zająknienia, blagując jak z nut, daje Kuncewicz. Ja i ułan „z pod Warszawy" milczymy, zachowując niczem niezmą-

cony spokój. Stoimy tylko przy piecu z wyciągniętemi nad ogniem rękoma.

W czasie tej, wyciskającej z nas siódme poty pogawędki między gospodarzem domu a Kuncewiczem, rozglądając się od niechcenia po pokoju, zauważyłem na przeciwległej, obitej tapetą ścianie, karabin. Obecność tego narzędzia mocno mnie zastanowiła. Na dobitkę niepokoju, jaki wywołał we mnie niewinnie wiszący karabin, w drzwiach sąsiedniego pokoju, z którego przed chwilą wyszła opisana para staruszków, ukazał się pięknej postawy młodzian w uniformie komisarza bolszewickiego.

Przyznam, że w takiej to sytuacji, musieliśmy mieć głupsze miny, niż młoda gosposia, kiedy ujrzała nas, wyłaniających się ze śnieżnej zadymki w swojej kuchni. Już widzieliśmy siebie aresztowanych, sądzonych i zamkniętych w kryminale.

Pierwsza decyzja samoobrony, jaka wpadła mi do głowy — w tej niegodnej zazdrości chwili, — było zdobycie wiszącego na ścianie karabinu. Oceniam odległość i stawiam w myśli pytanie: — czy jest naładowany? Trzy lub cztery zręczne i szybkie kroki, schwycę karabin w garść i będę panem sytuacji — myślę sobie. I znowu niepokojące pytanie: — a jeżeli nienaładowany, to co bedzie? Szukam wzrokiem bezpiecznika z czego będę mógł łacniej wywnioskować o tym, czy broń jest naładowana, lecz cień padający na to miejsce karabina, gdzie mieści się bezpiecznik, nie pozwala mi tego dokonać.

Z tej to, naprawdę tragicznej sytuacji — kiedy to każdy nasz nerw był napięty do ostatnich możliwości, a serca waliły szybko z wielkiego niepokoju — wybawił nas dźwięk naszej mowy rodzinnej. To pan komisarz po polsku proponował mamusi, żeby uraczyła nas czemś, bo jesteśmy „napewno głodni".

Odetchnęliśmy z ulgą. Ułan „z pod Warszawy" aż przysiadł sobie na zydlu z osłabienia. Więc jesteśmy w polskim domu? — pośród rodaków, wobec tego krzywda nam się nie stanie, gdy powiemy kto jesteśmy?

Byli to rzeczywiście Polacy, dawniej właściciele zasobnego folwarczku na Rusi, z którego zostali wyrzuceni falą rewolucji rosyjskiej. Obecnie dla zdobycia kawałka chleba i utrzymania się przy życiu staruszek pełnił funkcję policjanta na wsi, a synalek wysługiwał się w krasnej armji.

Kiedy zdjęliśmy maski Niemiaszków i wytłumaczyli zdziwionym gospodarzom kto zacz jesteśmy, radości jak z jednej, tak i z drugiej strony nie było końca. Witani czule i goszczeni obficie naopowiadaliśmy tym, wyrzuconym z gniazd ludziom różnych pięknych rzeczy o Nowej Polsce, pocieszając ich przy tem, że z wiosną nadejdą tu nasze wojska i wybawią ich z raju Sowdepji.

Nakarmieni, ogrzani, źdźiebkò wypoczęci, zaopatrzeni w chleb i pobłogosławieni na drogę zaszyliśmy się w noc. Za nami ścierała ślady dziurawych łapci szalejąca wciąż jeszcze śnieżyca.

W tę to pamiętną noc, w czasie tej piekielnej pogody, kiedy kluczyliśmy po głębokim śniegu, nawet niezawodny przyjaciel — kompas, wykpiwał nas często. Za karę schowałem go do kieszeni. Postanowiliśmy posługiwać się środkiem bardziej praktycznym w podobnych okolicznościach. Śnieżyca gnała z północy więc aby iść na zachód, staraliśmy się mieć wiatr stale z prawej strony. Lecz było to dobre wtedy kiedy szło się w otwartem polu. Przy wejściu w las lub do zagajnika wiaterek rzucał nam w oczy kłębami śniegu ze wszystkich stron. Orjentacja za pomocą wiatru też psa była warta.

Tak nas zastał dzień. Przed nami, tuż na skraju jakiegoś zagajnika, o kilkaset kroków leżała wieś. Kto wie czy nie była to ta sama wieś, w której przed kilku godzinami byliśmy tak gościnnie przyjmowani przez sowieckiego pana policjanta?

Ledwie zipiąc z wielkiego zmęczenia z zachowaniem ostrożności, skradamy się między krzakami i opłotkami, jak złoczyńcy do samotnie stojącej stodoły z zamiarem przespania się.

Kiedy wgrzebaliśmy się głęboko w woniejące sianko i już usypialiśmy przyszedł do stodoły jej prawy właściciel za jakimś gospodarskim interesem w towarzystwie psa. To przebrzydłe bydlę wyczuwszy ukrytego w sianie obcego, a raczej obcych, skacząc na stromą ścianę sąsieku, zaczęło złowrogo ujadać. Gospodarz widząc zachowanie się psiaka rzuca niepokojące pytanie.

— Kto tam jest?

Niema innej rady, jak wyleźć z kryjówki i zapoznać się z wieśniakiem.

Zdumienie chłopka musiało być naprawdę wielkie na widok ukazujących się z siana, jedna po drugiej, trzech wielkich czap. Przyjazne odezwanie się z naszej strony i zapewnienie, że jesteśmy „swoi" pozwoliło gospodarzowi trochę oprzytomnić. Robił nam wymówki dlaczego to nie zaszliśmy do chaty, tylko tu do stodoły gdzie mogliśmy „zmarznąć na śmierć". Zabrał nas do chałupy. Po drodze, zniżywszy głos do szeptu tajemniczo powiedział nam, że i jego dwóch synów zdezerterowało i są w domu. Niebawem mieliśmy przyjemność ujrzeć tych obiecujących synalków, którym na stawiane pytanie.

— Towarzysze z którego pułku? — odpowiedzieliśmy bez zająknienia.

— Sto czterdziesty siódmy „striełków" — a na-

sza „rodina", na której łono dążyliśmy miała rzekomo znajdować się w Żarcach pod Leplem, już po stronie „białych".

Kiedy raczyliśmy się gorącą zupą wpada zdyszana córka gospodarza z okrzykiem.

— Czerwoni jadą!...

Gospodyni na ten alarm wepchnęła nas trzech i dwóch swych synów dezerterów do ciemnej i ciasnej komory i obstawiła szczelnie deskami i słomą, nakazując zachowywać się cicho. Ja najmniej kłopotałem się o rezultat „chowanego", raz z racji wielkiego zmęczenia, powtóre mając na myśli synów gospodyni, o których całość skóry matka najbardziej dbać będzie, a więc przy tej okazji oszczędzi i nas.

Czerwoni przyjechawszy na rekwizycję siana i owsa postanowili nasamprzód napchać swoje żołądki. Zabrali się zatem do sporządzenia sobie śniadania. Wywiad ten przeprowadziła córka gospodyni, my zaś postanowiliśmy wykorzystać go niezwłocznie.

Wypuszczeni z komory, każdy z pajdą chleba w kieszeni, czmychnęliśmy chyłkiem poza stodołami do pobliskiego lasu. W lesie młodzi Białorusini wskazali nam drogę, ostrzegając, że prawie w każdej wsi jest wojsko. Do pozycji jest niedaleko — mówili — dwadzieścia wiorst z nieodstępnym w tych stronach „hakom". Pożegnawszy chłopaków laskami i zagajnikami pobrnęliśmy dalej.

Mając chleb i dwadzieścia kilometrów do frontu, postanowiliśmy do chałup już nie zachodzić. Tymczasem te dwadzieścia kilometrów i ten przebrzydły „hak" wydłuży się w nieskończoność. Zapas chleba wyczerpał się, a głód proponował jednak zapukać gdzieś do ludzkiego osiedla i „dokupić" prowiantu.

Kiedy zatrzymaliśmy się w pogodną noc dla wypoczynku w jakiejś samotnej i nawpół rozwalonej

szopie zostałem wydelegowany — była to zresztą moja kolejka w tym dniu — do najbliższej chałupy leżącej opodal wsi, żeby tam wycyganić chleba. Włażę z zachowaniem ostrożności do mieszkania, gdzie konał na kominie ogieniek i kamienieję. W chałupie podłoga jest usłana grubym pomostem słomy, a na niej snem sprawiedliwych leżała kupa bolszewików. W tej to niezbyt zachęcającej sytuacji, pozwolił mi zorjentować się, wydobywający się z pod płaszcza zaspany głos przebudzonego skrzypieniem drzwi krasnoarmejca, który rozkazał mi wcale nieparlamentarnie.

— Zamknij drzwi sukin syn!

— Śpij, śpij towarzyszu, nic ci nie będzie! Na dworze jest wcale ciepło! — odpowiadam najspokojniej ordynusowi, zamykam z trzaskiem drzwi i początkowo wolniej, potem coraz szybciej, wreszcie galopem gonię do czekających na chleb przyjaciół. Wartownik alarmowy, którego każde wojsko wystawia, na moje szczęście musiał też gdzieś w ustroniu drzemać, kiedy mnie nie zatrzymał.

Opowiedziałem przyjaciółom o swej przygodzie i bez dłuższego naradzania się z pośpiechem o głodzie idziemy dalej.

Miasteczko Sienno pozostało już daleko za nami. Ominęliśmy je, nie wiedząc zresztą początkowo o tem gdzieś z północnej strony.

Ten to czas podczas którego głód przyprawiał nas o mdłości, a sen i zmęczenie z nóg waliło, utkwił znowu mocno w mojej pamięci z innej jeszcze, trochę smutnej, chociaż branej przez nas z humorem przyczyny. W tym to pamiętnym dla nas roku śnieg był bardzo głęboki w Polsce, a tembardziej na jej wschodnich, tymczasowo oznaczonych okopami, kresach. Podczas pierwszych dni wędrówki z niewoli

do Polski było coś dwa dni odwilży. Po niej złapał nagły mróz, mocny trzaskający mróz. Z tej to przyczyny dawniej topniejąca, teraz ścięta mrozem powierzchnia śniegu była twarda jak lód. Idąc po niej w szczerem polu szło się przewybornie, jak po stole, natomiast w wysokopiennym lesie podszytym krzakami, „stół" ten w miejscach, gdzie zasypane gałązki krzaków stykały się z powierzchnią śniegu, był słabszy i pod ciężarem naszych opuchłych z głodu i zimna ciał, załamywał się. Pasażer wpadł w białą czeluść po samą szyję. Kolega szedł mu z pomocą podając rękę, lecz wątła pokrywa śniegu rwała się i pod nim. Siedziało sobie wtedy w sypkiej mące śniegu już dwóch. O własnych siłach wydostać się stamtąd było trudno z powodu osłabienia i głębokości. Wobec tego niósł pomoc kolega znajdujący się jeszcze na powierzchni, a że był już nauczony wypadkiem swego poprzednika nie przysuwał się zbytnio do krawędzi, tylko podawał kij, trzymając go mocno za jeden koniec.

I tak to przy pomocy tego kijaszka wyciągaliśmy się na powierzchnię twardszego już śniegu. Odpoczęło się potem trochę, odsapnęło, okurzyło i szło dalej aby niebawem znowu zapaść. A zapadnięć tych było dużo, nawet bardzo dużo, a każde wydostanie się z takiego zapadnięcia zabierało resztki naszych sił i dużo czasu.

Po takiem borykaniu się z zawistnym losem wydostaliśmy się na dużą polanę, gdzie zdecydowaliśmy się na dłuższy wypoczynek. W tym celu pokładliśmy się we dwóch nawznak rozkrzyżowując ręce i nogi, żeby śnieg łacniej wyciągał zmęczenie z obolałych mięśni, a trzeci towarzysz stał na posterunku, żeby nas obudzić wczas. Dłuższy sen to śmierć... I tak na zmianę czuwaliśmy nad sobą. Wartownik

broniąc się przed snem, podskakiwał, biegał i gryzł do krwi sine ręce.

Była to piękna mroźna noc, niebo usiane gwiazdami, księżyc uśmiechał się dobrotliwie i mrugając pojednawczo okiem pocieszał, że kres naszej tułaczki jest już blisko.

Podczas tego dłuższego wypoczynku gdzieś niedaleko miejsca postoju usłyszeliśmy wycie wilków. Zwęszyły żer i zwołują się na ucztę — płyną przez zmęczony mózg myśli — a czy się obronimy?

Kto słyszał w mroźną noc, w oddalonym lesie przeraźliwe, długie, pełne grozy i skarg wycie wilków, ten wie napewno jakich uczuć doznaje się wtedy, zwłaszcza kiedy ma się tylko kawał kija do obrony. Słuchając tego wycia, jak swego marszu pogrzebowego, podnieśliśmy się na nogi i powlekliśmy się dalej przez otwartą polanę, potem zaszyliśmy się w las. Za nami wślad szła śmierć. Nie baliśmy się jej, byliśmy na jej zimny uścisk już zdecvdowani, a że smutnie nam było, to jedynie dlatego, że nie dopniemy tak upragnionego celu i że tak głupio zakończymy swój żywot. Lecz dobre bogi czuwały i teraz nad nami, odgłosy „żałobnego marszu" dawały się słyszeć — w miarę posuwania się naprzód — coraz to dalej, coraz to ciszej, wkońcu ucichły zupełnie.

Dniało już kiedy wyszliśmy na skraj lasu. Przed nami leżała pusta, biała, kilkokilometrowa przestrzeń, a tam dalej znowu ciemna ściana lasu. Kładziemy się na śniegu, żeby trochę wypocząć i pójść dalej. Dokoła panoszyła się zimowa, poranna cisza. Nagle!... Czy słuch nas nie myli? pada gdzieś w prawo wpobliżu strzał!... Po nim drugi, trzeci, dziesiąty i suche, dobrze nam znane: ta-ta-ta-ta! serje karabinu maszynowego. Strzelanie trwało przeszło piętnaście minut, może zresztą krócej, a może dłużej, nikt

z nas według zegarka czasu nie mierzył, braliśmy to „na oko".

— A więc pozycja! — wykrzykuje któryś z nas radośnie. Kryjemy się za drzewa, żeby zbadać dokładniej sytuację.

Na prawo wskos w odległości jakichś ośmiuset metrów leżała wieś. Z niej to strzelano. Na lewo, w odległości kilometrowej, zaobserwowaliśmy wychylające się z za wzniesienia kopuły cerkwi. Wyciągamy z tego wniosek, że musi tam być miasteczko. Strzały ze wsi oddawane były w kierunku lasu, który czernił się przed nami. W lesie tym musiał być ktoś do kogo strzelano, a tym „ktosiem" był napewno nasz patrol, włóczący się po przedpolu. Decydujemy się żeby przejść front bolszewicki dopiero z nadejściem nocy. Teraz wszystko czuwa zaalarmowane podejściem patrolu. Idąc możemy z łatwością być złapani, a jeszcze prędzej postrzeleni. Chcąc sobie tej przyjemności przy końcu wędrówki zaoszczędzić cofamy się kilkaset metrów w głąb lasu, zaszywamy się w najgęstsze krzaki i czekamy nadejścia nocy.

Dzień ten dłużył się nam w nieskończoność. Dla skrócenia go biliśmy wszy, a mieliśmy ich dużo. Wystarczyło wsadzić rękę za koszulę, żeby wyciągnąć odrazu trzy, cztery, a nierzadko i pięć. Pamiętam przy tej operacji uciesznà minę Kuncewicza, kiedy wyciągnął z za koszuli nieznany mu okaz wszy z centkami na brzuszku. Cieszył się też niezmiernie, że wszy zaraziły się świerzbem, (ten mieliśmy też) i drapiąc się teraz dadzą mu wreszcie spokój. Głodowe kurcze żołądka zaspakajaliśmy śniegiem jedząc go tyle, ile się dało. Mieliśmy jeszcze kawałek chleba, ale postanowiliśmy zjeść go dopiero wieczorem, przed udaniem się w dalszą podróż, żeby zdobyć

w ten sposób trochę sił. Dla odpędzenia zimna urządzaliśmy bieg w miejscu z wyrzutem nóg do przodu lub do tyłu, przysiady — te szły trochę trudniej — wyrzuty rąk w bok, do przodu i tak dalej. W tym czasie kiedy jeden z nas gimnastykował się, dwaj inni wpychali się pod świerk, żeby więcej zrobić miejsca skaczącemu.

Kryjówka nasza, jak każda rzecz na świecie, prócz pewnych zalet, miała jedną wadę. Wadą jej była bliskość zbiegających się z sobą o kilkanaście kroków od nas dróg, po których co chwila przejeżdżał wóz lub kuchnia bolszewicka. Napędzało nam to stracha, że możemy być łatwo wykryci. A już naprawdę czuliśmy dusze na ramieniu, kiedy obok przejeżdżającego i mocno skrzypiącego po śniegu wozu usłyszeliśmy ujadanie psa. Było to widocznie jakieś nędzne i głupie, a może sprzyjające nam psisko. Może nas i wyczuło, ale dało spokój. Zmienić kryjówki nie mieliśmy odwagi, a to z powodu, że nie mieliśmy w pobliżu gęstych drzew, no i mogliśmy być akurat w czasie zmiany miejsca przez kogoś zauważeni. Wobec tego polecając siebie opiece boskiej, postanowiliśmy już siedzieć tu do wieczora.

Nadszedł wreszcie pożądany wieczór. Zjedliśmy sumiennie podzielony kawałek razowca.

Szliśmy pojedynczo jeden za drugim w odległości wzrokowej, lecz niebawem stwierdziliśmy, że możemy być łatwo zauważeni przez jakiś patrol łącznikowy. Noc była księżycowa. Kładziemy się więc na ziemię i czołgamy się. Początkowo szło to jeszcze jako tako, lecz po pewnym czasie siły nas opuściły. Trzeba było robić duże wypoczynki.

Przyczołgałem się tak do wydeptanej przez łączników ścieżki — tak sadziłem — która łączyła wspomnianą wieś z miasteczkiem. Trochę czułem się

na tej ścieżce niewyraźnie, oglądając się w lewo i w prawo czy nie zauważę przypadkiem takich panów łączników, lecz nie spostrzegłem nikogo. Przedemną czołgającego się Kuncewicza też nie widzę, tylko ciemny las o jakich czterysta metrów. Postanawiam jednym szybkim skokiem dostać się do niego, lecz przypominam wczas czołgającego się za mną ułana „z pod Warszawy". Skok mój może naszą obecność zdradzić i ułanisko przepadnie. Musimy ten skok wykonać razem. Psykam więc cicho i kiwam ręką, żeby przyczołgał się do mnie.

— Odpocznij sobie trochę. Pobiegniemy do tego lasu — mówię do mocno zdyszanego i spoconego ułana, kiedy przyczołgał się na moją wysokość. Wreszcie podrywamy się na nogi i pędzimy galopem ile sił w nogach przed siebie. Ale te nasze biedne, opuchłe nogi słabną i przestrzeń, którą w normalnych warunkach przebiegłoby się prędko, biegniemy niemożliwie długo. Lecz jeszcze kilka sekund i bęc w śnieg walimy się, ale już w lesie. Serca biją z nadmiaru wysiłku, płuca pracują jak miechy, nadstawiamy uszy, czy nie dojdzie nas jaki podejrzany krzyk, ale nic — cisza. Przed nami na pniu ściętego drzewa siedzi Kuncewicz. Ściskamy sobie z wielkiej radości dłonie i wolnym krokiem brniemy po śniegu wśród drzew dalej, posługując się kompasem i gwiazdami.

Przechodzimy tak na odmianę las, potem czyste śnieżne, pogórkowate pole, zagajnik i znowu las. Tak przeszliśmy z osiem kilometrów nie napotykając po drodze ani żywej duszy ani wioski. Wreszcie zaczęliśmy wątpić w istnienie pozycji bolszewickiej, którą z takim trudem przechodziliśmy. Nie tracąc jednak zupełnie nadziei i siłą woli napędzając nogi do marszu ciągniemy dalej.

Po przejściu lasu, potem pola i jakiegoś zagajnika, wyłoniło się przed nami kilka zabudowań.

Postanawiamy bądź co bądź zapukać do ich śpiącego właściciela, poprosić o chleb i zorjentować się gdzie jesteśmy. Jako szperacz podchodzę wolno i ostrożnie pod chałupę — koledzy w tym czasie kryją się poza chlewami — nadsłuchuję dłuższą chwilę i z mocno bijącem sercem raz i drugi pukam do okna.

— Kto tam? — dochodzi mnie z wnętrza chaty głos po polsku. A więc mieszkają tu Polacy — myślę sobie. — Dobrze się jakoś składa.

— Swój! Proszę otworzyć! — mówię przyjaznym i przyciszonym głosem. Czekam dłuższą chwilę i słyszę zgrzyt odsuwanych rygli. Otwierają się drzwi i ukazuje się w nich głowa niewieścia okryta chustą. Wywiązuje się między nami mniej więcej taka rozmowa.

— Są tu żołnierze? — pytam kobiecinę.

— Niema, brzmi odpowiedź po polsku.

— A do pozycji daleko?

— Jakie dwie wiorsty.

Nic z tego nie rozumiem i proszę babinę o wskazanie kierunku, gdzie ta pozycja znajduje się. Pokazuje mi kierunek na ciemniejący w poświacie księżyca zagajnik z którego przed chwilą przyszliśmy. Powiada.

— Tam na górze są nasze polskie okopy.

— ...Nasze polskie okopy!...

Wyrazy te zabrzmiały w moich uszach jak dziękczynna modlitwa składana u stóp Boga. Uczucie szczęścia, jakie wypełniły mą duszę na dźwięk tych wyrazów, nie pozwoliły mi zawołać nawet towarzyszy, żeby oznajmić im radosną wieść. Stałem tak oniemiały i napewno z otwartą gębą, w głowie kłębiły się zwarjowane z nadmiaru szczęścia myśli.

Więc już przeszliśmy „nasze polskie okopy"?! Jesteśmy już dwa kilometry za naszym frontem?! Już nie ma głodu?! Już nie ma wilków i bolszewika?! Już skończyła się nasza nędzna żebranina?! Nie wiem jak długo rozmyślałbym tak, gdyby nie oprzytomnił mnie głos kobiety zapytującej się.

— A kto pan jest?

— Ja pani jestem w tej chwili niczem i wszystkiem, a tam za stodołą mam jeszcze głodnych, zmęczonych dwu przyjaciół.

Na dźwięk ostatnich moich wyrazów zbliżyli się obaj. Rzuciliśmy się sobie w objęcia całując się i wykrzykując. Kobiecina na widok takiej sceny sądząc, że ma przed sobą ludzi zlekka zwarjowanych, zamknęła drzwi. Musieliśmy ponownie dobijać się i tłomaczyć wystrachanej wieśniaczce kto jesteśmy, wtedy dopiero wpuszczono nas do chaty.

Gospodyni dowiedziawszy się, że jesteśmy żołnierzami polskimi i wracamy z niewoli, urządziła nam królewską ucztę i boskie spanie. Chciałem się tej samej nocy zameldować u którego z dowódców naszych oddziałów stojących w pobliżu, ale Kuncewicz radził zanocować i wypocząć. Więc zanocowaliśmy. Spać jednak żadną miarą nie mogliśmy, serce w piersiach skakało nam obłąkany taniec zwycięstwa.

Działo się to w jakimś futorze w okolicy Lepla. Bieg czasu zatarł w mojej pamięci jego nazwę.

XVI. W UŚCISKACH PRZYJACIÓŁ.

Ta pierwsza noc naszej wolności spędzona w ubogim futorze nie powiem żeby miała być znowu tak wielce rozkoszną. Chęć jaknajprędszego zameldowania się w którymś z oddziałów własnych wojsk oraz nieustanne łaskotanie, wywołane ciepłem rozgrza-

nych ciał, oraz przez wszy doprowadzało człowieka do utraty zmysłów. Swędzenie świerzbu nie pozwalało poprostu usnąć. A kiedy nawet zmęczenie fizyczne pozwoliło mi zdrzemnąć się trochę, to na odmianę senne koszmary w postaci ogromnego bolszewika lub wyjącego wilka wyciskały zimny pot na ciele. Człek budził się z okrzykiem przerażenia, dusząc za gardło obok leżącego i Bogu ducha winnego przyjaciela, jako domniemanego „krasnoarmejca" czy innego „wołka". I tak przewracając się z boku na bok na rozbabranej słomie spędziliśmy kilka męczących godzin.

Rano, kiedy zaczęło świtać, zerwaliśmy się na opuchłe nogi, a zmywszy z siebie gorącą wodą kilkudniowy brud zasiedliśmy do śniadania.

W czasie pałaszowania darów boskich przytelepała do futoru sekcja strzelców Grodzieńskiego pułku piechoty, który stał na pozycji w tych okolicach. Dowódca tej sekcji, niedostępny starszy strzelec, mimo naszego wylania się przed nim, kto zacz jesteśmy i skąd wracamy, nie dowierzał nam jednak i z groźną miną, pod bagnetami, odprowadził do kompanji, zajmującej ten odcinek frontu, przez który nie spotykając nikogo przeszliśmy w nocy.

Dowódca kompanji, młody podporucznik, kiedy mu opowiedzieliśmy w jaki to sposób przeszliśmy „naszą pozycję" był mocno niezadowolony z kiepskiej czujności swych podwładnych i kazał niezwłocznie zawezwać do siebie dowódców plutonów. Celu wezwania można się domyśleć. Nas pod eskortą może siedemnastoletniego chłopca odesłał do bataljonu.

Adjutant bataljonowy rzucił kilka pytań, skrobnął coś na papierku, zmienił eskortę i wysłał saniami do dowództwa pułku kwaterującego w znanym

nam z zeszłorocznych bitew Leplu. Tu zatrzymano nas dłużej i wyciągano posiadane spostrzeżenia o bolszewikach, tu też zjedliśmy obiad. Gorący obiad z zupą, mięsem, jarzynami i deserem, podany przez ordynansów z kuchni dowódcy Grodzieńskiego pułku.

Dobrze już nad wieczorem saniami zaprzężonemi w trójkę rączych koni, z nieodstępną eskortą, pokłusowaliśmy do Pyszna, do sztabu brygady. Po zameldowaniu nas w adjutanturze, wzięci zostaliśmy w krzyżowy ogień pytań oficerów wywiadowczych, którzy wyciągnęli z nas najmniejsze szczególiki posiadanych wiadomości o przeciwniku. Rano, czy nawet tej samej nocy zmieniwszy konie pogoniliśmy do Dokszyc.

W Dokszycach stało dowództwo I-szej dywizji Litewsko-Białoruskiej i tu jak w sztabie brygady poprostu zamęczono nas badaniami.

Ciśnięci prasą naszego wywiadu mieliśmy możność stwierdzić, że jednostki pracujące w tej instytucji, posiadały umiejętną metodę stawiania pytań badanemu i wyciskania z niego najmniejszych szczegółików. Przekonaliśmy się, że aparat wywiadowczy naszych wojsk działał o całe niebo sprawniej od podobnych wydziałów moskiewskich. Dumni byliśmy z tego i radzi informowaliśmy panów oficerów o wszystkich spostrzeżeniach, jakie przez krótki czas niewoli zdołaliśmy poczynić u bolszewikach. A cennych wiadomości przynieśliśmy moc. Między innemi, może nie wcześniej ale i nie zapóźno o przygotowywaniu wielkiej wiosennej ofenzywy moskiewskiej na Warszawę, o koncentracji czerwonych oddziałów na północnym froncie i o fortyfikacjach brzegów Dźwiny i Dniepru dla zabezpieczenia Moskwy przed rzekomym najazdem „białych". Mówił o tem niemal

każdy cywil i wojskowy, że „Polaczki" z wiosną mają runąć w głąb zbolszewiczałej Rosji i zburzyć nowy ustrój.

Tu w dywizji Litwinów nareszcie pozbawiono nas eskorty i odzyskaliśmy zupełną swobodę ruchów. Tu zaznaliśmy też serdecznego przyjęcia, przyjęto nas niebywałą ucztą z befsztykami i słodkiemi wódkami. Tu postawiono mi nęcącą jak na ówczesne czasy propozycję.

Jakiś major bardzo życzliwie zaproponował mi z całą powagą, żebym przystał do dywizji Litwinów i objął jakąś kancelarję. O tem że wróciłem z niewoli i zatrzymałem się w dywizji Litewsko-Białoruskiej drogą służbową powiadomi 33-ci pułk.

Propozycja była pociągająca, ale odmówiłem stanowczo. Nie uśmiechała mi się perspektywa porzucenie macierzystego pułku, z którym byłem związany od chwili jego powstania, jak również Szymańskiego, nieocenionego dowódcę, kolegów i przyjaciół, z którymi przeżyło się już tyle trudów, plutonu, z którym byłem związany węzłami rozlanej krwi, gdzie każdego strzelca uważałem za swego młodszego brata, a każdy z nich był mi bezgranicznie po bratersku oddany. Wszystko to przeważyło, więc bez dłuższego namysłu tak wielce kuszącą propozycję odrzuciłem.

— Nie da rady, panie majorze — odrzekłem. Wolę już pozostać w linji i przy okazji spłacić dług panom bolszewikom za ich gościnność.

Mówiono mi jeszcze, że jednak jestem nierozsądny i napewno będę kiedyś mocno tego żałował, lecz byłem niezachwiany w swej młodzieńczej czupurności i stanowczości.

Zaopatrzeni w prowiant i dokumenty czekaliśmy na sanie mające odwieźć nas do pułków. Moi towarzysze niewoli mieli odjechać do Bobrujska do 4-go

pułku ułanów Ja, ponieważ nieznane było miejsce postoju mego pułku w sztabie Litwinów, otrzymałem kartę podróży pod adresem dowództwa 8-ej dywizji piechoty w Głębokiem. Dokument ten, dziwnym trafem, mimo późniejszych przygód przechowałem do dnia dzisiejszego. Brzmi on następująco.

Dowództwo 1-szej Litewsko - Białoruskiej Dywizji Strzelców

Poczta polowa Nr. 23
Dnia 19 lutego 1920 r.

ZAŚWIADCZENIE

Sierżant Goliczewski Władysław wraca z niewoli i jedzie do miejsca postoju 8-ej Dywizji Piechoty.

Władza wojskowa i cywilna winna okazać mu pomoc i w razie potrzeby podróż ułatwić.

Ważne jako dokument podróży do dnia 21 lutego 1920 roku.

(tu pieczęć okrągła dywizji)

Z rozkazu
Guzowski
porucznik i pierwszy adjutant sztabu.

Ponieważ czułem już od szeregu dni, że jestem chory, więc przed wyjazdem z Dokszyc, udałem się do lekarza dywizyjnego. Kiedy rozebrałem się i ten obejrzał brudne, opuchłe, zsypane krostami i wrzodami ciało i odmrożone w rozpaczliwy sposób nogi, pokiwał głową i dziwił się wielce, że jeszcze chodzę i że mam niezgorszy humor. Pukał, stukał palcem w klatkę piersiową, przykładał jakiś długi instrument, wsłuchiwał się uważnie, kazał oddychać głęboko, mierzył gorączkę i klął pod nosem na moją lekkomyślność, a wreszcie orzekł, że chory jestem na zapalenie płuc i że w tej chwili odeśle mnie do szpitala. Sprzeciłem się, meldując posłusznie, że

muszę jechać i to niezwłocznie, ale na łono pułku i tam już napewno mnie wykurują.

Zdziwiony doktór mówił obrazowo o moim nierozsądku i skutkach mających z tego wyniknąć, radził wyjechać do szpitala, a nawet prosił, wreszcie widząc upór z mej strony, zaklął wcale nie po doktorsku. Dał mi maści do smarowania, proszków do łykania, kazał łapiduchowi wykąpać mnie w żydowskiej balji, zmienić bieliznę i na drogę polecił „okryć się ciepło". Na tem wizyta lekarska skończyła się.

Skoczyłem do przyjaciół. „Daliśmy se buzi", uściskaliśmy serdecznie i solennie zapewnili dozgonną przyjaźń. Jednak mimo tylu niecodziennych wspólnych przeżyć, nie skrobnęliśmy od tej pory do siebie ani słówka i nie spotkaliśmy się w dalszej tułaczce życiowej.

Prychają wesoło koniki biegnąc wyciągniętym kłusem do stacji Parafjanowo. Czekam tu godzinę na pociąg mający nadejść z Wilejki do Połocka i wypijam w międzyczasie butelkę koniaku z oficerem informacyjnym stacji, bardzo miłym podchorążakiem.

Nie kursowały w tym czasie i na tej linji żadne pulmany a tylko wlokły się zwykłe towarowe wozy ładowane prowiantem, amunicją i sprzętem potrzebnym na wojnie. Gdzieniegdzie doczepiano wagony wypchane po brzegi żołnierzami, a że to byli sami starzy wyjadacze wojenni, pragnący mieć dla siebie jak najwięcej miejsca do spania, więc jegomościowi nawpół cywilnie ubranemu jak ja odpowiadano groźnie, że wolnych miejsc niema. Zresztą tu są materjały wybuchowe i wstęp cywilom surowo zabroniony. Moje oświadczenie, że jestem sierżantem, że

wracam z niewoli i jadę do pułku, nie miały posłuchu. Wreszcie, kiedy pociąg już ruszał, klnąc gramolę się stanowczo do jednego z wagonów. Z pomocą przyszedł mi plutonowy z 33-go pułku, wracający z Wilna, który mnie poznał. Kiedy się branż kudłata przekonała wreszcie, że nie jestem „czubarykiem", otwarła mi wtedy swoje ramiona, oraz napełnione smakołykami tornistry i ofiarowała najcieplejszy kąt do spania.

Dowiedziawszy się od plutonowego o miejscu postoju pułku, postanawiam nie jechać już do dywizji, lecz wykręcić wprost do niego. Czułem, że moja choroba z godziny na godzinę zwiększa temperaturę.

Wysiedliśmy w Zahaciu, żeby dalej jechać saniami. Tu spotkałem strzelca Zawistowskiego z pierwszej kompanji. Przyjechał po prowiant. Na mój widok łzy radości zabłysły w jego oczach. Ucałowałem chłopca serdecznie a pożyczywszy kilka marek wychyliłem w bufecie moc szklanek herbaty.

Jeżeli jest tu prowiantura bataljonu musi być i jej dowódca — wywnioskowałem. Gonię na kwaterę Majewicza i zastaję tylko ordynansa Dardzińskiego, dawnego fryzjera mego plutonu.

— Pan chorąży pojechał po zakup siana — melduje mi uradowany Dardziński, — ale jak wróci to zamelduję, że był pan sierżant.

— Byczo chłopcze! I serwus! — niemam czasu! Włażę na sanie wypakowane prowiantem, okręcam się coś w dziesięć koców i zabieram się z Zawistowskim do kompanji. Pułk znajduje się w przemarszu na wypoczynek.

W drodze dopędza nas lekkiemi sankami Majewicz, zdala już drze się i kiwa czapką, żeby się za-

trzymać. Wpadamy w rozwarte ramiona i zatrzymujemy się w pierwszej wsi, żeby odgrzać konserwę, nagadać się i wypić koniaku za pomyślność mego powrotu.

Niebawem jedziemy już do bataljonu zostawiając poza sobą ślamazarnie jadącego Zawistowskiego. W Kubliczach u łazików załatwiających zakupy dowiaduję się o miejscu postoju bataljonu. Zachodzimy też do fotografa żeby uwiecznić na kliszy mnie w ubiorze jeńca ale fotografa nie zastaliśmy. Za Kubliczami w jakiejś wsi zajeżdżamy z brzękiem dzwonków przed sztab bataljonu. Majewicz radzi udawać „czubaryka" twierdząc, że jestem nie do poznania. Zgoda!

Wchodzimy do mieszkania. Kapitan Niedźwiecki, nawpół rozebrany, leżąc na łóżku dyktuje rozkaz adjutantowi podporucznikowi Tadeuszowi Stawickiemu, — Stecewicz był na urlopie. Majewicz wita się i mówi o tem i owem, zachowując powagę nakazaną obecnością przełożonego. Ja stoję przy drzwiach, miętoszę w garści czapę, przestępuję z nogi na nogę i chrząkam, żeby zwrócić uwagę Niedźwieckiego. Rzucił we mnie złem spojrzeniem i zapytuje po białorusku, czego sobie życzę? Proszę go tak samo po białorusku o przepustkę do Lepla i zerkam na Majewicza. Ta małpa dusi się od śmiechu i robi oko. Czuję że długo udawać się nie da, staję więc na baczność i melduję kim jestem. Następuje wybuch radości, serdeczne ściskanie i krzyki.

— Ordynans — jajecznica! — i za nim krótkie pytania rzucane chaotycznie.

— Co?! Jak?! Kiedy?! Gdzie?! Gadaj! — jak to zwykle bywa w takich razach. Wreszcie po zaspokojeniu pierwszej ciekawości, przy herbacie ciągną-

łem opowiadanie szczegółowiej. Później sam pytam.

— Co słychać w pułku?

Pułk tkwił od Nowego Roku w okopach, a teraz maszeruje na wypoczynek. W Kubliczach i okolicy zatrzymał się na nocleg. We wsi, gdzie stał sztab bataljonu, kwaterowały kompanje druga i trzecia. Moja pierwsza gościła w sąsiednim folwarku.

Kiedy wyraziłem chęć pojechania na noc do kompanji i poprosiłem o sanie, poradzono mi zaczekać. Ma być odprawa dowódców kompanij, na której będzie podporucznik Szymański więc zabierzemy się razem. Zgodziłem się lecz wyrwałem się z miłego towarzystwa do kwaterujących tu kompanij, żeby uściskać kolegów.

Wpadam do sierżanta Andruszkiewicza, szefa „trzeciaków". Zastaję kupę przyjaciół przy sutej kolacji, zakrapianej wódecznością. Sprawili mi kochani chłopcy niebywałą owację. Rzucaniu w górę, ściskaniu, wiwatowaniu i całowaniu się końca nie było. Od nadmiaru czułości aż poty biły na człowieka, zważywszy poprzednią hojną gościnność i do nieprzyzwoitości wypchany żołądek. Ha! trzeba było odjeść się za wszystkie głodne czasy.

Podczas tego rumoru i gwaru otwierają się hałaśliwie drzwi i z brzękiem ostróg i radosnym okrzykiem wpada podporucznik Szymański.

— Władek, żyjesz bracie?

— Żyję kochasiu, żyję! — Rozwierają się ramiona i czas dłuższy pozostajemy w mocnym, braterskim uścisku. — Tu łamię pióro, gdyż jest za słabe, żeby opisać wzruszenie jakie w tej szczęśliwej chwili doznałem. Ci którzy coś podobnego przeżyli, zrozumieją mnie, innym i opisywanie nie pomoże.

Po odprawie Szymański machnął się z wizytą do

folwarku Komarowszczyzna od czego wymówiłem się. Z Majewiczem, który zaofiarował się mnie odwieźć jedziemy do kompanji.

Już dobrze o zmroku, żeby skrócić drogę, walimy na przełaj. Brać kompanijna dowiedziawszy się od Zawistowskiego, że powróciłem, a wiedząc że na noc w bataljonie żadna siła ludzka mnie nie zatrzyma, nie poszła mimo zmęczenia dziennym marszem spać, tylko czekała cierpliwie na mój przyjazd. Na brzęk dzwonków, wylegli wszyscy przed dowództwo kompanji i nim zdążyłem wysunąć nogę z sani chwycił mnie Jędrek Łukaszewski z okrzykiem radości.

— Władek, cholero wściekła — wróciłeś?

— Jak widzisz bratku — odrzekłem — i wnet znalazłem się nad głowami, drogiej nad wszelkie drogości braci żołnierskiej. Wjechałem tak na barkach przyjaciół do mieszkania śpiącego już podchorążego Orłowskiego, gdzie „wysypano" mnie wprost na jego łóżko.

Znowu posypały się ze wszystkich stron bezładne pytania. Podsuwano mi co najsmaczniejsze kąski. Późno w nocy dano mi wreszcie spokój i pozwolono pójść spać, podkładając i przykrywając stosem koców.

Nazajutrz skoro dzionek zawitał postawiono kompanje na nogi i po śniadaniu pomaszerowano dalej. Już w nocy dano mi kompletny ekwipunek, a teraz owinięty w duży kożuch Szymańskiego, na chłopskich saniach wymoszczonych sianem, jechałem bezpieczny za kolumną wyciągniętą dwójkami i sunącą między głębokiemi zaspami śniegu.

Jadąc za ogonem szarego węża bataljonu, mimo gorączki która mnie trawiła, czułem się pewnie,

młodzieńczo i beztrosko. Z nadmiaru radości chciało się całować woźnicę — cywila, jego koniki leniwie ciągnące sanie, psa — włóczęgę biegnącego za dymiącą kuchnią, każde przydrożne drzewo i krzak oprószony śniegiem. Przebyta o głodzie i prawie nago trzystukilometrowa droga, pokonanie wprost nieludzkich trudów i fakt wylądowania w rodzinnym pułku, obecność sunących w przodzie niezawodnych przyjaciół, przyprawiała mnie wprost o utratę zmysłów. Chciało się płakać i śpiewać, wyć poprostu.

XVII. NA URLOPIE.

Dłuższy wypoczynek na który dążył pułk po śnieżnych rozłogach wyznaczono w okolicach Wielkich Dolców i tu zakwaterowało się dowództwo pułku. Bataljony natomiast rozlokowały się w sąsiednich wioskach wysuniętych bardziej na wschód. Tworzyliśmy tutaj coś w rodzaju drugiej linji obronnej, niebawem też przystąpiły kompanje do rycia w zmarzłej ziemi rowów strzeleckich. Mając zapewniony spokój przez pierwszą linję okopów, wysuniętych daleko na wschodzie, odpoczywaliśmv w cichych, ciasnych, ale za to ciepłych chatach.

Zaraz jak się tylko plutony rozgospodarowały na kwaterach, udałem się do podporucznika Szymańskiego po radę, co mam z sobą robić, ponieważ podobno jestem obłożnie chory.

— Umierający jeszcze nie jesteś, kochasiu — odrzekł. Do szpitala nie jedź, tam napewno zrobią z ciebie umrzyka. Będziesz leczył się przy kompanji, od tego mamy w pułku lekarzy.

I nie pojechałem. Następnego dnia zbadał mnie lekarz bataljonowy wezwany w tym celu telefonicznie, a trzeciego dnia naszego wypoczynku zjechał

sam naczelny lekarz pułku. Ostukali, obmacali i orzekli, że nie znajdują nic groźnego. Młody organizm przezwyciężył zapalenie płuc, a wszelkie opuchlizny, odmrożenia, wrzody i świerzb dadzą się prędko usunąć.

Cały tydzień przeleżałem na łóżku, pod opieką przyjaciół i „sanitetów" kompanijnych, okładany i smarowany maściami, a karmiony nieopisaną ilością wstrętnych proszków. Wykurowałem się wcześniej wbrew przewidywaniom lekarzy i od tego czasu w stosunku do ich fachowej wiedzy żywię w skrytości ducha pewną niewiarę.

Wybierałem się teraz na długi aż sześciotygodniowy urlop wypoczynkowy. Nim jednak wyjechałem ściągnął mnie oficer wywiadowczy pułku do siebie i przeprowadził, że tak powiem „śledztwo", a następnie z polecenia wyższej władzy przeprowadziłem w kompanjach kilka pogadanek o tem, jak to czuje się nasz wiarus w niewoli i co słychać w Sowdepji? Wreszcie któregoś dnia przywiózł mi Szymański dokumenty podróży i mogłem już doprawdy wyjechać, tylko... nie miałem jeszcze świadectwa naczelnego lekarza, że jestem odwszony i wolny od wszelkich chorób zakaźnych. Bez tego świstka wstęp wgłąb Polski był zabroniony, więc musiałem czekać. Czekać dwa dni! Po otrzymaniu zaświadczenia żegnany przez towarzyszy broni, udzielających napomnień, żebym broń mnie Panie Boże nie dał znęcić się do kadry, co byłoby z mej strony zdradą nie do przebaczenia, obładowany pakunkami jak juczny wielbłąd, walę na stację Ziabki.

Po drodze zabrałem listy z bataljonu, pozdrowienia do tych i owych, bliskich każdemu sercu osób oraz kilku kolegów jadących na krótsze urlopy.

W drodze do stacji, jadąc dla skrócenia szlaku polnemi, bocznemi ścieżynami — a była w tym czasie odwilż w całej pełni — pod miasteczkiem Kublicze, przejeżdżając po lodzie rzeczółki, zarwały się pod nami sanie. Było to nocą. Znaleźliśmy się z całym bagażem pakunków, listów i pozdrowień pod lodem. Chwila niemiła i zimna... lecz dzięki pomocy kolegów, którzy byli bardziej przewidujący i zeszli z sani dało się uratować od zatonięcia posłańców i ich pakunki. Dla wysuszenia wszystkiego trzeba było zanocować w pierwszej napotkanej chałupie.

Nazajutrz jadąc przez okolice gdzie kwaterowaliśmy w grudniu, trzeba było złożyć wizyty znajomym. W miłym dworku Kublicze odwiedziliśmy Majewicza. Na starych naszych śmieciach założył prowianturę bataljonową, potem odwiedziliśmy czarnooką Marusię w czworakach, a kopnąwszy się do miasta, przywitałem się ze znajomemi cywilami, którzy napoili mnie herbatą i samogoną. Z Kublicz już bez zatrzymania się jechałem do stacji.

Na stacji wpadamy w objęcia kupy znajomych i kolegów jadących korzystać z rozkoszy urlopowych. Między nimi spotykam lubianego przez cały „regiment" porucznika Gwidona Bursę oraz dobrych przyjaciół, sierżantów Mocarskiego i Ambroziaka. Porucznik Bursa, obejmuje nad nami komendę, radzi trzymać się kupy. Wytwarza się boski nastrój. Rozbawieni jak dzieci jedziemy dalej.

W Mołodecznie jest dłuższy przymusowy postój z czekaniem na „mający za chwilę nadejść pociąg". Rżniemy wobec tego do restauracji i raczymy się tem, co dobry Bóg dał, a gościnny gospodarz postawił na stole.

„Za chwilę" — osiem godzin — zajechał pociąg i wesoło jechaliśmy do Wilna. Tu trochę dłuższy

postój. Idziemy więc zwiedzić osobliwości wileńskie o których się tyle naczytało, nasłuchało, a nie znało. Nasyciwszy wreszcie ducha i nakarmiwszy ciało wróciliśmy na stację, żeby stoczyć batalję o wolne miejsce w pociągu.

Ścisk jak na wielkim odpuście. Pociąg podobno przepełniony i żandarmerja nie chce wpuścić na peron. Czekać 24-ry godziny na pociąg następny nie mamy najmniejszej chęci, zresztą Bóg raczy wiedzieć czy i do niego dopchamy się. Więc bierze nas Bursa pod swoje opiekuńcze skrzydła i oficerskiem wyjściem wprowadza na peron. Lokomotywa sapiąc ciężko rusza już, niema czasu na szukanie wolnych miejsc. Dekujemy się więc do najbliższego przedziału drugiej klasy. Jedziemy na tornistrach, wszystkie miejsca są zajęte.

Piekielne utrapienie miałem z gratami. Wiozłem ich bowiem co niemiara, a największą już szkołę dała mi wypchana walizka ś. p. podporucznika Rozwadowskiego, którą miałem zwrócić jego matce, mieszkającej w Grajewie. Co za przykra misja, kiedy musiałem sympatycznej staruszce opowiadać szczegóły śmierci jej ukochanego syna...

W Białymstoku rozjechaliśmy się w różnych kierunkach. Ja goniłem na północ do Grajewa, gdzie się urodziłem i skąd wyleciałem na wojnę. Scena witania się z rodzicami i rodzeństwem nie do opisania, biorąc pod uwagę, że matka moja miała dwóch starszych synów i obaj poszli na wojnę. Starszy ułan został podziurawiony kulami na rzeszoto pod Nowogrodem Wołyńskim i dogorywał gdzieś w dalekim szpitalu rawskim. Ja, młodszy, bawiąc się piechotką dostałem się do niewoli, a usłużny przyjaciel, zaoczny świadek homelskiej tragedji, zawiadomił matkę, że jakoby widział, iż „Władka zaraz w lesie w tej niewoli

bolszewicy rozstrzelali". Zmartwień jak na jedną starą głowę kochanego matczyska chyba aż nadto? Więc nic dziwnego, że kiedy ten młodszy uciekł z tej niewoli i słał list za listem, pisząc że jest zdrów i cały, i że wnet przyjedzie na urlop, matka czytając listy załzawionemi oczyma, twierdziła wciąż stanowczo, że to ktoś dla uspokojenia jej cierpień, charakter pisma Władka podrobił. A teraz zobaczyła go naprawdę przy życiu, opalonego wiatrami, zmężniałego i śmiejącego się od ucha do ucha beztrosko. Radości nie było końca. A co powiemy, jeżeli za kilka dni, przyjechał na urlop zdrowotny ten drugi, starszy Janek — ułan, podpierając się na groźnym pałaszu? Szczęście rodzicielskie było u szczytu.

I tak w weselu, wśród grona rodziny, spędziło się kilka spokojnych tygodni, zdala od bolszewika i jego armat. Nadszedł dzień Wielkiej Nocy, dzieliło się święconem jajem, opowiadało się przebyte przygody, wspominało się przyjaciół pozostałych tam gdzieś daleko w okopach i snuło się nić wspomnień o tych, co już spoczęli w mogiłach.

Po świętach dla przewietrzenia się pojechałem do Łomży odwiedzić kolegów w bataljonie zapasowym pułku. Tu, ci towarzysze broni wiedzieli o wojnie tyle tylko, że przysyłano im ze szpitali ozdrowieńców, oni zaś wzamian zasilali nas z kadry marszówkami źle wyszkolonego rekruta. Tyłowcy, unikający frontu jak zarazy, kpili poprostu z warjatów bijących się o Polskę, gdzieś na wschodzie. Zwinąłem wkrótce namioty, splunąłem z nienawiścią i z gorzkim smutkiem w duszy kopnąłem się do stolicy uściskać kilku serdecznych przyjaciół, z którymi poprzednio siedziało się w wilgotnym okopie. Lecz i tu niestety spotkałem ten sam obrazek. Nadomiar przykrości z jakimi spotykałem się na każdym kroku, jako fron-

towiec, będąc w gronie „przyzwoitych" osób, jedno bydlę ludzkie, żerujące spokojnie na naszej krwi i trudach miało czelność wyrazić się wobec mnie że „Pan Piłsudski mógłby tę wojnę już skończyć, bo..." — i nie dokończył zdania, krew mi mózg zalała i rąbnąłem kilka słów żołnierskiej prawdy, co wywołało wielkie niezadowolenie wśród obecnych. Wobec takiego faktu nie miałem już tu co robić, gdyż zachowanie się moje znamionowało „złe wychowanie". Przeprosiwszy więc gospodarzy domu za „burdę" pożegnałem przyjaciół i nie czekając końca urlopu czmychnąłem na front. O Warszawo, jakże inni ludzie byli w twoich murach, gdy w kilka miesięcy później wróg kołatał do twoich bram w łoskocie armat!

XVIII. POWRÓT DO OKOPÓW.

W powrotnej drodze do okopów, skręciłem jeszcze do Grajewa, pożegnać rodzinę. Pobłogosławiony na dalsze koleje tułaczki wojennej, z wypchanym tornistrem, pierwszym pociągiem machnąłem do Wilna, skąd już wolniuśkim truchcikiem jechałem przez Mołodeczno na Połock. W Farynowie dowiedziałem się od żołnierzy jadących na urlop, że pułk stoi w okolicach miasteczka Woroniecza. Z plutonowym Szeligowskim udaliśmy się niezwłocznie w tym kierunku na piechotkę, postanawiając kilkudziesięciokilometrową przestrzeń odwalić jeszcze w tym samym dniu. W folwarku Chotcewicze zastaliśmy dowództwo pułku, a w dalekim Mieżnie nasz bataljon.

Po załatwieniu formalności obowiązujących żołnierzy powracających z urlopu, z rozradowaniem w duszy, zapomniawszy całkiem już o przykrościach tyłowych, gonię do kompanji, którą zastaję naprawdę w okopach. W czasie mej nieobecności zaszły w niej

małe zmiany. Plutonem pierwszym dowodził przydzielony z 2-ej kompanji starszy sierżant Gabrysiak, drugi miał jak poprzednio Łukaszewski, w trzecim zastępował mnie plutonowy Koncewicz. Z oficerów, prócz podporuczników Szymańskiego i Orłowskiego, przydzielono nam jeszcze podporucznika Tadeusza Stawickiego po zdaniu adjutantury bataljonowej, przybyłemu z urlopu podporucznikowi Stecewiczowi.

Kompanja siedziała od kilku dni w okopach zimowych i zajmowała pozycje przy ujściu rzeki Turowlanki do Dźwiny. Wciśnięty w sam klin wsi Horodyszcze okopany był z plutonem pierwszym Gabrysiak. Część Horodyszcza, znajdującą się po prawej stronie Turowlanki, została przez nas umyślnie spalona i zrównana z ziemią w celu uzyskania lepszego pola ostrzału. Część po stronie lewej — naszej — została jako osłona dla strzelców kwaterujących w okopach. Tuż za wsią ciągnęły się po bagnach duże lasy. W lewo była łączność z 36 pułkiem. Wprawo wzdłuż brzegu Turowlanki na skraju lasu, aż do przyczółka mostowego na drodze Kisiele — Turowla włącznie, w głębokich rowach tkwił pluton Łukaszewskiego. Od przyczółka mostowego dalej w prawo, poprzez spalony folwark Turowla, aż do Pukanówki wyłącznie, zagrzebany w piasek siedział mój pluton trzeci. W Pukanówce mieliśmy łączność z „trzeciakami". W prawo od „trzeciaków" wzdłuż dużych jezior Turowla, Suja, Homel, zajmowała pozycję reszta pułku. Jako obwód pierwszej kompanji, stał jeden pluton 36 pułku przy dowództwie kompanji w pobliskiej Turowli.

Tę pozycję, zorganizowano w reduty z braku materjału słabo odrutowane. Poważniejszą przeszkodę naturalną miała nam dać wąziutka, leniwie płynąca w swym korycie i płytka rzeczka Turowlanka. Głów-

niejsze reduty połączono z dowódcą kompanji telefonem.

Pozycja, jak na owe czasy była niezła, jedyną jej wadą w obronie było małe pole widzenia i ostrzału z tej racji, że bezpośrednio za Turowlanką zaczynały się podszyte lasy. Przeciwnik mógł niepostrzeżenie podejść blizko pod nasze okopy. Dla uniknięcia tej nieprzyjemności ścinaliśmy drzewa i krzaki, układając je w esy — floresy, jako prowizoryczne przeszkody. Dniem i nocą bez przerwy krążyły na przedpolu patrole, napadając nierzadko na placówki bolszewików.

Oprócz bezustannej pracy przy wzmacnianiu nikłych fortyfikacyj okopowych mieliśmy moc zmartwień wyrządzanych przez naturę. W tym to roku zbyt wczesna wiosna psuła nam okopy roztopami zalewając po brzegi. Brodziliśmy po pas w wodzie, kopiąc rowy odpływowe i wzmacniając walące się ściany wikliną, a z zalanych schronów wynosiliśmy wodę menażkami. Klęło się przytem i żartowało. Wkrótce ciepłe wiatry osuszyły ziemię i zazieleniły ją. Wyległa tedy wiara skrytemi przed okiem bolszewika rowami dobiegowemi na małą polanę, tuż poza okopy i dalejże rozkoszować się w słońcu. Nawet w nocy woleliśmy spać w szałasach i altanach z brzózek sklekonych, niż w mokrych schronach. Schrony podziemne służyły teraz na magazyny zapasowej amunicji. Wsiąkaliśmy w nie w gorących chwilach ognia artyleryjskiego.

Dobrze ubezpieczeni placówkami i patrolami oraz z racji oddalenia pozycji moskiewskiej mogliśmy pozwalać sobie na wygrzewanie się w ciepłych promieniach słońca. Bolszewicy, nie mając odpowiedniego terenu w pobliżu nas, umocnili się aż za Dźwiną, mając jedynie na przedpolu w Antunowie,

Hłyboczce i Paulach wysunięte silniejsze oddziały piechoty, jakby pierwszą prowizoryczną linję obronną. Artylerja ich dość często macała nasze reduty ale milkła niebawem otrzymując rewanż od 8-go „papu".

Wielkie utrapienie na swoim odcinku miał tylko Gabrysiak w Horodyszczu. Opierając się lewem skrzydłem plutonu o brzeg Dźwiny, gdzie po drugiej stronie bieliły się okopy bolszewickie, był bezustanku niepokojony salwami broni ręcznej lub serjami karabinów maszynowych. I tak na odwertkę bolszewicy Gabrysiaka, a Gabryś bolszewików zmuszał do ciągłego siedzenia w rowach strzeleckich. Był to odcinek pozycji, bardzo niespokojny. Dowożenie żywności uskuteczniało się wyłącznie nocami. W dzień niebezpiecznie było wytykać nosy poza okop. To też z nadejściem wiosny i gorących dni, Gabrysiaka aż cholera brała, że nie może korzystać jak sąsiedzi z wiosennego słońca, postanowił tedy w niezachwianej swej poznańskiej stanowczości zrobić zawieszenie broni. Porozumiawszy się poprzednio z podporucznikiem Szymańskim, za pomocą białych chorągiewek poprosił dowódcę bolszewików na tym „bardzo niespokojnym" odcinku do gadania. Stojąc na swych okopach, przedzieleni szerokością Dźwiny, umówili się o warunki. Gabrysiak, nieznając języka swego przeciwnika, posługiwał się tłumaczem. Była to dość wczesna godzina i dzień pogodny, więc chociaż Dźwina w tem miejscu jest szeroka, jednak wymawiane zdania wyraźnie słychać było i „zawieszenie broni" dzięki niewygórowanym warunkom stron, doszło wnet do skutku.

Warunki były następujące. Nie wolno strzelać do siebie w chwilach wygrzewania się na słońcu.

Wolno łowić ryby. Kuchnie i wozy mogą podjeżdżać do samych okopów w dzień. Można się ką-

pać w rzece. Wolno jeździć czółnem, ale tylko przy swoim brzegu. Wolno składać sobie wizyty. Wizytujący musi być jednak bez broni, do towarzystwa może brać jednego żołnierza i w czasie wizyty nie wolno mu mówić nic o wojnie i wojsku. „Zawieszenie broni" nieobowiązuje od godziny 20-tej do 4-ej.

Teraz i pluton Gabrysiaka zaczął prowadzić sielankowy tryb życia. Zawarte w umowie punkty były skwapliwie i z całą ścisłością przestrzegane. Towarzyscy Moskale poprostu zanudzali Gabrysiaka wizytami. Wobec tak wysokich stosunków przyjacielskich, brał Gabrysiak tłumacza do czółna, wpychał w zęby wiecznie dymiącą fajkę i rewizytował „miłych sąsiadów". W czasie wizyt raczono się mlekiem zsiadłem, słodkiem, a nawet ciepłem wprost od krówki i czarnym chlebem. Gabryś znów opychał moskiewskich przedstawicieli wiktem iście burżuazyjnym, jak czarną kawą, jajecznicą, amerykańską słoniną, a kiedy się los łaskawiej uśmiechnął, to na gościnny stół zawitała, zwędzona kura, kaczka lub gęś.

I tak czas schodził w spokoju i bratniej zgodzie i trwałoby to Bóg wie jak długo, gdyby sąsiedzi z za Dźwiny, sposobem partackich prowokatorów, nie usiłowali zawieszenia broni wykorzystać dla swoich brzydkich celów. Rzecz miała się następująco. Pewnego pięknego poranka bolszewicy, przyjechawszy z wizytą, nieomieszkali wziąć ze sobą pełen wór odezw. Wzywano w nich wojsko do rzucania broni i odmawiania posłuszeństwa przełożonym, ludność cywilną podjudzano, żeby paliła nasze magazyny, psuła tory kolejowe, napadała na sztaby, urządzała powstania na tyłach naszych pozycyj i t. p. brednie. Wór odezw przyjęliśmy. Gabrysiak, nic z tego co było napisane, nie rozumiejąc, wydał nawet urzędowe

pokwitowanie, a nie wiedząc co dalej robić z tym fantem (część drukowana na miękkim papierze nadającym się do... pewnego użytku, przybito w latrynach okopowych), resztę odesłał do dowódcy kompanji. Szymański odesłał te szpargały ze swemi uwagami do dowództwa. Zrobił się z tego tytułu wielki rejwach, zjechała się kupa sztabowczyków, zepsuła Gabrysiakowi zabawę i zawieszenie broni. Bez uprzedzenia drugiej strony zerwano je długą serją z karabinu maszynowego, oddaną do Bogu ducha winnych i spokojnie kąpiących się w Dźwinie bolszewików. Od tego czasu rozpoczęły się dla chłopców Gabrysiaka dnie prawdziwej udręki. Rżnięto do siebie z karabinów maszynowych i ręcznych od rana do nocy. Prócz tego, Szymańskiego przezwano komisarzem, a nas kompanją bolszewików. Tę gorzką i niezasłużoną pigułkę przełknęliśmy ze spokojem, czekając okazji, żeby się z zarzutów zrehabilitować.

Swoją drogą, stwierdzić to muszę ze smutkiem, że wśród nas znalazła się jednak świnia, na której duszę podziałały odezwy skutecznie i zdradzając swych braci zdezertował do bolszewików. Był nim, niech po wieki będzie wyklęty, zawsze ponury plutonowy Koncewicz. Wróciło bydlę po wojnie, przemalowane całkiem na kolor czerwony. Wyciągnęliśmy go, ukrywającego się w tłumie jeńców powracających już do Wolnej Polski i oddaliśmy pod sąd. Dostał za to dziesięć lat ciężkiego więzienia, a jak głosi plotka mieli go później bolszewicy wymienić i przyjąć pod swe opiekuńcze skrzydła.

Z chwilą dezercji Koncewicza, tej samej nocy, przesunięto nasze plutony. Gabrysiak z pierwszym wycofał się do odwodu, a jego „bardzo niespokojny" odcinek zajął Łukaszewski. Mój pluton przeszedł w

lewo. Część obsadziła redutę „Łomżę" na przyczółku mostowym Kisiele — Turowla, a część odrutowała się w reducie Nr. 4 na zgliszczach spalonego folwarku Turowla na prawym brzegu Turowlanki. Małą redutę Nr. 5 utrzymującą łączność między „trzeciakami" i naszą kompańją, obsadzała składana sekcja ze wszystkich plutonów. Redutą Nr. 4 dowodził podporucznik Stawicki, ja znajdowałem się w reducie „Łomża".

W tym czasie otrzymaliśmy uzupełnienie rekrutów. Młody to był żołnierz, kiepsko wyszkolony i przerażony frontem. Trzeba go było przygotować do niespodzianek wojennych i wyrobić na prawdziwego i „groźnego" wiarusa. W tym celu po kilka godzin dziennie, ubezpieczając małemi oddziałami pozycję, urządzaliśmy na jej tyłach pod osłoną lasów ćwiczenia oraz strzelania szkolne i bojowe. Walili rekruci do różnych figur ze swych ciężkich Berthierów. Potem zmieszano młode bractwo ze starą wiarą, wyznaczono każdemu opiekuna, żeby ten na każdym kroku pouczał „rekruckie ucho" o różnych drobiazgach okopowych.

My dowódcy plutonów, co drugi dzień schodziliśmy się do dowódcy kompanji na odprawę, dla złożenia ustnych raportów z czynności dziennych i nocnych plutonów. Potem omawialiśmy patrolowanie, obronę w razie natarcia i t. p. potrzeby i bolączki pozycyjne. Po odprawie robił szef kompanji, sierżant Grabowski przyjęcie, na którym w towarzystwie ponętnych cór tutejszego popa, spędzaliśmy kilka miłych godzin.

Czas schodził. Człowiek ćwiczył młode wojsko, chadzał z nim na patrole, pracował przy umacnianiu pozycji, wygrzewał się w słońcu, dobrze jadł, ba! robił nawet grymasy przy wyborze potraw. Na przy-

jęciach u Grabowskiego śpiewał, flirtował z córkami popa, pisywał listy do chrzestnych mam. W nocy kontrolowałem czujki, słuchałem kumkania żab i trelu słowików, których w gąszczach nadbrzeżnych gnieździła się moc wielka. I gdyby nie artylerja bolszewików, opukująca nasze odleżałe boki, to by nie miało się nawet wrażenia, że jest się na wojnie.

Nadchodził jednak koniec wywczasom. Miały się wojska ruszyć z zimowych leży i miały się rozpocząć znowu dni bitew, marszów i głodu.

Przez patrole, jeńców i inne środki zwiadowcze, dochodziły nas słuchy, że bolszewicy zgrupowawszy moc wojska, szykują się do ofenzywy i że ma się ona rozpocząć lada dzień. Dla dodania sobie fasonu i okazania bolszewikom, że czujemy się pewnie, urządził nasz pułk z 7 na 8-go maja wypad. Prowadził go kapitan Mińkowski. Wypad udał się pudobno, lecz mieliśmy straty w ludziach i dwu rannych oficerów: podporucznika Stanisława Latoura i podporucznika Jana Komarnickiego, który nawet z powodu tej rany jest obecnie inwalidą. Nasza kompanja brała w tym wypadzie udział jedynie odwodowym plutonem, który wraz z dwoma ciężkiemi karabinami maszynowemi — ubezpieczał grupę wypadową z lewego skrzydła. Dowodził nim podporucznik Stawicki. Po zbyt wczesnym powrocie Stawickiego wysłany zostałem z trzema sekcjami do wsi Antunowa z rozkazem obsadzenia jej i nawiązania łączności z grupą wypadową. W marszu do Antunowa, zaraz w pierwszej napotkanej Olszanicy, zahaczyliśmy bez oddania jednego strzału, patrol bolszewicki w sile dziesięciu ludzi, a w Kisielach pochwyciliśmy konnego gońca z meldunkiem, drugi uciekł. Nie dochodząc do Antunowa, gdzie już była kupa bolszewików, dopędził nas konno starszy strze-

lec Długołęcki z rozkazem podporucznika Szymańskiego, żeby natychmiast wracać, gdyż wypad się już skończył i grupa kapitana Mińkowskiego wycofała się. Już walili bolszewicy z maszynek, kiedy rozpoczęliśmy marsz odwrotowy, a piechota ich sypała się ze wsi do napędzenia nam „kota". Odgryzał się im Fabjański z jedną sekcją i niebawem truchcikiem dołączył do plutonu.

To był początek muzyki, która miała zagrzmieć w dniu 14 maja.

XIX. DRUGIE LANIE.

13-go maja o godzinie 20-tej, otrzymuje reduta „Łomża" i jej sąsiadki wiadomość telefonem, że w nocy lub dnia następnego rankiem bolszewicy będą nacierać na całym odcinku bataljonu.

— Potroić czujność i przygotować się do stanowczej obrony. Bić się do ostatniego naboju i trzymać się do ostatniego żołnierza. W razie przewagi przeciwnika pomoc odwodu i artylerji zapewniona. W razie przegranej na odcinku innego oddziału, cofać się tylko na mój rozkaz — brzmiał głos podporucznika Szymańskiego w mikrofonie.

O zmroku możliwie cicho przechodzi przez redutę „Łomżę" pluton Gabrysiaka i znika w cieniu pobliskiego lasu.

Poszli! — Tak szli zresztą każdej nocy, żeby w Olszanicy, Kisielach lub Budziszczach zapaść w zasadzce na patrole rosyjskie. Dziś wbrew ustalonym zasadom (powracali o świcie i nierzadko ze zdobyczą) wrócili wcześniej. Już o godzinie 24-ej silne i gęsto rozlazłe patrole bolszewickie spędziły ich z przedpola. To niezwykłe zawadjackie zachowanie się przeciwnika, rzadko wytykającego nos poza swoje okopy, przekonało nas, że jednak „coś będzie".

Coś, co może zamieni dni gnicia w okopach w pełną ciekawych przygód walkę ruchową.

Chcąc czuć się pewniej w okopach, gdy Moskale natrą w przewadze, po zastosowaniu wszelkich środków ostrożności, postanowiliśmy jeszcze pozbyć się mostu na Turowlance. Zadzwoniłem do dowódcy kompanji z prośbą o przysłanie saperów z materjałem wybuchowym, żeby bez straty czasu i większego wysiłku fizycznego, pomogli nam ten most wysadzić. Wkrótce przybyło czterech takich inżynierów z dwoma kilofami i rozkazem, żebym „postarał się" o łomy, topory i podobne im narzędzia pionierskie w sąsiednim Horodyszczu i siłami własnego plutonu most rozebrał.

Trudno, mówi się. Potrzeba jest matką wynalazków. Ktoś zaklął, ktoś pogonił do Horodyszcza i Turowli w celu postarania się o te łomy i topory.

Ciepła majowa noc. Dokoła miłosny rechot żab i niemilknące trele słowików. Gdzieś w oddali w pewnych odstępach czasu padały głuche strzały z karabinu. Zwykła gawęda życia okopów. Przy tych odgłosach życia, spoceni chłopcy tną mocno zbite, grube deski mostu i odnoszą je na tyły reduty.

14-go maja godzina 4-ta. Jak osy bzyknęły nad nami pierwsze pociski bojowych patroli przeciwnika. Przerywamy robotę i wsiąkamy w wąskie a głębokie rowy strzeleckie. Za nami po nagich polach do połowy rozebranego mostu chyłkiem wycofują się czujki i podsłuchy. Każdy biegnie na swoje stanowisko i pilnie wpatruje się w skraj lasu, skąd lecą wygarnięte z niewidzialnych luf pociski. Zmachani całonocną pracą, wciśnięci w zagłębieniach rowów z kolbami przy rozpalonych twarzach, z palcami na spustach, przyczajeni czekamy na ukazanie się celów. Front przebudził się z zimowego letargu, żeby

nieprędko usnąć. W prawo od nas na pozycji trzeciego bataljonu, słychać silny ogień artylerji. Godzina 6-ta. Z prawej i lewej strony reduty „Łomża" rozpoczęła się ostra palba karabinowa. U nas narazie spokój mimo, że wkopani jesteśmy w główny szeroki, piaszczysty trakt połocki. Z tego tytułu robią chłopcy różne złośliwe i dowcipne uwagi, czem dodatnio wpływają na humor niepewnie czujących się rekrutów. Wnet z lasu, po jednym to po dwu, skokami od zasłony do zasłony, posuwają się czerwoni strzelcy. Mieliśmy ich, jak na dłoni, odległych o czterysta metrów. Rekruci zaczęli się denerwować. Starzy pokiwali sobie krytykując złe wykorzystanie osłon terenowych przez przeciwnika. Bolszewicy czując nasze bierne zachowanie się, nabierali śmiałości i zagłębieniami terenu w długich przebiegach pchają się do brzegu rzeki. Pada półgłosem wydany rozkaz do otwarcia ognia. Gruchnęły karabiny, aż się zakotłowało. Wiara mając tak dobry i bliski cel znosi prawie każdym celnym pociskiem jednego czerwonego. Wtem zdumiony okrzyk.

— Lis! lis! lis! Wal do lisa! — i dwadzieścia kilka karabinów przenosi wyloty mordercze luf na biedne wystraszone i wypłoszone z nory zwierzątko, które mając przed nosem wodę, a za ogonem ludzi, przebiega niepewnie w prawo i lewo, wreszcie czmycha w pobliżu zarośla.

— Uciekł cholera! — Odzywa się zawiedziony głos starszego strzelca Borowskiego. Ogień przenosi się znowu na biegnących do rzeki ludzi.

Wśród ogłuszającego trzasku karabinów, dochodzą nas słowa wydawanych rozkazów i nawoływań czerwonych dowódców oraz jęki skrzywdzonych przez nasze kule bolszewików.

Naraz poprzez huk strzałów wyrywa się z lasu

głośne dzikie „ura!" — i z zarośli wyskakuje masa burych figur w długich chałatach, zimowych czapach z rozdziawioną okrzykiem gębą i w nieprzytomnym pędzie goni do rzeki, kierując się na most. Tu wita ich długa serja karabinu maszynowego, szczelnie ukrytego w zieleni krzaków u podnoża wzniesienia. Skutek piorunujący. Załamany szturm rozwiał się po krzakach jałowca, skąd grzmi po nas gradem pocisków. Niebawem nowa fala burych szyneli w gęstej tyraljerze wybiega z lasu i w warjackim tempie prze do rzeki, żeby wzmocnić przykucniętych w załamaniach terenu swych pierwszych towarzyszy. Zachodzi obawa czy tej masie nie przyjdzie chętka rzucić się wpław przez wąską Turowlankę. Wystrzelać w dwadzieścia parę karabinów tego mrowia niepodobna. Bez straty czasu i dłuższego namysłu jednym susem znajduję się w blindażu przy telefonie i proszę Szymańskiego o wsparcie artyleryjskie. Zrobione! Wali cała baterja lecz za blisko. Wyrzucone według mapy na ślepo pociski, padają w rzekę wznosząc fontanny wody na kilka metrów w górę. Staram się jak mogę telefonicznie pokierować ogniem artylerji. Nie znając się na rozkazach i kątach artylerzystów robię to tak po piechursku: — sto metrów wprzód, w prawo, lewo.. Fabjański informuje mnie o skuteczności pocisków i to pomaga. Ale niezmiernie żałuję, że niema w pobliżu obserwatora artyleryjskiego, poszłoby stokroć lepiej. I tak idzie nieźle. Już po kilkunastu celnych wybuchach w pojedynkę, to po dwu czmychają bure szynelki w odwrotnych skokach do lasu. Wkrótce i artylerja przenosi swój morderczy ogień na skraj lasu żeby niebawem rzucić go przed redutę Nr. 4, celem wsparcia przeciwuderzenia podporucznika Stawickiego. U nas nastąpiła mała przerwa ogniowa. Cele zniknęły, za-

szyły się w zielony gąszcz dla nabrania rozpędu do dalszych szturmów. Tylko od czasu do czasu zdala, gdzieś z boku, z ciemnych zarośli plunie w nasyp wiązka strzałów, rzucona z maszynek bolszewików.

Bitwa poczyna nabierać urozmaicenia. Gdzieś z za lasu zaczyna macać nas artylerja. Pierwsze jej pociski padają niepewnie daleko poza nami, to w bok, wreszcie co raz to bliżej, zygzakowato w przeskokach macają nasz nikły okop. Kryją się żołnierze w rogach załamań rowu, a tylko obserwator wyścibił nos ponad popiersie, żeby na czas uwiadomić o idącym szturmie czerwonej piechoty.

Korzystając z chwili wytchnienia, zaciągamy telefonem wiadomości o sytuacji na odcinku sąsiadów. W reducie Nr. 4, podporucznik Stawicki z chłopcami trzymają się dzielnie i przeciwuderzeniem sparaliżowali szturm pchającego się na okopy przeciwnika. W Horodyszczu Jędrek Łukaszewski ma kilku rannych i zabitych. Sam jest ciężko ranny w udo. Stanowisko jego zajął sierżant Gabrysiak. Tu bolszewicy podobno próbowali już głębokości Turowlanki, lecz zostali przepędzeni, zostawiając na przedpolu moc zabitych, rannych i karabin maszynowy. Wyprawę po niego szykuje plutonowy Staszek Kieroń, przybyły w tym dniu ze szpitala, po wykurowaniu lepelskiej rany. Na odcinku „trzeciaków" jest podobno bardzo gorąco, ale trzymają się. W sąsiednim 36 pułku zupełny spokój. Pomyślne wiadomości dodają nam odwagi i każą ufać w słabe nasze siły.

Ogień artylerji bolszewickiej nabiera życia. Wśród rwących się granatów dział polowych daje się odróżnić charakterystyczny tępy gruchot pocisków ciężkich armat. Ziemia dookoła redut poorana jest raz przy razie ciemnemi oczodołami lejów. Strat w ludziach jeszcze nie mamy, a humor niezgorszy. Zwła-

szcza w momencie, kiedy kula karabinowa zerwała Fabjańskiemu czapkę, zawadjacko przekręconą „na bakier", wybuchnął młody śmiech.

I znowu bolszewicy próbują szczęścia w natarciu, wspierani ogniem artylerji i broni maszynowej. Znowu przemykają się skuleni między krzakami, żeby zerwać się chmurą do szturmu. I znowu ukryty Hotschkis pluje pociskami, serja po serji. Wtem rypnął granat z ciężkiego działa tuż pod gniazdo, jedynej naszej maszynki, wyrzucając pioropusz ziemi, dymu i kurzu i zasypując obsługę. Hotschkisem grzmotnął o ścianę okopu, przerzucającm go wspaniałym kozłem przez głowę celowniczego. Widok piękny, ale moment nie. Pozbawieni takiej siły ogniowej, możemy nie dać skutecznego odparcia ręcznemi karabinami. To też żwawo zabieramy się do „naprawienia sytuacji". Na rozkaz: „szybciej strzelać!" *)— chłopcy strzały dwoją, troją, żeby za siebie i leżącą bezczynnie w rowie maszynkę odrobić czas. Fabjański pomaga ogłupiałej z wrażenia obsłudze wygrzebać się z ziemi, ja z Wróblewskim ustawiam zapiaszczoną maszynkę w świeżo wyrwanym leju. Odzywa się znowu wesołe tra-ta-ta-ta!... Obsługa maszynki brudna, jak samo nieszczęście, po tej przygodzie straciła trochę na minie, ale zajmuje miejsca przy swej niezawodnej broni i Hotschkis zbiera dalej obfite krwawe żniwo. Niesie nam pomoc nasza baterja i zmusza bolszewików do rejterady.

Cel znowu zniknął. Czerwoni wsiąkli w las. Drugi szturm odparty. Znowu moment spokoju. Lecz tylko moment. Tyle, że zdołaliśmy zapalić papiero-

*) Dzisiaj takiego rozkazu nikt nie wydaje „szybciej strzelać" jest to strzelać niecelnie, a więc gorzej.

sa i pobieżnie poprawić trochę szarpnięte zębem walki stanowiska, jak dla maszynek, tak dla strzelców oraz wysłać gońców po amunicję dla karabinu maszynowego, kiedy rąbnęła na nasz okop ulewa granatów artyleryjskich. Widać dranie chcieli wreszcie skończyć zabawę z naszą małą redutą, która im tyle krwi napsuła. Zrobiło się piekło. Huk, kurz, dym, piach, żelazo, wali się to wszystko na słabą głowę człowieka. Zdaje się, że nastąpił koniec świata. Ciemna ściana dymu przesłania nam pole widzenia, a ogłuchłe trzaskaniem uszy i zasypane piaskiem oczy odmawiają posłuszeństwa. Granat po granacie zasypuje okop, rozszarpuje trawersy, bryłami ziemi obrzuca nas wtulonych pod pionową kruchą ścianę rowu. Nie, psiakrew, takiego wesela na froncie bolszewickim jeszcze nie mieliśmy! Taki huragan żelaza spotyka nas pierwszy raz. Wiemy, że za lawą żelaza pójdzie żywa fala ludzi, żeby dokończyć artyleryjskiego dzieła. To też dzwonię — dziw że jeszcze nie przerwały pociski pajęczej linji telefonu — do Grabowskiego, żeby jak najprzędzej przesłał mi amunicję do Hotschkisa. Owszem wysłana już jest podobno od pół godziny, ale zatrzymał ją gdzieś w drodze ogień. Ciągną do schronu towarzysze broni kontuzjowanego strzelca Wykowskiego. Pierwsza ofiara kilkugodzinnej bitwy.

W powrotnej drodze ze schronu miałem niecodzienną przygodę, gdy chyłkiem przebiegałem rowem dobiegowym miejsce, gdzie stykał się on z rowem strzeleckim, gruchnął granat w róg załomu, a ziemia przywaliła nogi do kolan. Dobry i czuwający nade mną los chciał, żebym jeszcze żył, granat zarywszy się w piaszczysty kant nie wybuchł. Trwało to jedno mrugnięcie powiek. Nie było czasu na strach, ani na obronę, lecz bądźmy szczerzy, przyznaję się, że gdy wyciągnąłem zasypane nogi i zapaliłem dla

dodania sobie odwagi papierosa, mocno drżały mi ręce i zimny kroplisty pot ściekał z mej twarzy.

Granaty wyły, darły ziemię, bryzgały piaskiem w twarze. Zdawałoby się, że nikt w tym piekielnym ogniu przy życiu się nie utrzyma, jednak żyliśmy. Obłąkani hukiem, stumanieni, przytuleni do ziemi żyliśmy i czekaliśmy chwili, kiedy znów pluniemy w pysk szturmującego wroga.

Z tumanów dymu i kurzu wyłoniły się roześmiane gęby dwuch łączników, czołgających się i ciągnących za sobą skrzynki z amunicją do maszynki. W samą porę przybyli, gdyż Moskale ponowili szturm, biegnąc śmiało za zaporą ognia swojej artylerji. Gruchnęły karabiny, posypały się pociski, obrońcy żyli i odgryzali się. Nadmierna ilość oddanych strzałów rozpaliła lufy do gorąca, przypiekały one ręce. Kolby poodbijały ramiona. Zachodziła znowu obawa, że karabiny odmówią posłuszeństwa przez zacinanie się zamków, jak to często leży w naturze Berthiera. Lecz dziś jakoś trzaskały wesoło, jakby chciały dowieść, że gdy tylko zachodzi tego rzetelna potrzeba — to i owszem...

Zmilkł huk granatów i skonał. W to miejsce zerwało się dzikie — urra! i Moskale są już przy rzecce i moście. Naprężone nerwy nie wytrzymały. Chwyciłem za tylce Hotschkisa i zakotłowało się na tamtym brzegu Turowlanki. To za Homel, psia wasza mać! — myślę tak sobie, cisnąc kurczowo język spustowy. Zmienił mnie niebawem celowniczy. Temu biedakowi zapisane było w księdze przeznaczeń, że dziś bezapelacyjnie umrzeć musi. Zdążył wycelować, oddać kilka seryj i bez krzyku i jęku, zwalił się nawznak na dno okopu. Poruszył kurczowo palcami rąk, kopnął kilka razy ziemię i zgasł. Na twarzy wykwitł spokojny, pełen rezygnacji grymas.

Kula karabinowa weszła mu między oczy. Przez nieznaczny mały otwór posączyła się leniwie krew, spływając po zasmolonej twarzy i wsiąkła w rozpalony żarem słońca piach. Zabraliśmy jego papiery, ciało wsunęliśmy do schronu. Zasypaliśmy krzepnącą krew. Druga taka kula przecięła pasmo dziecięcego prawie życia jednemu z saperów. Trzecia to ofiara dzisiejszych zmagań, lecz przeciwnik ma straty o całe niebo większe i załamuje się w trzecim szturmie. Poczyna też grzebać wnęki tuż nad brzegiem Turowlanki.

Odległość między nami a bolszewikami nie sięga osiemdziesięciu metrów. Pukanina słabnie jak z jednej, tak i z drugiej strony. Artylerja pluje w nasz postrzępiony okop z dwu zaledwie dział a całe piekło ognia przenosi na redutę Nr. 4, gdzie bez przerwy grają maszynki podporucznika Stawickiego.

Strata trzech ludzi i wybuch wielkiej ilości granatów, oszołomiły młodych rekrutów. Starzy wiarusi, jak Olechowski, Nowak, Borowski, Wróblewski i inni — dla których wojna była sportem, wzięli sobie za obowiązek opiekowania się tem niemowlęctwem okopów. W przerwach strzelania broni ręcznej, kiedy trzeba było chylić łeb i przywarować do dna rowu przed gradem żelaza pocisków artyleryjskich dla skupienia uwagi choć na moment na czemś innem, wynajdywali dla nich różne zajęcia, a wśród nich, napychanie naboi do łódek.

A co się dzieje u naszych sąsiadów? W Horodyszczu sierżant Gabrysiak, odpierając powtarzające się często szturmy czerwonych i przedłużając prawe skrzydło dla wsparcia sąsiedniej reduty, osłabił nieco swój oddział. Przybył mu z pomocą Orłowski z plutonem. Jaka była sytuacja na odcinku trzeciego bataljonu, nie wiedzieliśmy, za to w

Pukanówce na froncie „trzeciaków" było źle, jak to informował nas telefonicznie Grabowski. Tu bolszewicy przy pomocy worków wypchanych jakimś nietonącym materjałem, pod osłoną ognia karabinów maszynowych, przeszli wbród wąską Turowlankę i wyrzucili „trzeciaków" z ich zimowych legowisk, zabierając coś niecoś do niewoli. W pomoc ustępującym „trzeciakom" poszły zapasowe obsługi pierwszej kompanji karabinów maszynowych z porucznikiem Iwaszkiewiczem na czele. Zderzenie nacierających i przeciwuderzających było tak silne, że po krótkiej walce słaby nasz oddział został rozbity i częściowo wzięty do niewoli. Wpadli tu porucznik Iwaszkiewicz, znany już nam z zeszłorocznych potyczek plutonowy Kurowski i dzielny żydek plutonowy Abfajer.

Z racji cofnięcia się trzeciej kompanji nasze reduty miały odsłonięte prawe skrzydło i poważnie zagrożone tyły. Mimo tego, podporucznik Szymański poleca redutom trzymać się. Sam z plutonem odwodowym 36 pułku zagina front i idzie do przeciwnatarcia. W pierwszym skoku, zostaje zatrzymany deszczem kul, wkopuje się w ogrodzie popa i pragnie coś jeszcze wskórać walką ogniową. Tu w czasie tej pukaniny miała miejsce ciekawa scena. Przegrodzone parkanem dwie zajadle walczące z sobą tyraljery, leżąc od siebie nie dalej jak o czterdzieści kroków, ruszyć się z miejsca nie mogły, przytłoczone do ziemi ogniem. Wtem po stronie czerwonej, zrywa się jakiś odważniejszy komisarz, pędzi do parkanu z zachęcającym okrzykiem „towaryszczy wpierod!" — lecz nie poparty zatrzymuje się na moment zdziwiony zachowaniem się Szymańskiego, który stał pod gruszą, ćmił papierosa i z uśmiechem pobłażania groził śmiałkowi szpicrutą. Chwilę podzi-

wu czerwonego komisarza dla lekceważenia „białego" oficera wykorzystał jakiś piechur, rypnął z karabinu i pan komisarz zwalił się martwy na ziemię. Tymczasem dalej na prawo, poprzez błota i las, nie mając oporu, bolszewicy docierają do wsi Zahacie, skąd wypłaszają tabor kompanji pierwszej i rżną dalej na nasze tyły. W tym to niezbyt zachęcającym momencie, bolszewicy, wzmocnieni nowemi oddziałami, uderzają na redutę podporucznika Stawickiego i w tym to momencie prawie wszystkie reduty 1-szej kompanji otrzymują rozkaz wycofania się na Nowy Dwór. Telefonista, starszy strzelec Sosnowski, po przesłaniu nam tego rozkazu telefonem, schwyciwszy aparat pod pachę, musiał wiać przez okno. Do mieszkania właził już bolszewik.

XX. ODWRÓT.

Rozkaz wycofania się, otrzymany o godzinie dwunastej z minutami, zastał nas w momencie gorączkowej strzelaniny do ponownie szturmujących czerwonych oddziałów. Chwila najmniej przyjemna. To też otwieramy, jak tylko można szybki ogień, żeby na jakiś przeciąg czasu zatrzymać szturmujących i nie pozwolić im zorjentować się w naszych zamiarach wiania. Wiedzieliśmy o tem wszyscy dobrze, że nie wolno nam bezkarnie opuszczać bezpiecznego okopu do czasu, póki nie zmusimy przeciwnika zaryć nosami w ziemię. Ta upragniona chwila nadeszła. Bolszewik ukryty w lejach i załamaniach terenu, prowadzi bezładną strzelaninę górując, a w naszym okopie pada rozkaz wycofania się. Zbiórka oddziału w lesie na drodze Turowla — Horodyszcze. Pierwszy wieje chyłkiem rowem dobiegowym karabin maszynowy, za nim kolejno strzelcy. Reszta strzela za siebie i za cofających się. Trzaska szybka gorączkowa kołatani-

na, jak to bywa w odwrocie. W ostatniej chwili zabieram aparat telefoniczny i noguję za oddziałem. Za mną z opóźnieniem wpada do schronu Borowski po swój nieodżałowany tornister. Wiał potem ostatni i żeby uciec cało, cisnął goniącemu go tuż, bolszewikowi — przeprawiali się wpław — wypchany tornister w twarz, co go może uratowało od niewoli i śmierci. Bolszewik zainteresowany niebywałą ciężkością tornistra zaniechał pościgu.

W chwili wyskakiwania z rowu dobiegowego, kule ognia pościgowego zabiły nam jeszcze dwu kolegów.

Zebrawszy się w lesie, bez straty czasu, naprzełaj machamy do Nowego Dworu, mniej więcej w kierunku północno-wschodnim. Nad nami po liściach drzew pacają kule i dość często na ślepo walą szrapnele i granaty. Droga odwrotu niezbyt dogodna. Trzęsawiska i nieprzeniknione haszcze, lecz obawa niewoli dodaje nam sił i zmusza mózg do szybkiej orjentacji. Wreszcie przecina nam i tak już ubożuchną drogę odwrotu szeroki, błotnisty strumień. Skleciwszy z połamanych łopatkami gałęzi kładkę, przeprawiamy się w pojedynkę i machamy dalej. W przeprawie tej karabiniarz, niosący podstawę Hotschkisa, zbyt przejęty odwrotem, stawiając drżące nogi po uginających się gałęziach, zwalił się do wody. Wyciągamy karabiniarza za łeb, potem szukamy w błocie podstawy, co zajmuje trochę czasu. Wychodzimy na polanę, raczej przesiekę w lesie i o jakieś sześćset metrów widzimy tyraljerę Moskali przecinającą nam z lewej strony, drogę odwrotu. Wracamy wobec tego do lasu i maszerujemy z konieczności na wschód ku rzece Dźwinie. Przezornie wyminąwszy kolonję Kapcy, wychodzimy na szeroką piaszczystą drogę, wiodącą do miejsca naszego odwrotu. Ten piaszczysty, szary trakt i linja telefonu biegnąca wzdłuż niego, wlał w serca

odrobinę nadziei, że nie jest znowu z nami tak źle, jak początkowo przypuszczaliśmy, brnąc po bagnie i błąkając się po krzakach. To też zamierzamy trochę wypocząć i zapadamy w przydrożne zarośla, zostawiając na drodze ukrytego za drzewem obserwatora. A już żeby w zupełności wykorzystać tę krótką przerwę włączamy aparat telefonu do „biegnącego" kabla z nadzieją ściągnięcia jakich takich wiadomości z szerszego odcinka frontu. Na drugi czy nawet trzeci dzwonek otrzymujemy pożądany głos ludzki, rzucający pytanie w języku rosyjskim.

— Kto mówi? —

Dajemy odpowiedź w tym samym językiem.

— Tu mówi telefonista Smirnów. — Zadajemy pytanie i otrzymujemy odpowiedź wcale pomyślną. Mówił komisarz którejś roty armji czerwonej.

— Skąd mówicie?

— Z Mieżna. — Ta odpowiedź wystarczyła nam w zupełności. W Mieżnie daleko na naszych tyłach jeszcze przed godziną stał na zimowych kwaterach sztab I-go bataljonu. Teraz są już tam czerwoni. Jest nam mocno nieprzyjemnie, ale ze spokojem dziękujemy grzecznie panu komisarzowi — już po polsku— za udzielenie informacyj, odłączamy aparat i czmychamy skrajem lasu, trzymając się drogi.

W Nowym Dworze zastajemy wycofany z Horodyszcza, oddział podchorążego Orłowskiego i dwa plutony 36 pułku. Był tu i Staszek Kieroń. Wyprawa po moskiewski karabin maszynowy za rzekę Turowlankę nie udała się.

W Nowym Dworze nie popasaliśmy długo. Zdążywszy wypić trochę mleka lub wody i zjeść kawałek razowca wyciągniętego babom, pomaszerowaliśmy w kierunku Połocka, mając nadzieję połączenia

się gdzieś w drodze z podporucznikiem Szymańskim, który cofał się innemi ścieżynami.

W małej i brudnej wioszczynie Obolenie, spotkaliśmy dowódcę kompanji, siedzącego okrakiem na płocie i rozwaloną w cieniu przydrożnych drzew resztę kompanji. Powitaliśmy się głośnem, wesołem i przeciągłem — aaaa!... no i jak zwykle bywa w takich wypadkach dogryzaliśmy sobie wzajemnie: — „Oddaj Łomżę"!... „Oddaj Horodyszcze"!... „Oddaj popa"!... i t. d. Szymański z wiecznym uśmiechem wita nas. — Serwus bolszewicy! — ale zrehabilitowaliśmy się, co?!... W Oboleniu uporządkowaliśmy nasze rozlazłe plutony i wyszczerbione trochę sekcje. Mimo naprawdę ciężkiej, kilkugodzinnej walki i niezwykle przykrych warunków odwrotu, straty w ludziach mieliśmy stosunkowo małe. Kilku rannych, zabitych i kilku zagubionych z podporucznikiem Stawickim na czele. Z zabitych utkwiły mi w pamięci nazwiska dwu strzelców, zawsze wesołego Staszka Chojnowskiego i beznadziejnie smutnego olbrzyma i siłacza kompanji Janka Smolaka. Resztę nazwisk, czas i nowe przygody zatarły w mej pamięci.

Wraz z oddziałami 36 pułku cofaliśmy się wciąż na północ, sunąc po sypkim piasku i potykając się co chwila o wystające korzenie drzew.

Była już noc, wiosenna noc. Po obu stronach drogi kompanja legła dla wypoczynku. Migotało gwiazdkami niebo. Rechot żab, nawoływanie się nocnego ptactwa, trele słowików, nastrajało duszę sentymentalnie. Myśl biegła ku domowi rodzinnemu. Gdzieś z boku mącił piękno nocy wiosennej głuchy pomruk armat, jak dudnienie ciężkich wozów po wyboistej drodze, a hen! daleko za nami, na całej szerokości horyzontu, biły pod niebiosa łuny poża-

rów. Paliły się wsie, owoc ciężkiego wysiłku kilku pokoleń ludzkich.

Mijał nas oddział 36 pułku. Przeszli bezszelestnie jak cienie. Wyłonili się z mroków nocy i w noc zapadli. Nadjeżdża kilku konnych, z oficerem na czele, który wywołuje niemiłe wydarzenie na szczęście bez następstw.

Z szeregu konnych pada pytanie:

— Co to za oddział?

— Pierwsza kompanja 33 pułku — brzmi odpowiedź z szeregu odpoczywających.

Konnego oficera po tej odpowiedzi, jakby kto w siedzenie ukłół. Rzucił się w siodle i wrzasnął w złości.

— Tchórze, cholery! Uciekają przed dwoma bolszewikami i nas zmuszają do cofania się!

Obelga, jak dla nas, była zbyt mocna. Szczęknęło kilka karabinów repetowaniem zamków, odpoczywający zerwali się na równe nogi. Szymańskiego również poniosło. Z rewolwerem w garści skoczył do konnych z okrzykiem.

— Cofnij pan swoje słowa! Następuje męczące milczenie. Milczenie ciężkie jak zbrodnia i długie jak wieki. Krew dudni w skroniach, serca walą jak młoty. Tuż niedaleko wrzasnął przeraźliwie puhacz, a dalej ponuro biją armaty, aż drży w posadach ziemia. Wreszcie z szeregu konnych pada wyraz.

— Przepraszam! — i spięte ostrogami konie pomknęły kłusem.

Około północy zaczepiliśmy się o dużą, śpiącą, jakby wymarłą wieś. Zaraz na wstępie przychwycił Szymańskiego goniec dowódcy 36 pułku z rozkazem. Mamy zająć stanowiska celem ochrony artylerji. Dla zajęcia ich nad brzegiem jeziora poszedł Kieroń z drugim plutonem. Zaledwie zdążyli odejść i wsiąk-

nąć w ciemność nocy, kiedy znów nadszedł rozkaz do natychmiastowego odwrotu.

Zanim wysłany łącznik znalazł Kieronia i zanim Kieroń zebrał swych chłopców, już zawzięcie grzebiących wnęki i przymaszerował do naszego miejsca postoju, upłynęło dużo czasu. To też później ostatni i z dużem opóźnieniem „nogowaliśmy" za 36 pułkiem i osłanianą artylerją.

Wiedząc o tem z doświadczenia, że dopóki będziemy trzymać się obcego pułku, jako zagubiony oddział, to będziemy zatykać wszystkie najgorsze dziury — Szymański na własną rękę poszedł złączyć się z macierzystym pułkiem. W tym celu, po dojściu do toru kolejowego Połock — Mołodeczno, bierzemy na południowy-zachód i rżniemy wzdłuż szyn, przewracając się o nawpół przysypane podkłady, na Farynów.

W Farzynowie, od okopujących się kompanij jakiegoś pułku, dowiadujemy się, że 33 pułk znajduje się na nowej pozycji w Woronieczu.

Ze wschodem słońca, skręcamy na południe i polnemi ścieżynami albo też przez lasy, dążymy do Woroniecza.

W Zaskorkach doganiamy pierwszy odział naszego pułku. Jest to pluton „trzeciaków" z porucznikiem Tyrałą na czele. Wiedzieli oni o pułku tyle co i my. Pułk „zgubił" się im. Dołączamy „trzeciaków" do nas, opuszczamy Zaskorki i w spiekocie słońca i tumanach kurzu, ciągniemy na ten Woroniecz.

Dwie niespane noce! Dwudziestokilkogodzinny forsowny marsz oraz nienormalne odżywianie się, własnym przemysłem, robią swoje. Ścieśniona z początku marszu kolumna rozciągnęła się teraz w długi ogon, którego koniec, podpierając się kijami kulał,

narzekając na odparzone nogi. Dla podreperowania sił zatrzymał się Szymański w jakiejś małej wiosce czy nawet folwarku. Ubezpieczywszy się ze wszystkich stron pokładliśmy się pokotem spać w ogródku z tornistrami pod głową i karabinem w garści.

Po trzech godzinach kamiennego snu ruszyliśmy dalej. Głodni ale wypoczęci, mimo bliskości nieprzyjaciela, śpiewaliśmy plutonami, bijąc sobie wzajemnie brawa. I tak śpiewając, już z zachodem słońca, podeszliśmy pod Woroniecz. Kiedy czoło kolumny wychyliło się z lasu, żeby dopaść samotnego futoru, podbiega do nas zdyszany poczciwy chłopak z wiadomością, że Woroniecz od 24 godzin zajęty jest przez bolszewików, a Polacy wycofali się na Bobinicze.

Na przykrą wiadomość zrzedły nam trochę miny. Wysyłany patrol w stronę Woronicza, powrócił wkrótce stwierdziwszy obecność nieprzyjaciela. Szymański wyjeżdża na czoło kolumny i daje rozkaz: „maszerować za mną"! Początkowo wąską leśną ścieżyną, potem naprzełaj przez pola, zmieniwszy kierunek, pomaszerowaliśmy na północny zachód.

Przykry był ten marsz po brózdach, rowach, pagórkach, dolinach i zagajnikach, ale cóż było robić? Nieprzyjaciel tuż. A któż może zaręczyć, że nie mamy go przed sobą? A tak było w rzeczywistości. Nie dochodząc do stacji Zahacia otrzymujemy ponowną wiadomość przez cywilów, że bolszewicy są już w Zahaciu, skąd wielkie płomienie ognia każą domyślać się, że płoną nasze magazyny.

Omijamy stacyjkę ze wschodniej strony i maszerujemy na północ. Kieroń jest z plutonem w straży przedniej, ja zabezpieczam tyły. Od czoła pada półgłosem rozkaz: „wyciągać nogi"! Już i tak jesteśmy haniebnie zmachani, a tu ci bracie każą „wyciągać

nogi". To też co chwila buchnie plecak do rowu rzucony przez mało zaprawionego w marszach rekruta. Na dobitkę naszych udręczeń zaczyna padać ulewny deszcz i zbolałe nogi lgną w rozmiękłym gruncie po kostki. Noc ciemna, że na krok nic nie widać.

Trzymając się za bagnety człapiemy tak milczkiem po rozmiękłej polnej drodze. Niebawem „skończyła" się mapa Szymańskiemu i musimy polegać na uczciwości niechętnych przewodników. Często zaczynamy błądzić.

16 maja wieczorem dopędziliśmy oddziały XVI-ej brygady, na jakiejś chwilowej pozycji. Korzystając z ich ubezpieczeń, zatrzymaliśmy się dla wytchnienia w dużej wsi i zjedliśmy co się dało zarekwirować u objedzonych bab. Powaliło się bractwo spać. A że to przebąkiwano coś o dalszym odwrocie, spaliśmy w rynsztunku.

Ściemniło się już kiedy alarmem postawiono nas na obolałe nogi. Trzeba było kontynuować marsz odwrotowy w kierunku Łużek. Deszcz lał bez przerwy strumieniami. Błoto na drodze po same kolana. W piekielnie ciemnej nocy trudno było wybierać twardsze miejsca i wymijać kałuże, to też brnęło się zapamiętale, aby dalej i aby nie zgubić kolumny. Nadomiar naszych udręczeń przejeżdżające kłusem plutony kawalerzystów bryzgały błotem w oczy, a co pewien czas artylerzyści prosili o pomoc przy wyciąganiu z bajora ugrzęzłych armat.

Ta czwarta niespana noc i ciągłe nieprzerwane marsze, obrzydziły nam żywot do niemożliwości. Nerwy były napięte do ostatnich granic i tylko święta idea i wielka niespożyta siła woli pchała człowieka naprzód. Gdy zatrzymano nas na chwilę

w Łużkach dla zorjentowania się w kierunku dalszego marszu, żołnierze kładli się wprost nieprzytomni na oblepiony błotem bruk i spali. Spali tak twardo, że trzeba było mocno trząść śpiących za ramiona, szczypać, targać za uszy, kopać poprostu, żeby przywołać do jakiej takiej przytomności. Kiedy ruszono nas wreszcie, spaliśmy idąc. I wcale dobrze się tak śpi. Wtedy się człowiek tylko obudzi, kiedy potknie się o coś nogą, zderzy się ze śpiącym kolegą lub wyrżnie nosem w tornister swego poprzednika. Przebudzi się na chwilę, złapie równowagę, zaklnie, poprawi się i śpi dalej. Kto mi nie daje wiary niech przy pierwszej sposobności pójdzie na wojnę, a zrozumiemy się łacniej.

Za Łużkami wprędce przywitał nas dzionek. Szymański próbuje znowu szczęścia i chce połączyć się z pułkiem. Bierzemy na Głębokie. Zeszedłszy z głównego traktatu, pchamy się dalej polnemi drogami. Na naszym szlaku spotykamy dość często rozbite wozy, skrzynie z amunicją — w którą zaopatrujemy się skwapliwie — i zabite konie. Musiała tu jazda bolszewicka napędzić strachu naszym taborytom.

Wypogodziło się na świecie. Było piękne popołudnie i zapowiadała się piękna nocka, kiedyśmy podchodziliśmy do Głębokiego. Zdala w purpurze zachodzącego słońca, błyszczały kopułki cerkwi. Na widok miasteczka, gdzie spodziewaliśmy się zastać pułk, ciężko zapracowany wypoczynek i dawno już nie otrzymany prowiant, humor poprawił się nam i nawet ktoś mniej zmęczony, czy tylko udający mniejsze zmęczenie, ryknął sobie: „Choć głodno i chłodno żyjem sobie swobodno"... Skarcony też został krótkim rozkazem: „pyski na kłódkę"!...

Będąc już niedaleko Głębokiego, podporucznik Szymański swoim zwyczajem kopnął się naprzód wybrać kwatery. W niespełna kwadrans, a może i krócej, wrócił w pełnym galopie i krzyknął: „Za mną"! Skręcamy z drogi i zaszywamy się w las, zdziwieni zachowaniem się naszego wodza. Lecz był ku temu powód i niebyle jaki. Gdy Szymański podjechał do pierwszych zdala stojących zabudowań natknął się na czujkę bolszewicką. W ciemnej nocy bolszewik nie poznał Szymańskiego a nawet udzielił mu pewnych wiadomości za co Szymański nie omieszkał podziękować. Zawrócił konia i początkowo stępa, potem galopem ile było sił... w końskich nogach, dopadł nas, żeby wczas zmienić kierunek marszu.

I znowu niecierpliwy rozkaz „wyciągać nogi"! — i znowu marsz po wertepach, lasach, polach i błotach. Wreszcie przy pomocy przewodnika przeszliśmy wbród jakąś rzeczółkę i przywarowaliśmy w jakimś samotnym futorze. O dwa kilometry na południe sąsiadowali z nami jak się później okazało, bolszewicy.

Ze świtem, dźwigając ociężale nogi, poszliśmy do miasteczka Duniłowicze, a już w południe spotkaliśmy nasze placówki, wystawione przez błękitnych konnych strzelców. Pierwsze oddziały korpusu generała Hallera, przybyłe do nas, były wypoczęte, dobrze umundurowane, a jeszcze lepiej odżywione. Od nich to dowiedzieliśmy się że pułk nasz zbiera się w Duniłowiczach. Odetchnęliśmy z ulgą.

Niebawem zaczepiliśmy się o Duniłowicze i zakwaterowaliśmy się w nich na dobre. Wiara po zeskrobaniu z siebie kilkodniowego brudu zabrała się skwapliwie do gotowania kartofli w mundurkach.

O swych kuchniach nic nie wiedzieliśmy, dopiero nazajutrz podwieziono zupę. Pierwsza gorąca zupa po kilku dniach nadludzkiego wysiłku.

Nas, dowódców plutonów, ściągnął porucznik Szymański na herbatę. Zakwaterował z podchorążym Orłowskim u tutejszego aptekarza. Herbatę podawała nam i asystowała przy kolacji młoda, miła i nad wyraz gościnna pani aptekarzowa.

XXI. PRÓBY ODWETU.

Różnemi szlakami odwrotu na Duniłowicze ściągał się mocno wyszczerbiony pułk, staczając po drodze prawie że bez przerwy, zacięte walki w celu osłabienia marszu pościgowego przeciwnika. Wyższe dowództwo postanowiło powiązać poszarpany front i zparować natarcie armji czerwonej. W tym celu nastąpiła przedewszystkiem szybka zmiana dowódców niektórych oddziałów i zorganizowanie odpowiedniej obrony.

Nasz regimentarz, papa Sandecki, otrzymał z brygady „urlop" czy nawet wysłany został do szpitala jako „chory". Różnie o tem wiara między sobą mówiła a mówiąc ściślej i śmiała się serdecznie w kułak. Dowództwo 33 pułku objął ceniony i kochany, odważny i nad wyraz zdolny dowódca III-go bataljonu kapitan Jerzy Sawa-Sawicki. Miejsce Sawy w bataljonie III-im zajął porucznik Gwido Bursa. Wewnątrz naszego bataljonu zaszły małe zmiany. „Czwartakami" począł dowodzić podporucznik Stawicki, a kompanję drugą w miejsce ciężko rannego i wziętego do niewoli podporucznika Świątkowskiego wziął podchorąży Orłowski. Z nami w kompanji został tylko Szymański, jako jedyny oficer. Tłukło się wprawdzie po plutonach jakieś indywi-

duum z gwiazdką, ale niech o nim lepiej historja zamilczy.

Przystąpiliśmy do organizowania jakiej takiej obrony. Linja obronna biegła ze wschodniej strony od traktu Duniłowicze — Głębokie poprzez piaszczyste wzniesienia do folwarku Świdno na Jasiniewicze i dalej na północ. Na trakcie, legła okrakiem kompanja siódma podporucznika Piotrowskiego (zginął w 1921 roku w powstaniu górnośląskiem), mając prawe skrzydło słabo zabezpieczone przez oddział konnych strzelców. W lewo od „siódemki" na owsem porośniętych pagórkach ulokował się z plutonem drugim Kieroń, opierając się plecami o jezioro Świdno, a podając swoje lewe ramię, prawemu skrzydłu „trzeciaków". Dalej Orłowski z drugą i jakieś inne oddziały.

Pluton Gabrysiaka i mój trzeci jako druga linja „siódemki" i chłopców Kieronia w odległości kilkuset metrów w tyle, wkopaliśmy się między mogiły cmentarza. Miało się przynajmniej tę pewność, że gdy kto z nas polegnie w zapowiadającej się bitwie, pochowają nas w miejscu na ten cel specjalnie wyznaczonem.

Cały słoneczny dzionek i piękną noc z 19 na 20-ego maja, spędziliśmy na próżnowaniu, małych zwiadach, leniwem wkopywaniu się w ziemię i odczytywaniu napisów na grobach zmarłych obywateli Duniłowicz. Dopiero 20-go maja o świcie, z lewej strony od nas na pozycjach innych kompanij pułku, wywiązała się mordercza walka. Monotonny bulgot karabinów maszynowych i broni ręcznej nie ustawał prawie ani na chwilę. Do uszu naszych dochodziły co pewien czas głuche, jakby z pod ziemi wydobywające się okrzyki — „hura"! Towarzyszył temu i przeszkadzał z obu stron ogień artylerji. Mówię prze-

szkadzał, gdyż walczące linje piechoty były w tak blizkiej ze sobą styczności, że rwące się pociski armatnie między linjami tyraljerów, raniły i zabijały wroga i swoich.

Najdzielniej spisywał się w tych krwawych zapasach walecznych podchorąży Orłowski z drugą kompanją. Wysunięty mocno na swojej pozycji często ją tracił i przeciwuderzeniami zdobywał zpowrotem, biorąc jeńców i sprzęt. Tego dnia trzymali się Moskale w natarciu aż do zapadnięcia nocy. Lecz wszystkie ich furjackie szturmy zostały odparte z wielkiemi dla nich stratami.

Na odcinku kompanji naszej i siódmej zachowywał się przeciwnik biernie, zadowalając się wysyłaniem licznych patroli i opukując, zresztą dość rzadko, nasze stanowiska ogniem artylerji polowej.

Z nadejściem nocy umilkło życie frontu. Obie strony zmachane całodzienną orką, legły naprzeciwko siebie, wgryzając się zapamiętale łopatkami w ziemię. Atmosfera była ciężka, duszna, niepewna. Gdzieś w pobliżu, osnuta cieniem nocy, przyczaiła się groza. Od czasu do czasu dał się wyczuć lekki, jakby muśnięcie skrzydeł motyla, powiew wiatru. Za nim nadciągały chłodne, wilgotne opary jeziora Świdno. Naciągało się płaszcz na ramiona i człek układał się w świeżo wykopanym okopie do chwilowej drzemki.

Jednak w raptularzu wydarzeń, wojny nie był notowany nam spokój tej nocy. Około godziny 22-giej przybiegli gońcy od Sawy-Sawickiego do dowódców kompanij z rozkazem, że o godzinie 23-iej mamy urządzić natarcie, poparci silnym ogniem artylerji i wyprzeć nieprzyjaciela z jego stanowisk.

Mój pluton z Szymańskim miał przejść wcześniej jakąś znaną mu dziurą w pozycji bolszewickiej przez

strumyk, mokradła, zagajniki i o tej samej godzinie co natarcie, uderzyć na artylerję czerwonych.

Mamy pójść bez obciążenia. Składa więc wiara na kupę, niepogubione jeszcze w odwrocie plecaki, opatruje broń, poprawia obluźnione pasy na sobie. Szymański dopijając mleko przyniesione przez ordynansa z miasta, wtajemnicza mnie w szczegóły wyprawy. Lecz nie skończyliśmy rozmowy... Brzękła żałośnie menażka wytrącona kulą karabinową z ręki Szymańskiego i potoczyła się po pochyłości terenu, a wokoło nas rozpasała się najmniej spodziewana, wściekła burza. Huk wybuchów granatów ręcznych. Wrzask dzikiego „uraaa"! — trzask karabinów ręcznych i maszynowych zgmatwało się ze sobą warjacko.

Bolszewicy uprzedzili nas. Zdjęli nasze słabe placówki (drzemało tam najprawpodobniej ubezpieczenie konnych strzelców), podeszli cichcem pod okopy „siódemki" i runęli do szturmu. Uderzenie było tak, silne, że nieliczni obrońcy pierzchli z pozycji, zostawiając karabin maszynowy i kilku rannych. Za cofającymi się wali bolszewicka hołota na nas, a z południowej strony pchają się już czerwoni zwycięzcy na cmentarz. Zagina tedy zagrożone skrzydło plutonu dwiema sekcjami kapral Brodzik i strzela w sam pysk nacierającym. To skutkuje. W tym czasie Gabrysiak z pierwszym plutonem idzie do przeciwuderzenia i gna bolszewików aż do utraconej pozycji „siódemki", lecz okopów zdobyć nie może. Odbija tylko jeńców i wycofuje się w morderczej harataninie. Bolszewicy próbują dalej, lecz oparci o cmentarz nie ustępujemy im ani kroku więcej. Wnet też nadeszła z odsieczą nasza kompanja techniczna oraz oddziały 13 pułku. Wtedy dopiero odebraliśmy utracone przez „siódemkę" okopy.

Nastąpiła przerwa ogniowa i złowróżebna cisza nocy majowej, przerywana żałosnem pojękiwaniem rannych rozrzuconych w łanach żyta. Był tam wróg i swój.

Łatwo było pozbierać w nocy, w plątającem się pod nogami życie tych co jęczeli, lecz ciężej ranni, leżący bez przytomności, musieli czekać świtu.

Dnia 21-go maja o godzinie 1-szej w nocy, otrzymaliśmy rozkaz do odwrotu. Byliśmy niezmiernie zdziwieni, a więcej jeszcze źli. Nie pobito nas przecie, a cofać się musimy? Ale wściekłość wściekłością, a rozkaz rozkazem, więc trzeba go wykonać. Sztab chyba coś więcej od nas wie. Zbieramy się ospale i maszerujemy do Duniłowicz. Artylerja dla zamaskowania odwrotu opukuje flegmatycznie pozycję bolszewików.

Zebrawszy się z zachodniej strony Duniłowicz, poza spokojnie płynącym strumykiem, pomaszerowaliśmy przez Łuczaj, Mazury, Janki do miasteczka Postawy. Marsz odbył się bez nerwów, zupełnie wolniuśko, przeplatany dowcipami, a nawet za Łuczajem śpiewająco. Tyły osłaniał nam świeżo przybyły bataljon etapowy.

W Postawach jak i okolicy znać było przeszłą przed laty straszną burzę dziejową. Wojna rosyjsko-niemiecka zniosła tu z powierzchni ziemi siedziby ludzkie, zorała rowami okopów, zgryzła niemal całe miasteczko, pozostawiając popioły i gruzy z osmolonemi nagiemi kominami, jakby wołającemi o pomstę do Boga.

Tu ciągnął się dawny front niemiecki, masa okopów i drutów.

Mieliśmy obsadzić te ponure jamy i na grobach żołnierzy wojny światowej, bronić dostępu do zagród polskich.

Odcinek pozycji dla pułku wypadł na południe od Postaw. Nie tracąc czasu rozeszły się kompanje na wyznaczone im stanowiska.

O zmroku przytelepaliśmy się do zrównanej z ziemią wsi Saminki. Minąwszy ją kompanja rozłożyła się w dolince za zagajnikiem dla noclegu. Ubezpieczywszy się placówkami, chrapnęliśmy mocnym snem.

Nazajutrz, zbudziło nas wschodzące słońce. Obmywszy się w chłodnej wodzie biegnącego opodal strumyka, machnęliśmy kilka kozłów dla rozgrzania i zajęliśmy się szybkiem doprowadzeniem starych okopów do możliwego stanu.

Teren do obrony dla mojego plutonu wypadł na lekko pochylonym w stronę nieprzyjaciela, a mocno stromym od strony naszej, zlekka zalesionym wzgórzu na drodze Postawy — Słominki. Było ono poryte rowami, posiadało kilka betonowych schronów i podziemne przejścia. We wszystkich niemal kierunkach pełzły wyciągnięte ramiona zasieków drucianych. Szerokość naszej pozycji nie przekraczała dwustu metrów. Za sobą i w prawo mieliśmy piękne i dobrze zarybione jezioro, łączność w lewo z kompanją drugą, w prawo z plutonem Kieronia. Gabrysiak z pierwszym stał w odwodzie.

Po zabezpieczeniu się czujkami i wysłaniu na przedpole patroli, wzięliśmy się do naprawiania podniszczonych okopów i przeszkód drucianych.

Aby to wszystko podnieść z ponurej starości, upadku, zaniedbania i powołać do nowego życia, nadać wesoły wygląd, odpowiadający nastrojowi naszych młodych dusz, musieliśmy w to włożyć dużo energji i fantazji żołnierza polskiego.

Zabraliśmy się najsamprzód do roboty niecierpiącej zwłoki, jako to do wyznaczenia stanowisk

ogniowych dla poszczególnych strzelców, poprawienia ich, zamaskowania i dopasowania stosownie do wzrostu obrońcy oraz wyznaczenia kierunków ogni dla każdej sekcji. W niespełna piętnaście minut pali się już robota w rękach. Sypie się żółty piasek na przedpiersie, bije się świeżo ciosane koły w ziemię przeplata się je łoziną, żeby się ściany nie obsuwały. Wślad za opisanemi czynnościami idzie bardziej jeszcze kłująca robota — to naprawa przeszkód drucianych. Lecz choć przy owej robocie niejedne pękły porcięta, niejedną parę owijaczy zszarpano, niejedna dłoń lub łydka zrosiła się własną krwią draśnięta kolcem drutu — to wszystko furda! Grunt, że był humor, dowcip, śmiech, słońce nad nami i sto takich słońc w naszych piersiach.

Robota szła zatem dobrze. Znosiło się przed okopy w brakujące miejsca kozły hiszpańskie ze stosów nagromadzonych na tyłach jeszcze przez Niemiaszków i wiązało się ich ramiona. Około godziny 16-ej czuliśmy się w swych „pałacach" jak u Pana Boga za piecem. Rozumie się, że przy ogniu artylerji to i „piec" dobrego Boga staje się nikłą obroną. Wzięliśmy się więc do schronów, podniszczonych wprawdzie nieco wiekiem, ale schronów. Podparto je tu i owdzie w słabszych miejscach świeżemi kołami, dosypano na wierzch piasku, dołożono darni oraz pogłębiono prowadzące do nich i zarośnięte bujnym chwastem rowy łącznikowe.

Wielka ich ilość szła w różnych kierunkach, w zakrętach, krzyżując się. Wyglądały jak wąskie, kręte ulice dużych miast. Kto pierwszy raz dostał się w gmatwaninę tych ulic, — błądził. Dla gońców i łączników trzeba było powystawiać znaki orjentacyjne.

Po dłuższem zwiedzaniu rowów znaleźliśmy za-

rośnięte pokrzywami i młodą wikliną wejście do rowu łącznikowego pod ziemię. Tunel ten, łączył nasze okopy ze stanowiskiem plutonu Kieronia. Złączeni z sobą przejściem podziemnem mogliśmy posługiwać się nim w czasie najgorętszej strzelaniny bez zbytniej obawy narażenia łączników na rany lub śmierć.

Do wieczora byliśmy w zupełności gotowi na przyjęcie nieprzyjaciela. Pracowicie spędzony dzionek czuliśmy w każdym mięśniu i kościach. Niedługo dowieziono skrzynie amunicji i granatów. Zajechała też dudniąc po wystających korzeniach kuchnia — karmicielka z niezbyt smakowitą, ale jak na głodne żołądki wcale dobrą zupą. Więc po wypróżnieniu menażek chrapnęliśmy sobie w schronach.

Kiedy pookręcani w płaszcze drzemaliśmy w najlepsze przebudził mnie goniec, żebym niezwłocznie zebrał pluton i przemaszerował do Jaziewicz.

— Do pioruna! Co się znowu stać mogło? — klnę wściekle zaspanym głosem.

— Chyba nie odwrót, do stu djabłów! Nikt nas do tego nie nagli! — mrucząc pod nosem, zbieram ubogie manatki, z zamiarem udania się do sąsiednich schronów, żeby zbudzić chłopców i ściągnąć czujki.

— Szkoda tylko całodziennej mozolnej pracy, psia krew! — myślę sobie, kiedy zdybał mnie drugi goniec z nieco odmiennym rozkazem.

Zmienia mnie pluton drugiej kompanji, mam ściągnąć pluton na godzinę 4-tą do Jaziewicz.

— Napewno pójdziemy do odwodu, błysnęła myśl w ciężkiej od snu mózgownicy i za nią coś miłego połechtało serce. Dłuższy wypoczynek, gdzieś zdala od frontu nie zaszkodziłby. Ale rzeczywistość

była zupełnie przeciwna temu, co sygnalizowały błyski naszych myśli.

W Jaziewiczach zbierał się opieszale bataljon, wypiło się kawę i wkrótce wymaszerowaliśmy w kierunku południowym wzdłuż okopów niemieckich.

Po drodze, jak strumyki do głównej rzeki, dołączały do nas kolumny kompanij innych bataljonów pułku. Musiało być coś i gdzieś bardzo pilnego. Szliśmy bardzo szybko i bez przerw wypoczynkowych. Był to pierwszy dzień Zielonych Świąt, 23-go maja. Słońce prażyło niemiłosiernie i co słabsi chłopcy padali zemdleni w drodze. A kolumna płynęła jak wezbrany potok wciąż naprzód i wciąż na południe. Wreszcie w połowie dnia zatrzymano nas w dużym, tchnącym upragnionym chłodem lesie. Tu się legło na podściółce z igieł sosnowych i rozmamrało mundury dla ulżenia sobie, wchłaniając w zmęczone płuca żywiczne powietrze.

Znalazły się tu oddziały 13 pułku. Ale w jakim celu nas przyciągnięto ? — my „mali wodzowie" o tem nie wiedzieliśmy. Aż dopiero za kilka dni poleciała „kaczka" po pozycji, podawana z ust do ucha, że jakoby mieliśmy stąd próbować nacierać w lukę, jaka powstała przy pchaniu się za nami oddziałów przeciwnika.

Koniec końcem, podwieziono nam do tego cudownego lasku obiadowy ryż i przyniesiono rozkaz: — odmaszerować zpowrotem na poprzednio zajmowane stanowiska.

Teraz szliśmy wolniej, a nawet zanocowaliśmy gdzieś po drodze. Następnego dnia, rozpłynęliśmy się znanemi już rowami pagórka do swoich schronów i stanowisk obronnych, a ubezpieczywszy się, czekaliśmy dalszych wypadków.

XXII. BEZTROSKI — I SMUTEK.

W tych to okopach, groźnie najeżonych siedmioma rzędami drutów kolczastych, zapowiadał się wypoczynek. Tylko jak długo miał trwać było to dla nas — tajemnicą. Zresztą mieliśmy ważniejsze troski i uciechy na głowach. Weźmy na ten przykład chociażby taką sytuację. Siedzisz, bracie, na stoku pagórka (od strony własnych wojsk) na miękkiej, puszystej i pachnącej polnym kwieciem trawie, wygrzewasz cielsko w słońcu i rżniesz w karcięta, aż dudni, albo łowisz rybki, albo pływasz po jeziorze pluskając się beztrosko. Wzgórze, porośnięte sosnami, osłania cię przed ślepiem obserwatora nieprzyjacielskiego, a wysunięte poza druty przeszkód placówki chronią od niespodziewanego napadu. Jest ci więc bezpiecznie i wesoło. I wtedy, kiedy jest ci najweselej, kiedy pragniesz, żeby ci już tak całe życie trwało, to wtedy naprzekór i znienacka trzepnie kilka granatów artyleryjskich akurat niedaleko ciebie. Jęknie trochę ziemia, przygaśnie zaraz złote słońce, spłoszone rybki uciekną w głąb jeziora, a ty, bracie, co sił w nogach gonisz pod górę w stroju praojca Adama, żeby wcisnąć się pod ziemię w szparę, na ten cel wydłubaną. A nie jest to znowu tak łatwe zadanie, jak się wydaje, gdyż raz po razie nad głową wybuchają sine obłoczki szrapneli i rój lotek ołowiu paca dookoła ciebie, jak ciężkie krople deszczu. Ty zaś rozpalone słońcem, nagie i na bronz spalone ciało tulisz co chwila do wilgotnej ziemi w załomie rowu dobiegowego. I tak kucając dopadasz wreszcie progu swego bezpiecznego schronu, a czasami i... legniesz w drodze. Różnie bywa!

To były ognie nieprzewidziane. Ognie przewidziane, ujęto programem dnia, mieliśmy trzy razy dziennie, jak żywność. Wypadały akurat w czasie,

kiedy kuchnia zajeżdżała cichcem za górę ze śniadaniem, obiadem lub kolacją. Wtedy bolszewicy walili granatami i szrapnelami, aż wokół wszystko jęczało. Kucharz w takich chwilach, trzaskał ci przed nosem pokrywą kotła, woźnica skręcał końmi w miejscu, szastał z fantazją batem po ogonach i widziałeś bracie, tylko bryzgi zupy, wydobywającej się szparami niedokręconej pokrywy, a kuchnia dudniąc po korzeniach wiała w bezpieczne miejsce. Chcąc uszanować nerwy panów kucharzy, szedłeś wtedy zagłębieniami terenu kilometr i więcej do lasku po rozbełtaną zupę. A iść musiałeś, byłeś głodny.

Ognie przewidziane kucharzom na postrach miały jedną piękną stronę, gdyż pozwalały korzystać nam z innego lepszego wiktu, którego niestrudzonym dostawcą był Fabjański. Kiedy to najgłodniejszy w plutonie zoczywszy zajeżdżającą w dole kuchnię oznajmiał reszcie wykrzyknikiem: „obiad"! lub „śniadanie" albo „kolacja"! — i kiedy z różnych dziur rowami okopów sypało się bractwo z menażkami w garści na rozbicie głowy, aby pierwszym stanąć przy kotle wtedy Fabjański brał wiosło do ręki i wiekszym jeszcze galopem pędził w stronę odnogi jeziora. Na brzegu stała nawpół wyciągnięta na piasek, niezdarną ręką sklecona naprędce łódka. Spuszczał ją na wodę i, z chwilą rozpoczęcia przewidzianego ognia artyleryjskiego, odbijał od brzegu, wypływał na jezioro i... zbierał ryby, ogłuszone wybuchem zabłąkanych pocisków. Po takiem trzepnięciu trzech lub czterech granatów w jezioro, przybierało ono kolor szaro-białawy od pływających „bez zmysłów" ryb. Przygotowaniem ryb do jedzenia, zajmował się specjalnie przez pluton większością głosów obrany i znający się na sztuce kucharskiej starszy strzelec Wróblewski.

Raz podczas takiego połowu, mieliśmy niezbyt zachęcającą, chociaż wesołą przygodę. Połów tego dnia był wyjątkowo obfity, z racji wybuchu większej ilości granatów w wodzie. Mieliśmy pełną przegrodę okazałych ryb i zamierzaliśmy lądować, ale wtem jeszcze jeden, ale już naprawdę zbłąkany granat wybuchł tuż przy dziobie naszej wątłej łodzi. Słup wody, wyrzucony siłą wybuchu kilka metrów w górę, wywrócił łódkę do góry dnem wysypując do wody całą jej zawartość. Trzeba teraz było widzieć — siedząc w bezpiecznem miejscu, jak część zawartości wywróconej łódki w ubraniu, trzymając się kurczowo jedną ręką za jej krawędź, drugą podgarniając pod siebie wodę, starała się dopłynąć do lądu. Odległość?... Bagatelka!... dwieście metrów z okładem. Ale to też w swojem rodzaju przyjemność!...

W ludziach, mimo że ostrożnością gardzono, artylerja bolszewicka szkody nie zrobiła. Raz tylko w porze obiadowej, kiedy skakaliśmy krętemi „uliczkami" okopów do zbliżającego się pełnego korytka, lotki szrapnela przedziurawiły nam dwie menażki. Nowakowi oberwało połowę ładownicy, a jednemu ze strzelców przecięło bluzę, pas i spodnie, draśnąc lekko skórę na siedzeniu. Innych strat nie mieliśmy ani my, ani nasi sąsiedzi, z czego wniosek, że kiepskich mieli bolszewicy artylerzystów.

W międzyczasie zaszły u nas znowu małe zmiany. Bataljon objął kapitan Hryniewiecki, a kapitan Niedźwiecki odszedł do dywizji. Kompanja druga dostała nowego wodza w osobie świeżo przybyłego porucznika Lewandowskiego, Orłowski zaś wrócił do naszej kompanji. Prócz tego wyszła serja awansów szeregowych. Stacho Kieroń został sierżantem. W plutonie trzecim kapralami mianowani zostali Olechowski, Nowak, Dąbkowski, Fabjański. Wielu dzielnych

strzelców przeciągnąłem na starszych strzelców. Młode szarże opiliśmy — niestety! — czarną kawą.

Ale to były czasy naprawdę ciężkie i tylko tak ideowe wojsko, jak nasze, mogło je przetrwać. Chleba nie widzieliśmy już bardzo dawno. Raczono nas spleśniałemi, pokruszonemi sucharami. Dwie garście na gębę i to ci, bracie, musiało wystarczyć na 24 godziny. Zupy bardzo cienkie i bardziej jeszcze jałowe. Trochę marmelady i dziesięć papierosów. Te nas utrzymywały przy życiu. Coprawda i ryby robiły swoje. O stanie mundurów lepiej nie mówić. Wystarczy gdy nadmienię, że na trzydziestu ludzi dziesięciu było bosych, a dowódca plutonu miał dziury w portkach, ściągnięte szpagatem, żeby gatki zbytnio na światło dzienne nie wyłaziły. Ale pogoda ducha, dowcip i szczery śmiech przechodziły pojęcie ludzkie.

Z powodu naszego ubóstwa materjalnego było trochę nieporozumienia między nami, a wojskiem lepiej umundurowanem, ba! — mającem pewne zapasy. Nasze mocno wyszczerbione szeregi, poczęto wtedy wspierać świeżemi formacjami, przybyłemi z głębi kraju.

Razu pewnego, w pogodny dzionek, obok nas przechodziły oddziały 7-mej rezerwowej brygady Poznańczyków. Stara wiara, mocna w pysku, dobrze oporządzona, z zapasami w tornistrach, zatrzymała się lekkomyślnie na mały wypoczynek przy nas. Obskoczyliśmy ich i dalej do roboty. Trzeba teraz było widzieć, w jaki to cygański sposób okradliśmy tych Wielkopolan. Opowiadało się im najnieprawdopodobniejsze historje o bolszewikach, a sitwesi w tym czasie, ściągali zasłuchanym Poznańczykom z wypchanych tornistrów — o zgrozo! — zapasowe buty, spodnie i co było do wzięcia. W wyniku tej zabawy było potem dużo niepotrzebnego gadania, krzyku, zażaleń,

ale zafasowane buty djabli wzięli. Z naszej strony było to może trochę niegościnnie i nieładnie, ale mówiło się — trudno! Robiliśmy wszystko co się dało, żeby nie świecić grzesznem ciałem i wojnę wygrać.

W miarę napływania z kraju nowych sił front naszych oddziałów kurczył się i malał. Już nie było takiego wypadku, jak w roku 1919-tym i na początku 20-go, że siedząc w okopie lub w jakiejś wsi, szukało się łączności z sąsiadem o cztery kilometry, a nierzadko sześć lub dziesięć, mając nieprzyjaciela z przodu, tyłu i boków. Dowcipny sposób prowadzenia partyzantki, nam tylko znany, skończył się bezpowrotnie. Nastąpiły czasy wojowania „po europejsku". Miało się już drugie i trzecie linje okopów. Pułki trzymały się kupy, dywizje miały duże odwody, a na tyłach spotykało się przeróżne rodzaje broni.

I tu na dawnej pozycji niemieckiej odcinek naszej kompanji zmalał do minimum. W okopie siedział żołnierz przy żołnierzu tak blisko, że mogli współdziałać ze sobą. To też czuliśmy się pewnie, aż nazbyt pewnie. Kpiło się z ogni artyleryjskich przeciwnika— zresztą do tego można się było już przyzwyczaić — a na patrolach robiło się różne kawały.

I byłoby wszystko w jak najlepszym porządku, gdyby nie troska, która jak grom z jasnego nieba, zwaliła się na nasze dumne głowy. Byliśmy zrozpaczeni i zasępieni. Smutek wielki i ciężki przytłoczył nasze żołnierskie dusze.

Do dzisiejszego dnia niewiem, czy była to bolesna prawda, czy też tylko niska plotka, puszczona po odziałach, że jakoby w Kwaterze Głównej Naczelnego Wodza miała zrodzić się decyzja rozwiązania naszej 8-mej dywizji, rzekomo za porażki poniesione od 14-go maja. I że tylko na gorącą prośbę generała Sosnkowskiego, który za parę dni miał nas prowa-

dzić do walki, Komendant decyzję Kwatery Głównej zawiesił.

Ta smutna wiadomość, lotem błyskawicy obleciała oddziały i zasępiła nasze gęby. Skutki, Bóg nam świadkiem! nie naszych win, odczuł boleśnie każdy dowódca, każdy żołnierz, każdy taboryta, który był z nas tak dumny. Wiało dokoła smutkiem, rozpaczą i doprowadzającą do obłędu niepewnością. Zamilkł śmiech, ucichł wesoły pogwar wśród żołnierzy a myśl, że Dziadek nam nie wierzy, jak zmora nurtowała serca boleśnie. A trzeba powiedzieć, że większość z nas byli to rdzenni z krwi i kości peowiacy, więc fakt, że zawiedliśmy nadzieje Komendanta, odczuć musieliśmy głęboko, jak tylko potrafi odczuć przywiązane serce żołnierza do Wodza.

Lecz w następne dni przyszły nowe wiadomości. Mówiono, że zostajemy w całości, jak dotychczas i że na próbę będziemy pierwsi łamać kolczaste druty czerwonych. Znowu powiało w okopach radością. Melancholję zamienił śmiech, ziemia przypiekała stopy, dusze rwały się do nowych czynów. Aż nadszedł dzień, że swymi czynami przerośliśmy samych siebie, i Komendant w swej książce „Rok 1920", wyraził nam swoje uznanie.

Największa to nagroda zwycięskiego Wodza dana żołnierzowi za gorliwie spełniony obowiązek wobec Ojczyzny!

XXIII. ODWET.

Nadszedł dzień odwetu!

Już w noc z 31-go maja na 1-go czerwca, kiedy to ćmiąc papierosy na dnie okopu, marzyło się, zdybał mnie łącznik Szymańskiego z rozkazem, żebym na dominującym punkcie wzniesienia przygotował

stanowisko dla obserwatora artyleryjskiego. Miało się już na świtanie, należało się śpieszyć.

W południe pociągnęli „druciki" pajęczynę kabla do świeżo wykopanego dołu, dla połączenia się nim ze zgrupowanemi gdzieś na tyłach baterjami. Niebawem z brzękiem ostróg wspięło się po zboczu wzgórza kilku oficerów 8 pułku artylerji, zajęli swe miejsca w okopie i wolniuśko, z powagą, skierowali oczy lornety na przedpole. Padło kilka wyrazów, zaseplenily dzwonki telefonów polowych. Wyrazy powtórzone przez telefonistę do mikrofonu, popędziły po drucie do ukrytych za lasami armat. Rozpoczęło się tak zwane „wstrzeliwanie się". Przeciwnik odpowiedział. Pojedynek artylerji trwał do zmroku. Po godzinnej przerwie ogień artylerji wył dalej przez caluśką noc aż do chwili natarcia piechoty.

Pod osłoną nocy i ognia armat robiliśmy przejście w zasiekach drucianych dla kompanij, mających pójść do natarcia, to jest 2-giej i 4-tej naszego bataljonu, oraz kompanji bataljonu II-go. Całością dowodził kapitan Mińkowski. Kompanja pierwsza i 3-cia jako odwód pozostały w okopach. Uzupełniamy amunicję, granaty, fasujemy żelazne porcje. Zajechała kuchnia z parującą kawą. Nalewamy w manierki na zapas. Załatwia się to wszystko sprawnie i cicho.

Po północy 2-go czerwca dziurami w przeszkodach popłynęły plutony na drugą stronę i bezszelestnie rozlazły się na przedpolu, zajmując wyznaczone stanowiska wyjściowe. Przed nimi wysunięto patrole bojowe w celu porobienia przejść w przeszkodach drucianych przeciwnika. Wszystko wchłonęła w siebie ciemna noc.

Artylerja dudni bez przerwy. Ale tylko nasza. Czerwoni zamilkli. Szymański zdał dowództwo Orłowskiemu, sam na ochotnika poszedł z oddzia-

łami szturmowemi, żeby telefonem przesyłać wiadomości kapitanowi Mińkowskiemu.

Na świecie robi się szaro. Ogień artylerji urywa się, po chwili bije po odwodach przeciwnika. W miejscu poprzedniego młócenia armat, zarechotały krótko maszynki. W międzyczasie pękły granaty ręczne i stutysiącznem echem goni do nas po rannej rosie zwycięski okrzyk — „hurra"!

Kilka granatów artylerji bolszewickiej brzękło po naszych okopach. Przycupnęliśmy w załomach rowu, lecz za chwilę waliły one już po pozycjach cofającej się własnej piechoty, a po szturmujących naszych kompanjach.

Po drucie telefonu doszła wiadomość od Szymańskiego.

— Pierwsze okopy zdobyte! Straty w ludziach małe!

Kiedy przed tem natarciem — biorąc pod uwagę umiejętnie umocnioną obronę czerwonych, gadaliśmy między sobą, byliśmy pewni wygranej, ale kosztem dużych strat w ludziach. To też niezmiernie byliśmy zdziwieni, że kosztowało nas to natarcie tak mało w pierwszym dniu bitwy. Inna rzecz, że z naszej strony było to dowcipnie zorganizowane zaskoczenie.

Wzięci do niewoli w późniejszych potyczkach czerwoni twierdzili z całą stanowczością, że oddziały nasze idące do szturmu w pierwszy dzień ofenzywy były spojone wódką i szły na druty przeszkód, jak owce.

Ha! mili braciaszkowie, było zgoła przeciwnie. Od pamiętnej libacji sylwestrowej nikt z żołnierzy wódzi nie widział. Wszyscy mieliśmy czczość w żołądkach, a w manierkach trochę czarnej kawy. Za to mieliśmy pełne ładownice nabojów i pełne chlebaki granatów. Z rzadko spotykaną brawurą szliśmy ze

śmiercią w zapasy. A jaki impet miała nasza brawura? — to najlepiej o tem mówiły rozbite pułki licznych dywizyj czerwonych.

Straty nasze były naprawdę małe, kilku zabitych i rannych. Moskale ratując życie ucieczką, zostawili prawie cały sprzęt bojowy w okopach.

Za pierwszemi linjami szturmujących kompanij spłynęliśmy ze swych wzniesień, zleliśmy się w kolumnę i szybko poszliśmy naprzód w wyciętą lukę wojsk przeciwnika. W dolinie za zagajnikiem minęliśmy ambulans. Pracował tu w pocie czoła pułkowy eskulap nad dziurami naszych kolegów. Wśród szarej braci żołnierskiej leżał ciężko ranny w brzuch, spowity w śnieżne zwoje bandaży, piękny podporucznik Jerzy Skoryna. Woskową, jakby śmiertelną już twarz muskały ciepłe promienie rannego słonka. Przechodzącą kolumnę przeprowadzał smętnem spojrzeniem. W spojrzeniu tem, widzieliśmy wyrzut żalu, że pójść z nami nie może. Umarł w szpitalu w Wilnie.

Za Kaszynami wysłany zostałem z plutonem na osłonę artylerji podążającej wślad za nami. Szliśmy na Łuczaj.

Nie tak znowu wesoło i łatwo poszło u naszych sąsiadów z lewej flanki. Położenie bojowe pod nieszczęsnymi Postawami przedstawiało się smutnie. Siódma brygada Wielkopolan wsparta silnym ogniem artylerji mimo wysiłków nic wskórać nie mogła. Bolszewicy trzymali się tu zaciekle, zadając wielkie straty nacierającym. Koniec końcem, mając nas daleko werżniętych na tył, musieli wiać. Wiać co się zowie! — A wdarliśmy się doprawdy daleko w szczerbę frontu moskiewskiego, gdyż niektóre kompanje dotarły aż do Duniłowicz.

Rola trzeciego plutonu przy osłonie artylerji trwała niedługo. Miejsce nasze na ogonie kolumny

artyleryjskiej zajął inny pluton II-go bataljonu. My natomiast maszerując naprzełaj, mamy dołączyć do kompanji zaczajonej gdzieś w łanach żyta. W drodze podczas tego marszu przyczłapał da nas na swoim chudym rumaku, wymizerowany nieustanną gorączkową pracą, adjutant bataljonu podporucznik Stecewicz i rozkaz zmienił. Jak najszybszym marszem mamy dojść... do jakiejś wsi na północy, zrobić jaką taką obronę w kierunku na Postawy i zerwać tor kolejki wąskotorowej. Powrót ma nastąpić na specjalny rozkaz dowódcy bataljonu. Po drodze spotykamy trupy i trupy. Moc trupów strzelców armji czerwonej. Śmierć poukładała ich w rowach przydrożnych w najróżnorodniejszych pozach. Krwawy rezultat dzisiejszej naszej pracy!

Zajęliśmy podaną w rozkazie i wskazaną palcem adjutanckim na mapie wieś, poczem wykopaliśmy naprędce wnęki. Fabjański z czterema ludźmi poszedł zrobić „porządek" z torem kolejki. Trud nasz okazał się jednak zbyteczny. Jakiś zbłąkany pocisk artyleryjski zrobił wcześniej swoje i uszkodził go. Cofające się „burki" z pod Postaw wiały lasami i błotami, hen dalej na północ! Siedzieliśmy tu przyczajeni około trzech godzin zanim nadszedł rozkaz dołączenia do kompanji. Bataljon dopędziliśmy wśród ulewnego deszczu w drodze do Łuczaja. W Łuczaju zanocował cały pułk ubezpieczony oddziałem 16-tej brygady.

W łuczajowskim pałacu, na wyfroterowanych posadzkach, pokładliśmy się spać pokotem zmoknięci do ostatniej nitki i zmęczeni do ostatnich granic.

W słoneczne południe następnego dnia pchnął podporucznik Szymański trzeci pluton do Kasnadiejewa. Kompanja została w sąsiednim Wasewie. Tworzyliśmy tu — łącznie z kompanją — ubezpie-

czenie lewego skrzydła 8-mej dywizji. Konieczność ta dyktowana była powolnem posuwaniem się ostrożnych Poznańczyków, którzy starym zwyczajem odziedziczonym w spadku po Niemiaszkach, szli tyraljerami wolniutko, krok za krokiem, badając skrupulatnie każdy lasek i wieś. Niczem nieuzasadniona opieszałość marszu 7-mej brygady poznańskiej (bolszewicy wieli na rozbicie łba, zostawiając na pastwę zwycięscy wszystko, co im w tym wianiu było przeszkodą) spowodowała wstrzymanie pościgu naszej dywizji. Dało to możność sztabom moskiewskim ściągnąć odwody i wesprzeć rozbitków świeżemi pułkami. Za Duniłowiczami postawiły się one groźnie okoniem, zadając oddziałom 16-tej brygady wielkie straty w ludziach. Jak niosła kaczka frontowa po naszych szeregach bolszewicy zebraii podobno na tym odcinku trzy dywizje piechoty.

W Kasnadiejewie siedzieliśmy kilka godzin odgryzając się bezustannie silnym patrolom bolszewickim, pchającym się bezczelnie w powstałą lukę. Kiedy nawiązaliśmy z Wielkopolanami jaką taką łączność, ściągnął nas Szymański do Wasewa, skąd pomaszerowaliśmy pod Duniłowicze. Zbierał się tu cały pułk, dla wykonania jakiegoś nieznanego nam jeszcze zadania. Z za Duniłowicz niosło po polach echo wrzawę dużej bitwy. W głuchym rumorze armat, w nieustannym bełkocie broni samoczynnej krwawiła się o zdobycie pozycji bolszewickich 16-ta brygada. Jak zacięta musiała być obrona Moskali mówił nam smutny i długi korowód wózków chłopskich wymoszczonych słomą i zapchanych rannymi. Przejeżdżały obok nas sunąc piaszczystą drogą karawaniarskim tempem do czołówek sanitarnych. Ten obraz poszarpanych ciał ludzkich, pełen smutku, odczuliśmy mocno czekając w przydrożnych rowach na

swoją kolejkę, złożenia „na ofiarnym stosie" naszego życia.

A moment ten wydawał się być bliski.

Ściemniało się już, kiedy gruchnęła wieść niesiona pantoflową pocztą, że mamy w nocy dokończyć rozpoczętej przez 16-tą brygadę krwawej pracy. Wodzowie kompanijni odjechali do kapitana Sawickiego na odprawę żeby dokładnie zapoznać się z sytuacją i zadaniem. O godzinie 23-ciej ruszyły bataljony na stanowiska wyjściowe. Przechodzimy milczkiem przez ciche, jakby wymarłe miasteczko Duniłowicze, kierując się na północny-wschód. Od czoła idzie podawany szeptem rozkaz: „maszerować jaknajciszej"! Suniemy jak duchy dawno wymarłych rycerzy. Od czasu do czasu ciszę parnej nocy zmąci uderzenie bagnetu o łopatkę lub potrącony przydrożny kamień buciorem wiarusa. Z północnego wylotu Duniłowicz rozchodzą się kompanje w swoich kierunkach. Nasza pierwsza ma rozkaz usadowić się w znanym nam już folwarku Świdno. Mój pluton idzie w straży przedniej. Szybkim krokiem, z bronią gotową do walki, naprzełaj przez łąki wsiąkamy w zabudowania, a ze wschodniej ich strony dopadamy okopów 36 pułku. Ziemia zorana granatami mówi nam o stoczonej przed kilku godzinami bitwie. Tylko zdziwieni byliśmy niezmiernie niespotykając tu żadnych oddziałów 36 pułku. Odeszły podobno gdzieś w bok.

Dnia 4-go czerwca ze świtem, poparci silnym ogniem artylerji, mamy wykonać szturm na okopy bolszewickie. Okopy czerwonych są przed nami podobno o czterysta metrów ukryte przed naszem okiem w cieniu nocy. Jest ciemno i cicho. Cicho jak w grobie. Niemiłe dreszcze łażą za skórą. Aby oderwać myśl od tego niewiadomego co nastąpi za

chwilę i czemś się zająć, odruchowo wyciąga się łopatkę z pokrowca i grzebie się w ziemi, niby poprawiając okop. Robi się to wolniutko i o ile możliwości cicho, żeby przedwcześnie nie zbudzić zła. A czas się tak mocno dłużył Dłuży się w nieskończoność!

Świta! Z lewej strony na odcinku II-go bataljonu szczęknął krótką serją karabin maszynowy i zamilkł. Krew popłynęła żywszem tętnem. Wpada myśl, jak zła osa do mózgu, że już się zacznie. Skończy się wreszcie ciężka zmora ciszy. Lecz nieprawda! — Znowu cicho i cicho, jakby wszystko co wokół żyło przytuliła śmierć na wieczność do kościstego łona. Żeby psiakrew nie było chociaż tak parno! Parno jak w łaźni na najwyższym piętrze. Szukasz ręką haftki kołnierza żeby go rozpiąć i wciągnąć w płuca powietrze, bo inaczej udusisz się.

Naraz rypnęły nasze dwa działa jedno po drugiem. No! — Wreszcie! Będzie jakiś ruch, nie to przebrzydło, ciężkie siedzenie w okopie! Później wali odrazu cała baterja ogniem pojedynczym. Znów chwila przerwy. Jakby w odpowiedzi plunęło gdzieś w oddali z za lasów ciężkie działo rosyjskie i pocisk lecąc długo z jakimś niesamowitym jazgotem, runął w prawo od nas, aż pod ciężarem wybuchu ugięło się wszystko dokoła. Był to pierwszy i ostatni pocisk czerwonych skierowany w naszą stronę. Po wybuchu tego potwora rozpoczęły huraganowy ogień nasze baterje zgrupowane z zachodniej strony Duniłowicz. Wszczął się piekielny huk, jakiego żadne pióro ludzkie nie jest w stanie opisać. Huk tak ogromny i nieprzerwany, że podawanych rozkazów wprost z ust do ucha nie można było zrozumieć. Ziemia drżała w posadach, piasek sypał się do okopu. Przed nami, jak okiem sięgnąć, rozpostarła się łuna ognia i chmura dymu od wybuchów granatów. Był

to straszny w swej grozie a zarazem piękny obraz wojny. Nie każdemu śmiertelnikowi danem jest widzieć taką dekorację przy rozgrywającej się tragedji.

Huragan ognia artylerji trwał kilkanaście minut, lecz wystarczył w zupełności, żeby utorować drogę piechocie, która mówiąc szczerze nie miała już dużo roboty. Trupy, trupy i ranni! Reszta żyjących w przerażeniu poddawała się do niewoli. Słabsi fizycznie eskortowali jeńców na tyły, a my parliśmy naprzód. Szło się przyśpieszonym krokiem, żeby wedrzeć się jaknajdalej na tyły przeciwnika i nie pozwolić cofającym się na chwilę opamiętania.

W tym marszu II-gi bataljon napotkał silne odwody czerwonych i rozpędził je energicznym szturmem, biorąc sprzęt i jeńców. Na naszą kompanję, idącą w straży przedniej bataljonu, wyskoczył szwadron kozaków ze wsi Stanilewicze i w zawrotnym galopie pędził do szarży. Kilka salw dwu plutonów załamało ją. Kozunie rozpierzchli się po zagonach i zwieli do lasu. Kopnął się za nimi pluton błękitnych strzelców biorąc kilku jeńców i koni.

Nie dochodząc do Oczewa na skrzyżowaniu się kilku dróg ujrzeliśmy pracę żołnierzy II-go bataljonu. W rowach, w długich szeregach leżeli ranni i zabici bolszewicy. Nędzni, obdarci, z okropnemi ranami, pokurczeni, z zaciśniętemi zębami, przeprowadzali nas obojętnym wzrokiem. To uciekinierzy rozbitych odwodów bolszewickich, których skosiły celne wiązki pocisków naszych maszynek.

Za Oczewem, między naszą kompanją, a oddziałami 21-go pułku wynikło małe nieporozumienie z powodu lesistego terenu i mylnego meldunku konnego patrolu błękitnych strzelców. Równomiernie z osią marszu I-go bataljonu szły z lewej strony szybkim krokiem kolumny 21-go pułku. Drogi nasze w tym

miejscu schodziły się blisko siebie. Patrol konnych strzelców wysunięty wprzód i na boki zauważywszy nieznaną kolumnę zameldował nam, że są to oddziały cofających się bolszewików. Z tego tytułu wywiązała się bezładna, gwałtowna strzelanina. Bóg raczy wiedzieć jakiby obrót wzięła ta awantura, gdyby nie Szymański, który podjechał samopięt do „warszawskich dzieci" i błąd wczas naprawił. Strat w ludziach dzięki Bogu nie było.

Na wojnie człowiek bije się nietylko z nieprzyjacielem, a często i ze swoimi, zwłaszcza, kiedy się ma przed sobą kiepskich i trochę podenerwowanych zwiadowców.

Po opisanej awanturze pościg wstrzymano. Zdybaliśmy przytem jeszcze zbłąkaną moskiewską kuchnię. Przykro nam było, że nie mogliśmy skorzystać ze zdobyczy, bo choć w kotle była parująca zupa, a my głodni, haniebnie głodni, to jednak cuchnący zapach suszonej ryby wydobywający się z kotła apetyt nam zepsuł.

Zawrócono nas z gościńca w prawo (miejsce nasze zajął 21 pułk), gdzie w bezustannym ogniu artylerji walczył 36 pułk. My jednak mieliśmy spokój. Pomoc „akademikom" wyświadczyły inne kompanje naszego pułku. Po przenocowaniu w jakiejś wsi w stodółkach na słomie następnego dnia, to jest 5-go czerwca, skręciwszy znowu do głównego traktu, pośpiesznie pomaszerowaliśmy na Głębokie.

Jednak i ten dzień dano nam poniekąd spędzić bezczynnie. O zdobycie Głębokiego użerał się III-ci bataljon. II-gi i nasz były w odwodzie. Leżeliśmy w rowach po obu stronach traktu, tropieni ogniem artylerji czerwonych. Mimo przeważających sił bolszewickich po południu weszliśmy jako zwycięzcy w brudne ulice Głębokiego, dzięki oczywiście kole-

gom III-go bataljonu, którzy bez naszej pomocy zrobili to, co do nich należało, a może i więcej... Sławą okrył się w tej bitwie młodziutki podporucznik Tadzio Tabaczyński, dowódca 9-tej kompanji. Z kilkunastoma ludźmi wdarł się on z boku do miasta, gdzie stały na ulicach zdumione kolumny odwodów bolszewickich. Nie tracąc rezonu z okrzykiem „hura"! — popędzili nasi chłopcy do szturmu, rozpoczynając bezładną strzelaninę. Bolszewicy nie orjentując się w położeniu ogólnem i w ilości młodych warjatów Tabaczyńskiego, zakotłowali się w bezładnej ucieczce, zostawiając karabiny maszynowe i cały sprzęt towarzyszący na ulicach. Tabaczyński gonił obłąkane panicznym strachem bandy aż do cmentarza, gdzie napotkał nowe odwody, bardziej orjentujące się w powstałym bałaganie — ba! nawet idące do przeciwuderzenia. Tabaczyński nie pozwolił wydrzeć sobie dotychczasowego zwycięstwa. Sypał więc serjami ze zdobytych maszynek w same pyski nacierającym. Na szczęście dla niego nadbiegł z pomocą podporucznik Frydrych na czele jedenastej kompanji i wspólnemi siłami zmusili bolszewików do stanowczej ucieczki.

Tak się przedstawiało położenie bojowe w samem mieście i w pobliżu niego. Po drodze spotkaliśmy rozrzucone na polach kompanje III-go bataljonu i baterje artylerji. Pogoń ta odbyła się bez żadnych nieporozumień potyczkowych. W Gwozdowie ubezpieczywszy się, piliśmy mleko z razowcem i w łanie żyta wzięliśmy do niewoli śpiącego bolszewika.

O zmroku cofnięto nas nieco do tyłu i o kilka kilometrów na wschód od Głębokiego wystawiliśmy czaty. Nasza kompanja ubezpieczyła się z prawej strony traktu Głębokie — Zaborze. Noc zeszła spokojnie na czuwaniu i patrolowaniu przedpola.

Następnego dnia zebrawszy się na trakcie czekaliśmy prawdopodobnie na rozkazy lub resztę bataljonu. Bolszewicy, jak donosiły patrole, organizowali pod Zaborzem obronę. Dla sprawdzenia tej wiadomości został wysłany do Gozdowa Gabrysiak z plutonem. Po ustawieniu broni w kozły dla zabicia nudy i czasu, wybijaliśmy na gościńcu hołubce w takt naprędce zorganizowanej kompanijnej orkiestry. Instrumenty muzyczne zdobyliśmy w czasie ofenzywy w zafasowanych taborach bolszewicką harmonję, rozstrojone skrzypce i flet (po zdobyciu Plissy przybył jeszcze bęben). Od tego czasu na każdym wypoczynku było granie, a na dłuższych postojach organizowaliśmy wieczorynki. Złośliwi z innych pułków twierdzili, że 33-ci grając i śpiewając wygrywa wszelkie bitwy i potyczki. Zwłaszcza mówiła tak 11-ta dywizja hallerowska, której po sąsiedzku wyświadczyliśmy małą, koleżeńską przysługę w łataniu dziurawego frontu, a później na postoju daliśmy im kilka bezpłatnych koncertów.

Tak więc roztańczonych i rozbawionych pchnięto niebawem do natarcia. Nieprzyjaciel wzmocniony rzeczywiście odwodami okopał się na wzniesieniach gwozdowskich z zamiarem obrony. Słychać już było szybką strzelanię broni ręcznej i maszynowej. To osamotniony Gabrysiak napadnięty przez Moskali bronił się zaciekle. Trzeba się było śpieszyć żeby dać przyjacielowi pomoc. Rozwinięci plutonami, przechodzimy szybkim krokiem wysokopienny las i na wschodnim jego skraju otrzymuje mój pluton rozkaz wsparcia Gabrysiaka z prawego skrzydła. Robimy kilka skoków w deszczu świszczących kul, spychamy „moskwę" z pagórka i pchamy się po stoku dalej. Zaczyna swój hałas z obu stron artylerja. Gabrysiak w tym czasie zostaje ranny w nogę. Przez

linję jego plutonu przechodzi ze swymi chłopcami Staszek Kieroń. Skokami suniemy na wieś. Z prawej i lewej strony, nacierające inne kompanje idą prawie że z równym powodzeniem. Długie i szerokie jak okiem sięgnąć łany żyta, osłaniają nas przed wzrokiem przeciwnika, ale nam zarazem przeszkadzają w celowaniu. To też mniej strzelamy, a uparcie idziemy naprzód. Strzelają za nas i za siebie maszynki ogniem przenośnym. Kiedy podeszliśmy bliżej do wsi i kiedy skończyły się łany żyta, zakotłowało się od ognia. Przycupnięci z nosami w kartofliskach nie możemy unieść głowy. Pociski pacają tuż przed nami jak krople ulewnego deszczu. Leżeć tak biernie w naci kartoflanej długo nie można, wystrzelają nas psiekrwie jak zające, a więc — naprzód! hurra!! Fabjański siedzi już między opłotkami, a z prawej flanki sąsiednia kompanja, spędziwszy widać słabszego przeciwnika śmiałym uderzeniem z boku przyszła nam z pomocą. Bolszewicy rypnęli jeszcze kilka salw i kopnęli się do ucieczki. Przeszliśmy wieś i idąc tyraljerami kropiliśmy z karabinów do każdej ludzkiej głowy, które jak ciemne plamki, wychylały się z żyta w odwrotowych skokach. Po nas rżnęła artyleria rosyjska raz po razie. Śpiesząc się szliśmy na Plissę.

W czasie wyścigu, raczej pościgu, zaszło małe nieporozumienie — a może był na to specjalny rozkaz sztabu, mianowicie w kierunku przedmiotu naszego natarcia, weszła z prawej flanki kompanja II-go bataljonu i zabawę nam zepsuła. Szymański nie chcąc przeszkadzać tej kompanji w jej wyczynach bojowych, zatrzymał nas. Niebawem zleliśmy się w kolumnę i poszliśmy jako odwód.

Silny i godny porządnego wojska opór postawili czerwoni jeszcze pod samą Plissą, lecz parci przez

nasze kompanje, załamali się wkońcu, a ich artylerzyści działa swoje bronić musieli bagnetem, tak ich nasza piechotka napędzała.

Z północno-wschodniej strony Plissy, czekając następnego dnia wystawiliśmy czaty. O północy wysłano mój pluton do Tuszyna, jako patrol ubezpieczający, skąd wróciliśmy rano, kiedy słonko już dobrze przypiekało. Niedługo potem pozycje nasze przejęła 16-ta brygada, a nasz pułk cofnięto do głębszego odwodu. Zdala, bo coś sześć kilometrów od grających armat, rozkoszowaliśmy się kąpielą, słońcem, spaniem i żarciem, a instrumenty aż pękały od ciągłego rzępolenia. Lecz długo to nie trwało. Coś drugiego czy trzeciego dnia poderwano nas alarmem na nogi i znowu pchnięto pod nieszczęsną Plissę. Wydarli ją Moskale „akademikom" zeszłej nocy i trzeba ich było ztamtąd wykurzyć.

Galopem prawie popędziliśmy z odsieczą. Na stanowisku naszych dział rozwinęliśmy się już w plutony i przechodziliśmy odwody 36 pułku, żeby odebrać to co „akademicy" utracili. Zawstydzone jednak nocną porażką czołowe oddziały 36 pułku, pławiąc się w spokojnych nurtach Mniuty, odebrały utracone pozycje i bez naszej pomocy. Zbieramy się wobec tego w kolumny i suniemy do miasta. Przed wejściem do Plissy kropnął pocisk artylerji bolszewickiej przed czoło kolumny, nie zadając zresztą strat, ale fason wtedy był taki, że nikt z nas nawet karku nie schylił. Zresztą nie było po temu i czasu.

Postawszy nieco w miasteczku przeszliśmy niebawem czołowe pozycje i ruszyliśmy z kopyta do natarcia na Prudiszczowskie lasy. Nasza kompanja otrzymała zadanie posuwać się wzdłuż jeziora Plissa, dla zabezpieczenia prawego skrzydła pułku i na-

wiązania łączności z 11-tą dywizją piechoty wojsk błękitnych.

Kiedy zaszyliśmy się w lasy zapadł już zmrok. Pociemku dopadliśmy wsi Uście. Tu okopały się dwa plutony, a nasz trzeci miał pójść brzegiem małej błotnistej rzeczki Szoszy do toru kolejowego, później udać się „trochę w prawo" i w Hermanowszczyźnie czy innych Jelowikach po drugiej stronie jeziora nawiązać łączność z oddziałami błękitnej dywizji.

Pluton odmaszerował.

Noc była księżycowa. Dokoła stały olbrzymie stare lasy. Maszerujemy początkowo piaszczystą dość szeroką drogą i kiedy jesteśmy w przyzwoitem oddaleniu od Uścia dostajemy niespodzianie ogień karabinu maszynowego, jak to się mówi „w sam pysk" — na szczęście zgórowany.

— Nie da rady, braciaszkowie, przejść tędy, — mówię do chłopców — szukajmy innego przejścia.

Fabjański kopnął się do wsi po przewodnika i wrócił wprędce w jego towarzystwie. Cofamy się nieco do tyłu i skręcamy za chłopem na wąziutką ścieżkę, ginącą w splątanych zaroślach, kierując się do rzeczki. Staramy się iść jak można najciszej, nie chcąc przedwcześnie zdradzić naszej obecności. Moc suchych gałęzi trzaska pod buciorami tak, że człowieka aż ponosi w bezsilnej pasji. Nadomiar złego, Fabjański szepce mi do ucha, że czuje zapach dziegciu.

— Muszą być w pobliżu Moskale — mówi. Ciągnę kilka razy nosem, nastawiwszy go na odpowiedni kierunek i nic takiego, coby przypominało mi woń Moskali nie czuję, a jedyny świeży zapach rzeki. To Szosza płynie sobie cicho o kilkadziesiąt kroków. Kończy się wreszcie utrapiony las i ścieżka nasza za-

pada stromo do głębokiego jaru, porośniętego krzakami i wysoką soczystą trawą. Na świecie robi się szaro.

Schodzimy do parowu i już swobodniej dwójkami suniemy dalej, osłonięci zaroślami. I kiedy oko szpicy dochodziło do toru kolejowego, trzepnął nam przed nosem strzał karabinowy, zakotłowało się w krzakach i dwu bolszewików czmychnęło pod górę do lasu. Rozpełzliśmy się po krzakach i namyślamy się — co dalej?

Robi się widniej. Tak widno, że można już nieźle zorjentować się w pobliskim i dalszym terenie o ile na to pozwala las. W lewo nad nami piętrzą się wysoko drzewa liściaste z potężnemi, rozłożystemi konarami, podszyte gęsto jałowcem. Tam pomiędzy nie zwiała czujka bolszewicka. W prawo tuż w pobliżu, otulona zwartą łoziną płynie rzeczka Szosza, a przed nami niedaleko bieli się wysoki nasyp toru kolejowego z zerwanym mostem, przez który wypada nam droga do 11-ej dywizji. A łączność nawiązać należy koniecznie! Musimy sprawdzić, czy droga jest wolna. Jeżeli nie, trzeba ją „zwolnić", w ostatecznym razie przejście utorować bagnetem. Zbadajmy nasamprzód co jest w lewo, w lesie nad nami. A musi tam coś być, bo strzał oddany do nas i dwu bolszewików wsiąkłych w jałowce też coś znaczy. Gdzie jest dwuch, tam musi być i więcej — zawyrokowałem — a więc probujmy.

— Dobry nos ma Fabjański, poczuł dziegieć na kilometr! — pomyślałem sobie. Ściągam sekcyjnych i półgłosem zapoznaję ich z moimi zamiarami. Chyłkiem i ostrożnie wspinamy się po stromej ścianie jaru do lasu, nie spotykając na razie żywej duszy. Rozsypawszy się w dwie gęste linje tyraljerów, zachodzimy lewem skrzydłem pod kątem 45 stopni

i zwolna posuwamy się na tor kolejowy. Ostrożni jesteśmy aż do przesady. Jeżeli to naprawdę była bolszewicka czujka, którą wypłoszyliśmy z krzaków, to strzał jej ostrzegł placówkę, a ta musi być tu gdzieś w pobliżu przygotowana na nasze przyjęcie.

Kończy się las i poprzez gałązki krzaków, widać nie dalej jak o pięćdziesiąt metrów równe pasma szyn toru, a za nimi bure punkciki wytkniętych łbów bolszewickich. Tak na oko jest ich trochę więcej niż nas, ale oni nie wiedzą ilu nas jest w zaroślach, możemy spróbować szczęścia, — więc z kopyta, naprzód! Fabjański z lewego skrzydła wyje „hurra"!, robimy to samo, wypadając jak sprężyną wyrzuceni z lasu. Gruchnęła ze strony przeciwnika ogłuszająca salwa i — koniec. Jesteśmy przy torze, bolszewicy wieją aż ziemia dudni. Gonić za nimi niema co, legliśmy więc wzdłuż nasypu i oparłszy karabiny o szyny toru grzejemy za czerwonym aż się gotuje.

Gdy Moskale zaszyli się w las przerwaliśmy ogień. Brodzik ze swoją sekcją przeprawił się po nadpsutym moście na drugą stronę Szoszy i poszedł szukać oddziałów 11-ej dywizji piechoty. My zostaliśmy na stanowisku wypłoszonej placówki bolszewickiej dla zapewnienia Brodzikowi powrotu. W międzyczasie zdarzyła się następująca rzecz. Od strony Borowych pędzi po torze bolszewik, oglądając się na wszystkie strony. Pędzi prosto na nas. Widać z jego zachowania się, że szlak ten nocy dzisiejszej musiał przebywać kilka razy, szedł na pewnego. I kiedy znalazł się od nas o jakich kroków piętnaście z przerażeniem wydusił z siebie jeden jedyny wyraz.

— Biełyje!

— No tak, bratku, ale nie bój się chodź tu! — Rad nierad poddał się biedaczyna, ale był tak zasko-

czony, że na stawiane pytania, słowa wykrztusić nie mógł. Dopiero kiedy go poczęstowałem papierosem, wyznał, że jest łącznikiem z sąsiedniej placówki, wysłanym tu dla stwierdzenia przyczyny niedawnej strzelaniny.

Po dłuższym czasie wrócił Brodzik z pomyślną wiadomością, że łączność nawiązał. Zwróciliśmy się do Uścia, skąd wraz z całą kompanją udaliśmy się do Boryszkowic, do bataljonu. Po borach szła już wrzawa rozpoczętej bitwy. To nasz pułk wypierał „moskwę" z lasów na tor kolejowy na Borowe-Ziabki. Na tej to linji kończyła się nasza ofenzywa czerwcowa. Tu wgrzebując się zapamiętale głębokiemi rowami w ziemię odpieraliśmy ciągle zaciekłe ataki czerwonych.

Nastąpił teraz czas szarpania naszych nerwów. Bezustannie dniem i nocą obmacywała nas artylerja i waliła żelazem w chwilach najmniej spodziewanych. Lecz ciągły rumor armatni stępił nerwy i wesoła „branż" żołnierska śmiała się, żartowała, kpiła na potęgę i rżnęła na zdobytych instrumentach, czekając cierpliwie na zmianę maszerującej gdzieś z południa 5-tej dywizji piechoty. Miano nas podobno wypchnąć na głębokie tyły na wypoczynek.

XXIV. W SĄSIEDZTWIE SPRZYMIERZEŃCÓW.

Dnia 11-go czerwca o świcie zmieniła nasz pułk 5-ta dywizja, świeżo przybyła z południowego frontu. „Południowcy" pod względem ekwipunku przedstawiali się o całe niebo lepiej od naszej obszarpanej braci. Mieli przynajmniej wszyscy całe ubranie i nowe buty, napewno świeżo po drodze zafasowane. Karabiny maszynowe wieźli na grzbietach małych koników. Wyglądało to wcale imponująco, z tego też

tytułu sypaliśmy pod ich adresem złośliwe żarciki przyjmowane przez 5-tą dywizję milczącą pogardą.

Kiedy ostatnia kompanja zluzowaną została z pozycji pod osłoną lasów podążyliśmy na tyły, na ogólną zbiórkę pułku. Po małej zwłoce wyciągnięci w długi ogon, odetchnąwszy z ulgą, szliśmy szybko, aby dalej od ziejących śmiercią armat i świszczących kul. Po drodze dołączyła się na czoło prawdziwa orkiestra powitana z przeciągłem uznaniem — Aaaa!.. — W takt „I-szej Brygady" maszerowaliśmy na zapowiedziane dalekie tyły.

Na odpoczynku znaleźliśmy się w zapadłej wioszczynie, kilkanaście kilometrów poza frontem, gdzie dochodziło tylko słabe echo artylerji. Korzystając ze świętego spokoju zabrano się do roboty, żeby się jako tako ogarnąć. Cerowano mocno poszarpane ubranie, łatano buty, doprowadzano do poprzedniego stanu zaniedbaną broń. Ale zanim zdążyło się ubić dostateczną ilość wszy, już 15-go czerwca postawiono nas na nogi. Kłusem popędziliśmy do stacji kolejowej Poświlje na pomoc 11-tej dywizji. Fatyga okazała się zbędna, hallerczycy z niedokładnością we froncie załatwili się bez naszej pomocy. Daliśmy im za to kilka koncertów i pożegnawszy „błękitniaków" na pamiątkę ściągnęliśmy kilka par butów z ich bogatych taborów. 17-go czerwca rozpoczęliśmy wędrówkę wzdłuż frontu w kierunku północnym.

Szliśmy przez nieśmiertelną Plissę, znane nam Łużki, nieznane jeszcze Hermanowicze, a ominąwszy szeroki pas błot jeziora Jelnia i jego sąsiadów, przez Nowe Kruki, 22-go czerwca po południu dobiliśmy do Morozów. Piękny to podobno kraj, który przechodziliśmy, ale maszerując nocami nic nie widzieliśmy i nic o nim powiedzieć nie mogę.

W noc na 23-go czerwca zluzowaliśmy na pozycji

ułanów i znów wsiąkliśmy w wilgotne okopy, między Dźwiną i jeziorem Jelnia. Kompanja pierwsza zmieniła szwadron techniczny 7-go pułku ułanów od Dźwiny poza folwark Drehucze. Mój pluton obsadził skraj brzegu Dźwiny i wschodnią ścianę parku folwarcznego. Ze świtem, kiedy się lepiej zorjentowaliśmy w „bajecznej" pozycji kawalerzystów, wartość ich „bajecznej" pozycji zmalała w naszych oczach. Poza zlekka wyskrobanemi okopami i jednym jedynym rzędem świeżo ociosanych kołków dla przeszkód drucianych, nic tu nie było. Szpule drutu leżały obok nienaruszone. Cała więc praca techniczna pozycji (technicznego szwadronu) spadła na nasze nietechniczne piechurskie barki. Pocić się musieliśmy w tej kłującej robocie kilka czerwcowych nocy i dni, zanim uznaliśmy, że jako tako od biedy można się w tych okopach bronić.

Przed naszą kompanją okopy bolszewickie były oddalone o kilka kilometrów, a to z tej racji, że pozycja nasza biegnąc po lewym brzegu Dźwinv kilkadziesiąt metrów, załamywała się naraz pod kątem prostym na Drehucze i biegła hen, na Sawczenki, co Moskalom było niezbyt na rękę. Na przedpolu dużo było jarów porośniętych zagajnikami, co znowu nam niezbyt się podobało, zważywszy na łatwe podejście patroli bolszewickich. W lewo od nas, na prawym brzegu Dźwiny, do sąsiedniego Laszkowa, docierały dzień w dzień oddziały naszych sprzymierzeńców, Łotyszów. Łączność między nami utrzymywał szwadron — o ile się nie mylę — 18-go pułku ułanów.

Mieliśmy więc zapewniony spokój. To też po załatwieniu się z pracą przy „fortyfikacji" rozkoszowaliśmy się tem, czem łaskawy Bóg raczył nas obdarzyć.

Postarawszy się o łódki powycinaliśmy z leszczyny parku wędki. Łowiliśmy rybki, kąpaliśmy się, prażyli w słonku i chwalili dobre czasy. Gdzieś niedaleko w prawo dudniły armaty, grzechotały karabiny, ale na to nic a nic nie obchodziło. Tylko nocami, żeby mieć spokój w dzień, chadzaliśmy głębokiemi jarami, wśród krzaków na patrole, podkradając się aż pod samo Malszewo.

Było tu cicho, przytulnie, rozkosznie. I gdyby ktoś powiedział, że na tych cichych polach rozgorzeje za kilka dni bitwa i rozegra się tragedja nasza, wyśmielibyśmy go i wykpili.

Cichy nasz zakątek odwiedzali oficerowie, przyjaciele i koledzy z kompanij odwodowych. Kąpali się, plażowali, jeździli łódką. Gadaliśmy długo, jak za dobrych dawnych czasów.

Któregoś dnia przyjechał na inspekcję do nas dowódca 15-ej brygady, pułkownik Kraupa, w towarzystwie tłumu sztabowców. Chodził po okopach, zaglądał do każdej dziury, do każdej niemal menażki (akurat gotowaliśmy kawały wyfasowanego na przedpolu barana), gawędził z żołnierzami i po linji poszedł dalej. Na odcinku kompanji czwartej, ukryte za krzakiem bydlę bolszewickie, trzepnęło z karabina i raniło w nogę brygadjera i dowódcę „czwartaków" podporucznika Stawickiego. Rozzłoszczeni tem, zaraz z nadejściem nocy, urządziliśmy wypad na placówki bolszewickie i natłukliśmy bractwa co się dało, biorąc sprzęt i jeńców.

Z racji ranienia pułkownika Kraupy nastąpiła zmiana w dowództwach wyższych. Brygadę objął kapitan Sawicki, pułk nasz kapitan Hryniewiecki, a pierwszy bataljon podporucznik Frydrych. Dnia 29-go czerwca zmienił nas na pozycji III-ci batal-

jon. Odcinek naszej kompanji zajął podporucznik Tabaczyński z dziewiątką.

Po odejściu I-go bataljonu do odwodu mój pluton przesunął się nieco na północ i obsadził pozycję nad brzegiem Dźwiny, na wysokości wsi Laszkowo. Byliśmy więc prawie że w bezpośredniem sąsiedztwie Łotyszów. A nawet ci sympatyczni ludzie poczuli się do obowiązku złożenia nam wizyty (patrol). Gadaliśmy z sobą po rosyjsku i zjedliśmy wspólnie trzy świeżo zafasowane kury.

Na tej nowej pozycji, całkiem bezpieczniej, schodziły nam dni na zbijaniu bąków. Raz tylko mieliśmy „poważne" polecenie sztabu, żeby stwierdzić, czy wodą nie płyną przypadkiem wióry. Owszem — płynęło ich co niemiara od pierwszego dnia naszego tu przybycia, co dowodziło, że bolszewicy gdzieś w górze rzeki w pobliżu Dzisny budują mosty i przejdą najprawdopodobniej do ofenzywy.

3-go lipca w godzinach popołudniowych zmienił nas pluton drugiej kompanji. Odeszliśmy do odwodu bataljonu, który kwaterował w Kleminie czy Klumiszkach. Po drodze spotykaliśmy kompanję techniczną naszego pułku przy gorączkowej budowie drugiej linji okopów. Musiało tam gdzieś kluć się dla nas coś niezbyt miłego.

To „coś niemiłego" nadeszło prędzej, niż przypuszczaliśmy, bo już następnego dnia.

XXV. ŻYĆ ALBO UMRZEĆ...

Rano, 4-go lipca — nieszczęsny to dzień na całym północnym froncie — było już widno, kiedy przebudził mnie huraganowy ogień artylerji bolszewickiej, bijącej po pozycji III-go i II-go bataljonu. Jęczała ziemia od huku lekkich i ciężkich pocisków.

Sypał się nam na głowy proch ze strzechy spróchniałej stodółki. Spaliśmy z Kieroniem w sąsieku, w prowizorycznym łożu skleconem z desek. Ta niebywała kanonada artyleryjska, na naszym w kąt wepchniętym froncie, zastanowiła mnie niezmiernie. Budzę Staszka mocnem uderzeniem pięści w bok.

— Stasiu, czy śpisz?

— Hm!... — dało się słyszeć zaspane mruknięcie pod kocem.

— Słyszysz?... Bolszewicy, psiekrwie, będą atakować!

—Hm!... — brzmi z pod Staszkowego koca.

— Może wstaniemy wcześniej, bo i tak nas postawią na nogi i pchną do pomocy.

Alarmu jeszcze niema! — mówi Staszek, złote chłopisko, — więc śpij jeśli cię nie budzą! Mamy czas!

— Masz rację, Stasiu, mamy czas!... — Przewróciłem się na drugi bok, naciągnąłem koc na głowę i usnąłem.

Staszek miał zawsze rację!

Zmiana instrumentów bojowych przebudziła mnie powtórnie. Ogień artylerji stał się rzadszy, za to grały dziesiątki karabinów maszynowych. Obudził się i Staszek. Siadł na rozmamranej słomie, przeciągnął się aż mu w stawach trzasnęło i mruknął.

— To niebywała haratanina!

Wtem otwierają się z trzaskiem wywalone do połowy drzwi i wsuwa się głowa inspekcyjnego z okrzykiem:

Alarm! Alarm! — Zakotłowało się w ciasnej stodółce. Łapał kto żyw swoje mienie i pędził galopem na plac alarmowy. W niespełna pięć minut staliśmy gotowi do marszu na łące opodal wsi. Ciężkie działa bolszewickie kropiły już po naszych kwaterach.

Taboryci ćwicząc batami konie wieli w bezpieczne miejsce. Domek w którym spał Szymański, pod uderzeniem „kuferka" rozleciał się w kawałki.

Z placu alarmowego dokąd nadbiegła reszta kompanij naszego bataljonu, widzieliśmy daleko przed sobą, jak po równych polach cofają się szczątki rozbitków III-go bataljonu, a za nimi tuż napierają bolszewicy. Kule, gwizdając żałośnie nad naszemi głowami, spędzały z oczu resztki snu.

Nadjechał dowódca bataljonu, podporucznik Frydrych. Elegant! — W letnim płaszczu, w lakierowanych butach, białych rękawiczkach, wygolony, uperfumowany, ze szpicrutą w garści, z czapką na prawem uchu i fajką w zębach wydaje krótki rozkaz, że mamy zdobyć zpowrotem utraconą przez trzeci bataljon pozycję. Sam pogalopował tam gdzie najbardziej kule świszczą, a porucznik Bursa zbiera swych rozbitków, żeby stworzyć nam odwód. Na odjezdnem zwrócił się do Szymańskiego.

— Po jakiego pioruna ty się tu telepiesz?!

— A no! Spróbuję jeszcze raz poprowadzić moich chłopców! — brzmi spokojna odpowiedź Szymańskiego. Trzeba nadmienić, że Szymański miał już zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego i wszelkie dokumenty w kieszeni i tylko z racji spóźnienia się na pociąg nie wyjechał poprzedniego dna. A dziś szedł z nami do przeciwuderzenia, chociaż kompanję objął już oficjalnie podchorąży Orłowski.

Poszliśmy! Biorąc z miejsca jak największy rozpęd, wymijamy rozbitków III-go bataljonu i przemy na czołowe linje bolszewików. Hen, za Dźwiną, obserwator bolszewicki z balonu widzi nasze ruchy i kieruje artylerją, która celnym ogniem wali po nas aż dudni. Pod pierwszą szeroką wsią oparli się

bolszewicy kilkoma linjami tyraljerów i rzygają w nas stalą pocisków.

— Żyć albo umrzeć, psia krew! Na bagnety! hu-raaa! — zawyła wiara i pędzi do szturmu. Padł martwy na ziemię plutonowy Piotrowski, jęknęło z ran kilku piechurów, dostał Staszek Kieroń kulą w pierś, ale Moskale nie wytrzymali naszego impetu, opuszczają wieś i wieją. Dopadamy chałup, przebiegamy na drugą stronę i kropimy z za płotów ile się da. A cel doskonały, kupy bolszewików gonią przed nami w panice.

Opuszczamy zdobytą wieś w pościgu. Frydrych jedzie konno tuż za naszą linją. Szymański uśmiechnięty kroczy z nami w tyraljerze i wolno, a spokojnie wydaje rozkazy. Pocimy się w tej gonitwie niemiłosiernie, słońce praży jak sto djabłów. Dla ulżenia bęc! bęc! — padają z pleców tornistry i ręka silnem pociągnięciem rwie zapięcie kołnierza. Teraz jest trochę lżej!

Bolszewicy wsparci nowemi siłami opierają się o zagajniki i rżną z maszynek. Zdaje się, że kroku naprzód zrobić nie można. Ale przecież musimy odebrać swoje okopy! Więc szturm! Hurraaa! I znowu „moskwa" przed nami w odwrocie.

Gorąco — strasznie gorąco! Powietrze, przesiąknięte dymem spalonego prochu, nie pozwala wprost oddychać. A tu za zagajnikiem znowu wieś, a z niej Moskale rżną z karabinów maszynowych. Ogień artylerji wzmaga się do największego napięcia. Ale to furda! Upici bojem suniemy zapamiętale wprzód. Niczem nam rany, błachostką śmierć, musimy zwyciężyć! Przewrócił się Chojecki, trącony czerepem granatu po nogach, wali się na ziemię ranny Rojecki, rzęzi Borowski, fiknął kozła kontuzjowany Sep-

czyński, a my idziemy dalej. Są ranni i zabici w innych plutonach, mają wielkie straty kompanje sąsiednie. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedno głośne, przeciągłe „hurraaa"! i znowu druga wieś w naszych rękach i znowu wieja bolszewicy nie przyjmując walki wręcz. A mogliby! Zaleliby nas! Lecz bali się i my choć nieliczni górowaliśmy nad nimi na polu boju.

Strzelamy z kolan, stojąc, jak komu zresztą wygodniej i kroczymy wprzód spychając Moskali. Wydostajemy się na niewysokie wzniesienie i stąd pożeramy wzrokiem już niedalekie nasze okopy. Żeby się tylko o nie zaczepić! To dalej pójdzie. Żeby tam dojść?! Zadanie nie jest znów tak łatwe, gdyż przed nami na równinie jak sięgnąć okiem, rozlazły się masy tyraljerów bolszewickich, a dalej hen! stoją kolumny jeszcze nawet nie rozwinięte. Z prawej strony wieje przed nami w odległości 600 metrów jakaś przedwcześnie zagalopowana baterja przeciwnika. Strzelamy, żeby wybić konie, lecz zmęczona ręka nie chwyta celu. Bolszewicy wieją bezkarnie. W tym czasie otrzymuję postrzał w lewą dłoń. Kula karabinowa gruchoce mi kości dużego i wskazującego palca. Ból czuję aż w łokciu, ale ręka... to drobiazg! Szymański ranny w nogę dosiada konia, galopuje (zapomniał o weselu) do uciekającej baterji i z pistoletu kropi koniom we łby. To skutkuje. Suniemy skokami w kierunku bielejących okopów. Naraz zostaję ranny w oba uda. Robię cały obrót na pięcie i siadam. Dalej ani rusz, braciaszku, skończyliśmy się! — myślę sobie. Pluton obejmuje Fabjański i skokami pcha się dalej. W lewo od nas „trzeciacy" zostali zatrzymani, a na nas nowe oddziały bolszewickie idą do przeciwuderzenia. A hen! dalej w le-

wo, zagłębieniami terenu jadą szwadrony kozaków! Sytuacja niegodna zazdrości.

Szymański w tym momencie dostaje śmiertelny strzał w brzuch i wali się z konia. Pędzi Fabjański z pomocą kochanemu dowódcy i tuż przy nim kładzie się ciężko ranny. Chcą jeszcze coś wskórać Nowak z Olechowskim, lecz ze strzaskanemi goleniami walą się na rozpaloną żarem słońca ziemię, która zachłannie wsysa ich gorącą krew, moc krwi! Słaba tyraljera chwieje się. Przybiega do mnie sześciu niedobitków z pomocą.

— Trzech brać mnie, trzech gonić po Szymańskiego! — wyciskam rozkaz przez zaciśnięte z bólu zęby. Biorą mnie na rozgrzane od strzałów karabiny i niosą do tyłu. Po drodze spotykamy zgrupowane już szczątki III-go bataljonu, idące z odsieczą naszym chłopcom. No, to jeszcze nie jest z nami tak źle! — pomyślałem. Dadzą jeszcze tęgiego łupnia bolszewikom.

I dali! I bili się jeszcze jak lwy, jeden przeciwko dziesięciu i więcej. A jak się bili? z kim się bili? i co zrobili? to niech mi tu wolno będzie stanąć na baczność i oddać głos Naczelnemu Wodzowi, który w swej książce „Rok 1920" na str. 61-szej pisze o wyżej niezdarnie opisanej walce co następuje:

„...Ta bohaterska obrona dwóch bataljonów n - szego 33-go pułku przeciwko dwóm i pół dywizjom przeciwnika podtrzymaną była, zgodnie z naszemi danemi, zaledwie przez 10 dział 8-mej dywizji, do której pułk należał. Zniweczyła ona prawie, albo conajmniej zrobiła wątpliwą zamierzoną operację o sedańskim stylu, zatrzymując główne siły 4-ej armji w ich zamiarze szybkiego wyjścia na tyły i skrzydła naszych wojsk, walczących dalej na południu. Z przy-

jemnością zaznaczam ten fakt, ze źródeł naszego przeciwnika, gdyż nieraz u nas przy doraźnych analizach ówczesnych bojów, zarzucono zarówno temu pułkowi, jak i całej 8-mej dywizji, że dopuściły do przejścia jazdy nieprzyjacielskiej, która nam w przeciągu całej operacji do Warszawy jak najwięcej zaszkodziła. P. Sergiejew wyraźnie konstatuje, że uporczywy opór silnie zatrzymywał rozwój ich powodzenia i dopiero koło 16-ej godziny opór polski został złamany. Dodam, że ani jedno nasze działo nie zostało w rękach nieprzyjaciela".

Tak pisze o nas nasz Wódz Kochany, — a to chyba wystarczy za wszelkie nagrody i odznaczenia?!

XXVI. RANNY.

Nieśli mnie na karabinach towarzysze broni, potem wieźli na ręcznym wózku, wieźli na koniku łącznika, ale nic o tem nie wiedziałem. Z dużego upływu krwi i piekielnego bólu straciłem przytomność.

Ocuciłem się w lesie. Leżałem przy drodze na miękkiej trawce, obok stało trzech moich smutnych towarzyszy. Gdzieś zdala, poprzez lasy, niosło echo odgłos wrzawy bitwy. Nieopisane pragnienie, zeschły język, spieczone wargi, słowa nie pozwoliły wykrztusić z ciężko oddychającej piersi.

— Pić! — stęknąłem wreszcie. Ruch przeczący głowy Okólskiego daje mi do zrozumienia że nie wolno, zwilżają mi tylko usta mokrą szmatą i leją wodę na piersi. Sprawia mi to ogromną ulgę i czuję się lepiej.

— Gdzie jest Szymański? — spytałem.

— Został... — brzmi smutna odpowiedź.

— Gdzie jesteśmy?

— Nie mamy pojęcia.

— Ha! Trudno! Zróbcie mi opatrunek. Przenieście potem za Dźwinę do Łotyszów, a dalej jakoś pójdzie.

Okólski ściąga z grzbietu koszulę, drze na kawały. Łatają dziury w mojem ciele. Krew sączy się wolniuśko z ran, czuję to wyraźnie. Przemoczyła już dolną część garderoby do cna. Mdły jej zapach, zapach własnej krwi, z którą wypływa część życia, powoduje kurczowe wymioty.

— Musiała kula zahaczyć o żyłę, że jest tak duży upływ krwi — pomyślałem — kości czuję, że są w porządku, prawa noga tylko trochę drętwieje...

— Żeby nie to choleryczne pragnienie, to byłoby naprawdę wszystko w porządku — myślę tak dalej sobie, żeby nie poddawać się bólowi wywołanemu zakładaniem opatrunku niewprawnemi rękami mych drogich chłopców.

W czasie tej bolesnej i wyciskającej siódme poty operacji dał się słyszeć na zakręcie wyboistej drogi, turkot wozu. Poleciłem go natychmiast fasować, żeby chłopcy mieli lżejszą ze mną wędrówkę do Łotyszów. Lecz jak się później okazało nie był to żaden prywatny wóz, tylko służbowa podwoda wioząca mego przyjaciela Heńka Rossaka (pełnił funkcję oficera łączności przy sztabie 15-ej brygady) w towarzystwie plutonowego Sokołowskiego z Dryssy do brygady po załatwieniu jakichś spraw służbowych. Obopólna radość była wielka. Ułożono mnie na wózku wymoszczonym sianem i jechaliśmy wolnego stępa, już nie do Łotyszów tylko w kierunku na Czeres szukać czołówki sanitarnej. Przyłapaliśmy ją w Starych Krukach, czy nawet w samem Czeresie. Zniesiono mnie do dużego budynku szkolnego, zamienionego na chwilowy szpital i tu prawdziwy dok-

tór opatrzył mi rany, zajodynował i pookręcał bandażami. Wszystko to robił z wielkim pośpiechem, bo już od pół godziny miał rozkaz zwijać swój bolesny kramik i cofać się. A tu jak na przekór ze wszech stron znoszą mu i zwożą nowych wyjących z bólu rannych pacjentów. Kupy rannych! A wozów niema i najprawdopodobniej wszystkich nas tu zostawią na pastwę Moskali. Jednak dobre bogi czuwały nade mną i los szczęścia wyciągnął z piekła jęków ludzkich.

Przejeżdżał tędy z taborami szef kompanji sierżant Walek Grabowski. Wiedziony instynktem zaszedł popatrzeć czy niema tu przypadkiem kogoś z naszej kompanji, no i zaopiekował się nami. Opróżnił jeden wózek, wyłożył świeżą trawą, zapakował mnie, Sepczyńskiego i Kieronia, wypłacił jeszcze żołd na drogę, zaopatrzył w chleb i jazda dalej aby w bezpieczniejsze miejsce.

Opiekował się nami w drodze Staszek Kieroń, bo choć mu kula przeszyła pierś nawylot czuł się zupełnie dobrze. Jakby nic szedł prawie caluśką drogę przy wozie, robiąc nam więcej miejsca. Szedł z przekręconą trochę głową, uśmiechał się poczciwie i żartował wesoło, że znowu śmierci się wykpił.

Jechaliśmy tak dniem i nocą popasając gdzie niegdzie zmęczone koniki na Miory, Pohost, Szarkowszczyznę, po drodze pełnej wyboi, dołów, wystających korzeni i wśród ciżby cofających się taborów. Kiedy dojeżdżaliśmy do Szarkowszczyzny, tonęła ona w morzu płomieni, ognia i chmur burego dymu palących się chudob ludzkich. Gościli tu przed nami kozacy znacząc swój ślad ogniem. Kłusem przejechaliśmy przez gorejące miasteczko, żeby samym nie

zgorzeć, co kosztowało nas pół życia zważywszy nasze rany, nieresorowany wózek i nierówności jezdni ulic.

Za Szarkowszczyzną skręciliśmy w duże bory i wyjechaliśmy na szeroki, okrąglakami wyłożony trakt, wiodący do stacji wązkotorowej kolejki Woropajewa. Lawina wiejących taborów poszła innemi, prostszemi szlakami, tylko kilka naszych wózków z rannymi, dzwoniąc jednostajnie po gnijących już w piasku okrąglakach, sunęło krok za krokiem.

Zewsząd biła szarość i smutna rzeczywistość naszej niemocy.

W Woropajewie złapaliśmy ostatni pociąg szczelnie załadowany i zzewnątrz obczepiony różnego rodzaju uciekinierami. Wniesiono nas do wagonu zapchanego rannymi i tak leżąc, prawie że na gromadzie, ruszaliśmy dalej, kiedy zajechał nędzny chłopski wózek z poważnie rannym w brzuch moim przyjacielem sierżantem Frankiem Głowackim. Zabraliśmy prawie konającego Franka do siebie i biorąc stopniowo rozpęd jechaliśmy dalej.

Tak gniotąc się wzajemnie dobiliśmy nad wieczorem do dużej stacji Święciany, gdzie oczekiwały sznury sanitarnych pociągów, a na peronie poukładani w długich symetrycznych szeregach, spowici w biel bandaży, leżeli ranni. Wśród nich snuły się cicho młode sanitarjuszki w swych bialuśkich, z czerwonemi krzyżami, czapeczkach. Poprawiały one krwią przesiąknięte opatrunki i zwilżały ciepłą herbatą spragnione i kurczowo zaciśnięte usta.

Pojechaliśmy przez Wilno, Białystok, Warszawę do Częstochowy. Tu wreszcie po kilku dniach męczącej jazdy zrobiono mi drugi opatrunek i operację

wyjęcia kuli z kości prawego uda, tu też dopiero doznaliśmy opieki pielęgniarek, której brak było w drodze w pociągu sanitarnym. To też moc rannych, machnąwszy z rezygnacją ręką na zezowate życie doczesne, kopnęła się w zaświaty.

Otoczeni opieką lekarzy i sanitarjuszek wracaliśmy prędko do zdrowia.

W specjalnie wyznaczone dni w tygodniu odwiedzali nas tłumnie obywatele i obywatelki Częstochowy, znosząc słodycze, kwiaty, książki, gazety, uśmiechy pocieszenia.

Na front już nie wróciłem. Pułk natomiast cofał się stopniowo pod Warszawę, odgryzając się caluśką drogę od bolszewików. Uzupełniony ochotnikami i rekrutami, świeżą kadrą oficerów i podoficerów, brał udział w historycznej ofenzywie sierpniowej i pod Ossowem przełamywał front bolszewicki, gdzie zginęło dużo naszych. Między nimi dzielny, okryty sławą poprzednich bojów, sierżant Staszek Michalak. Pułk, przerzucony potem na front wołyński, staczał dalej walki z jazdą Budiennego. Tu, na Wołyniu, w czasie szarży kozaków na I-szy bataljon, skończył swój żywot nieodżałowany podchorąży Lucjan Orłowski. Zginął były dowódca szkoły podoficerskiej, młodziutki podporucznik Stanisław Latour i zginęło tu masę dzielnych podoficerów i bezimiennej braci żołnierskiej. Jednak przez piętrzące się szeregi ofiar osiągnęliśmy tak gorąco pożądany cel — Ostateczne Zwycięstwo!

— — — — — — — — —

W 1921 roku, miesiącu styczniu wyczytałem w rozkazie pułkowym że: „Dekretem L. 2455 z dnia 21.XII.1920 r. w myśl ustawy sejmowej z dnia 2.VIII

1919 r. został mianowanym z dniem 1-go kwietnia 1920 r. ś. p. podporucznik Szymański Karol porucznikiem.

— — — — — — — — —

Najdokładniej opowiedział mi o śmierci Szymańskiego, naoczny świadek tej smutnej sceny, kapral Olechowski, po powrocie z niewoli. W tragicznym dniu 4-go lipca, wzięty z pobojowiska i leczony w szpitalach moskiewskich, po wojnie wrócił do Wolnej Ojczyzny o kuli, bez najmniejszej władzy w nodze. Śmierć Szymańskiego opisał mniej więcej w sposób następujący.

„Kiedy zostałem ranny, leżałem od Szymańskiego nie dalej jak cztery kroki. Z wielkiego bólu nie mogłem ruszyć się z miejsca. Obok nas leżał z rozbitą nogą kapral Nowak. Bolszewicy goniąc za rozbitym bataljonem zaczęli nas rabować. Byliśmy przygotowani na to, że nas dobiją. Zabrali nam jednak tylko zawartość kieszeni, a nawet bluzy i buty. Gdy rabowali Szymańskiego prosił ich aby zwrócili mu fotografję narzeczonej. Bolszewicy zadość prośbie jego uczynili. Fotografję schował do kieszeni. O krok od niego sterczał karłowaty krzak. Podczołgał się tam i przewrócił na wznak w jego cieniu. Leżał tak spokojnie przez dłuższy przeciąg czasu. Był mocno blady ale nie jęczał. Po pewnym czasie prosił mnie i Nowaka, żebyśmy się do niego o ile możemy, przyczołgali. Z wielkim trudem spełniliśmy jego ostatnie życzenie. Wyciągnął do nas rękę i wymówił te wyrazy: „Pozwólcie, niech uścisnę wasze dłonie. Dziękuję wam za wszystko. Jeżelim wyrządził wam kiedy jakąś krzywdę, darujcie mi, bo ja już umrę". Po wyrzeczeniu tych słów zamilkł i w poprzedniej pozycji leżał spokojnie uśmiechnięty. Sta-

raliśmy się go pocieszyć, lecz machnął tylko beznadziejnie ręką. Kiedy zjawili się sanitarjusze bolszewiccy, zbierając rannych swoich i naszych, Szymański już nie żył. Co z nim zrobiono dalej, nie wiem, gdyż nas zabrali na nosze, a Szymański został".

Urwały się smutne słowa Olechowskiego, a gorzkie, ciche, żołnierskie łzy ściekały po twarzy z żalu po ukochanym dowódcy, który tam gdzieś został...

Taką miał śmierć ten młody i nieustraszony żołnierz! Tak dzielnie i ze spokojem umierało tysiące naszej młodzieży, walcząc w obronie odradzającej się Ojczyzny!

Wierni Ojczyźnie polegli w boju, nie doczekawszy wesołych dni, aby po szeregu krwawych walk, trudu i znoju, widzieć Ją wolną i potężną. Umarli zapomniani przez tych co żyją! Kości Wasze bieleją hen! na krańcach Rzeczypospolitej! Mogiły Wasze zadeptane są i zaorane! Jedynie w besenne noce, śle za Wami bolesne, niczem nieukojone westchnienia matka staruszka, a w długie wieczory, otoczeni gronem zasłuchanej młodzieży, snują różaniec wspomnień Wasi wierni, pozostali przy życiu towarzysze broni.

Cześć Wam!!!